

JUDITH GOULD

Trzy gwiazdy

Interludium: 1926

Scena dla współczesnego kryzysu na Bliskim i Środkowym Wschodzie została utworzona na długo przed brytyjską kontrolą Palestyny. Aby naprawdę zrozumieć tę beczkę z prochem, jaką stanowi dzisiaj konflikt arabsko-izraelski, należy przyjrzeć się najpierwszym aktorom tego dramatu, biblijnym Izraelitom Mojżesza. W ciągu następnych wieków dramat był właściwie taki sam; zmieniali się tylko aktorzy.

Contruci and Sullins, Środkowy Wschód Dziś: Strategie wobec pokłosa minionego roku.

Uff, ależ wspinaczka - westchnął do siebie Szmaria, łapiąc oddech. Zebrawszy resztę sił podciągnął się jeszcze trochę na płaską półkę oświetlonej słońcem skały. Przeklinał swą bezużyteczną protezę. Jak zwykle noga, której nie miał, bolała go i swędziała.

Wbijając łokcie w piaskowiec, podpełznął kilka metrów wdzięczny, że nie dopuścił, aby sztuczna noga utrudniała mu poruszanie. Jego ciało rekompensowało mu w pewien sposób ten brak i bardzo go to cieszyło. Ramiona, na których musiał teraz polegać, stały się bardzo silne i umięśnione, a zdrowa noga była znacznie mocniejsza niż przedtem.

Dotarł wreszcie na skalną półkę. Przed nim, jak okiem sięgnąć, rozpościerała się wypalona Negew z apokaliptycznymi, gołymi, brązowymi wzgórzami, upstrzonymi tu i ówdzie czerwonymi i fioletowymi kamieniami. Bezchmurne niebo było błękitne, w najjaśniejszym odcieniu, jaki można sobie wyobrazić. Gdzieś wysoko samotny ptak, orzeł czy jastrząb, krążył powoli w poszukiwaniu pożywienia. Szmaria mógł tylko w milczeniu zachwycać się tym pięknem i zastanawiać się, nie po raz pierwszy, czy ta surowość pustyni będzie kiedykolwiek monotonna. Chyba nie. Uważał ją za swój dom.

Dla jej nielicznych, rozproszonych mieszkańców wyraz „Negew” był synonimem pustyni i gdy Szmaria tu przyjechał, odniósł błędne wrażenie, że słowa te są używane zamiennie. Wkrótce zorientował się, że hebrajskie słowo oznaczało „południe” i nie było określeniem żadnej rzeczywistej granicy geograficznej.

Szmaria został „południowcem” z przypadku i z wyboru, i na swój sposób reprezentował pionierskiego ducha tych, którzy osadzali się na tej starożytnej, bezlitosnej ziemi. W wieku trzydziestu jeden lat nie był już tym przystojnym, zuchowatym młodzieńcem, pełnym bliżej nieokreślonych marzeń. Z latami jego błękitne oczy nabrały dojrzałości, a drobniutkie zmarszczki na spieczonej od słońca twarzy wiele mówiły o jego walce o to, aby marzenia stały się rzeczywistością. Ten bojowy młodzieniec z Ukrainy, który buntował się przeciw

ciemieżycielom i uciekł z Rosji dziesięć lat temu, stał się człowiekiem jeszcze bardziej zdeterminowanym i bardziej nieustraszonym w budowaniu nowego świata. Teraz miał jednak wyraźny obraz tego, co chce osiągnąć.

Podróży z Piotrogradu do Palestyny nigdy nie zapomni. Była długa, męcząca i prowadziła okreśną drogą. Około sześciu tysięcy mil, pokonanych pociągami, statkami i pieszo. Opuścił Rosję jedynie w cienkim, podartym kombinezonie więziennym, w którym wyszedł ze szpitala, i biletem, który załatwił mu ksiązę, by mógł dotrzeć przez Zatokę do Finlandii. Tam pozostawiony był już sam sobie: bez pieniędzy, bez domu, bez przyjaciół i znajomych, a nawet bez dostatecznie ciepłego ubrania. Tylko jego dziedzictwo i zdecydowanie, by pomóc w tworzeniu ojczyzny w Palestynie, pozwalały mu przetrwać mimo wszelkich przeszkód. Jakoś się trzymał. Zabrało mu to trzy długie, pełne trudów lata, by dostać się do Palestyny i zacząć urzeczywistniać marzenia wszystkich zażartych syjonistów. Najbardziej emocjonującym momentem w jego życiu była chwila, gdy zszedł z parowca w Hajfie. Przepelniony wzruszeniem, niezdarnie padł na zdrowe kolano i ucałował ziemię tego kraju, tak pełnego biblijnej historii i obietnic dla wszystkich Żydów.

W ciągu kilku pierwszych miesięcy miał się każdego zajęcia, jakie udało mu się znaleźć, nim dotarł do Jerozolimy, gdzie znalazł dom i pracę u rodziny arabskiego kupca ulicznego. W tym czasie nauczył się hebrajskiego i arabskiego i ciągle myślał o stworzeniu kibucu. W świętym mieście spotkał się z małą grupką Żydów, udających się na południe, do miejsca na wyżynie Negew, gdzie było niegdyś starożytne źródło. Szmaria przyłączył się do nich i teraz, po kilku tygodniach, stał na smaganej wiatrem skale, oglądając z góry cichy, majestatyczny teren. Tylko szum wiejącego piaskiem wiatru i powiewającego ubrania zakłócał to, co w dole byłoby niezwykłą, niezmierną ciszą, przerywaną tylko tam, gdzie gorący wiatr penetrował wyłomy w kanionach, jęcząc i pogwizdując tajemniczo. Samotny ptak nad jego głową wciąż leniwie zataczał kółka wysoko, na oślepiająco błękitnym niebie.

Odwrócił się powoli. Łatwiej się szło, gdy piasek nie wpadał do oczu, a wiatr, jak czyjeś niewidzialne ręce, pchał go do przodu. Pogwizdywał sobie cicho. Jego współmieszkańcy z Ein Shmona podniosą raban, kiedy go zobaczą, ponieważ przez trzy dni wędrował samotnie. Przecież to właśnie on wydał rozporządzenie, że nikt nie może sam wychodzić z kibucu poza zasięg wzroku.

Uśmiechnął się do siebie. Co wolno wojewodzie... Skoro on ustanawiał przepisy, on mógł je łamać. Poza tym powinni być wdzięczni za to, co zrobił. Gdy się podzieli z nimi swym odkryciem, będą musieli powstrzymać narzekania i być mu wdzięczni. Jego poszukiwania zapewnią rozwiązanie najbardziej palącego problemu, jaki zagrażał świeżo założonemu kibucowi.

Źródło, które ich przyciągnęło na tę pustynię, powoli wysychało, powodując panikę. Teraz wystarczy trochę przemyślności i dużo ciężkiej pracy, i problem braku wody zniknie na zawsze.

W połowie północnego zbocza tego wzgórza, głęboko w wąskim zagłębieniu, odkrył obfite źródło wody: czystej i chłodnej, wytryskającej z ukrytego miejsca w skałach, przez wąską szczelinę spływającej do głębokiego, zielonego stawku. Dalej łączyła się z podziemnym strumieniem. Odnalazł to źródło nie tyle patrząc, co nasłuchując i dlatego właśnie nie chciał nikogo z sobą zabierać. Musiał się skupić. Cichutki szmer wody mógłby zostać zagłuszony przez rozmowy, kroki, nawet oddechy. Gdy był sam, trafił tam dzięki ciszy. Jego radość z odkrycia przyćmiewał fakt, że ze swoją sztuczną nogą nie mógł zejść niżej w szczelinę. Któryś z wysportowanych młodzieńców w kibucu chętnie to zrobi. Będzie się musiał jakoś dostać na dół i podłożyć materiał wybuchowy, żeby odstrzelić część ściany. Wtedy kilkumetrowa rura może zmienić kierunek wypływu i doprowadzić cenną wodę przez pustynię do Ein Shmona. Nowe źródło wody z powodzeniem zastąpi stare. Źródło, które znalazł, było czyste i wydawało się niewyczerpalne. Dzięki niemu Ein Shmona będzie pełne sił życiowych, a otaczające kibuc popękane pola będą przez sto lat tętniły życiem. Był bardzo zadowolony z siebie.

Pokuśtykał prosto, ciągnąc drewnianą nogę. Był już prawie na skraju skały w miejscu, gdzie się wspiał. Stał w dużym rozkroku, pochylił tułów do przodu i spojrzał w dół. Skulił się. Trudniej będzie zejść w dół niż było wspiąć się w górę. Położył się i przyczołgał na skraj skały. Wysunął głowę i badał nachylenie. Poniżej były gigantyczne skały, niektóre wielkości domów, postrzępione i groźne jak pogańskie ołtarze gotowe na przyjęcie ofiary.

Ostrożnie, nieskończenie powoli, zaczął spuszczać się na dół.

Na czole wyszły mu żyły i pojawiły się krople potu, bardziej ze strachu niż z wysiłku. Jedno złe postawienie nogi, jeden ruchomy kamień.... Nie może się tym przejmować. Musi mieć jasny umysł i myśleć tylko o jednej rzeczy: jak dotrzeć bezpiecznie do stóp skały. Nic innego nie ma znaczenia.

Wolniutko, najpierw centymetr po centymetrze, potem większymi odcinkami, zbliżał się do ziemi, choć ręce miał otarte do żywego od chwytania za wystające odłamki skał, a stopy ześlizgiwały się z wąziutkich podpórek.

Krew mu wrzała z wysiłku, ale i z podniecenia. To było niebezpieczeństwo. To było życie. Śmianie się śmierci prosto w twarz. Zapomniał o swej bezużytecznej nodze. Przytulony do skały, czuł się wszechmocny. Wyruszył na podbój i dokona go. To był Szmaria Boralevi, sam przeciwko siłom natury i nie miało znaczenia, że był kaleką. Panował nad swym ciałem i czuł, jak go mobilizuje własna adrenalina.

Kamyczki śpiewały i śmiały się, ześlizgując się i podskakując. I wtedy występ skalny, którego uchwycił się prawą ręką, nagle oderwał się od skały. Szmaria krzyknął cicho ze zdumienia i zawisł na jednym ręku na długą, przeraźliwie długą chwilę, nim oderwał się również fragment skały, którego trzymał się lewą ręką. Na moment zawisł w powietrzu, a potem pęd wiatru ruszył w górę na jego spotkanie, gdy leciał w dół, w dół, w dół poprzez ciszę.

Allach akbar „Bóg jest wielki”

Śpiewna modlitwa muezina rozlegała się wyraźnie w małej arabskiej wiosce w oazie al-Nadżaf. Mieszkańcy znajdujący się poza swymi chatami padli na

kolana i odwracali się w kierunku olbrzymiego, czerwono zachodzącego słońca i odległej Mekki. W domach wierni porozkładali już swe cenne dywaniki do modlitwy i skłonili nisko, a głosy ich powtarzały modlitwę.

A shhadu allaa ilaha illa llah...

„Zaświadczam, że nie ma innego boga, jak bóg...” Modlitwa rosła z maleńkich kamiennych domków w głośnie skandowanie, płynęła od ludzi pracujących jeszcze na polach, wielbłądników, beduinów, którzy rozbili swe namioty z kozich skór koło oazy, i od człowieka obsługującego „norię” - olbrzymie, Starodawne koło wodne, które toczyło cenne krople wody ze stawu w oazie i przekazywało je do kanałów irygacyjnych, nawadniających okoliczne pola. Tylko skrzywienie drewnianego koła i niespokojne ruchy zwierząt mąciły tę nieziemską atmosferę panującą podczas wieczornej modlitwy. Gdy ostatnia nuta umilkła o zmierzchu, Naemuddin al-Ameer wstał, strzepnął piasek z szaty i pośpieszył do domu.

Był to wysoki, czterdziestotrzyletni mężczyzna o imponującej posturze, z obfitą czarną brodą, długimi wąsami i nosie jak dziób jastrzębia. Spoglądał na oazę i otaczające ją pola z miną proroka ze Starego Testamentu. Miał bystre oczy, a powiewający bisht był taki sam, jak jego ludzi. Jego pozycję podkreślała niezwykła czystość, zawój na głowie w kasztanowo-czarne wzory, a pod nim szaro-czarny szal z frędzlami. Tylko najważniejszy człowiek w osadzie mógł sobie pozwolić na szaty takiej jakości.

Jako wódz wioski musiał odwiedzić koczujących Beduinów, którzy wyruszą na długo przed wschodem słońca. Opuścił właśnie ich duże, ciemne namioty, gdy usłyszał wezwanie do wieczornej modlitwy.

Przez cudownie bujne pola szedł do oazy, której granice wyznaczał pas daktylowych palm. Piaszczysta ścieżka prowadziła obok skromnych namiotów i nędznych szałasów biedniejszych mieszkańców, a dalej do zbiornika wodnego z magicznym kołem. Miniaturowe wodospady, jakie tam powstawały, wyglądały jak ciekły kryształ. Przez kilka chwil stał cicho, podziwiając się cudowną moc

tego urządzenia, które zachwycało go już od dziecka. Bez tego koła wieś przestałaby funkcjonować, a mieszkańcy umarliby z głodu. Był to naprawdę cudowny wynalazek, podobnie jak olbrzymie, delikatnie rzeźbione „śruby Archimedes”, które, ręcznie poruszane, doprowadzały wodę z niższego poziomu sześciu głównych kanałów irygacyjnych do tych na wyższych poziomach, które przecinały ich małe półka. Al-Nadżaf była osadą rolniczą i poza wątłym handlem z wędrującymi Beduinami, żyło tylko ze swych plonów i nielicznych stad kóz i owiec.

Kontynuował wieczorny spacer, wymieniając pozdrowienia z sąsiadami i machając im ręką, gdy zauważył swego ośmioletniego, przyrodniego brata, Abdullaha, który prowadził do domu trzy cenne kozy. A później podziwiał swój dom - mały, ale zgrabny prostokąt z grubo ciosanego kamienia. Za każdym razem zachwycały go jego czyste linie na tle zachodzącego słońca, gdy każdy kamień połyskiwał, jakby promieniował od wewnątrz.

Zakończywszy wieczorną inspekcję, otworzył małe drzwiczki do swego domu i wsunął głowę do środka. Jego żona Jehan, w czarnym czarczafie, przykucnęła na podłodze, by drewnianym tłuczkiem w wydrążonej z kamienia misie utłuc kibbe ~ danie z jagnięcia i pszenicy.

Uśmiechnęła się do niego oczami okolonymi czarnymi rzęsami. Mimo ostrego pustynnego klimatu i lat znoju, które pomarszczyły i zniszczyły jej niegdyś delikatną skórę, była wciąż, w wieku czterdziestu lat, przystojną kobietą o kanciastej sylwetce i niezwyklej sile.

- Jak tam nasz gość, moja żono? - spytał cicho. Obudził się dwa razy i zjadł - szepnęła, uśmiechając się.

- Jeszcze kilka dni i będzie zdrów. - Dalej cicho mełła pszenicę.

Naemuddin odsunął zasłonę, która przedzielała jeden duży pokój. Cicho podszedł do pryczy stojącej w odległym kącie i popatrzył. Mężczyzna spał. Naemuddin pokiwał głową. Pacjent potrzebował wypoczynku, jedzenia i wody, ale w niedużych ilościach. Nadmiar pokarmu po tym, jak prawie umierał z

głodu, mógłby mu tylko zaszkodzić. Graniczyło to z cudem, że nomadowie, którzy go tu przynieśli, w ogóle go znaleźli. Jeszcze większym cudem było to, że nie umarł.

- Życie lub śmierć - mruknął ponuro Naemuddin. - Jaki los został mu przeznaczony, jest wolą Allacha.

Również z woli Allacha, pomyślał Naemuddin, znalazł się w tym domu. Przybysz był jednak tajemnicą, której nie mógł zgłębić: miał włosy koloru pustynnego piasku, jedną nogę i w gorączce majaczył w różnych językach, łącznie z arabskim. Naemuddin był jednak pewien, że Allah, w swoim czasie, rozwikła tę zagadkę, jeśli taka będzie jego wola.

Chciał już wyjść, gdy chory nagle jęknął przez sen. Zrozumiał od razu, że nie była to oznaka bólu, lecz przerażenia.

Szmaria wydał jeszcze jeden przerażony okrzyk. We śnie znów spadał, w tym strasznym tunelu powietrznym, wśród gwizdzącego i świszczącego wiatru, wystające pazury skał były coraz bliżej i bliżej...

Obudził się z krzykiem i próbował usiąść, ale było to zbyt wyczerpujące. Głowa opadła mu z powrotem na poduszkę. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z obecności Naemuddina. Popatrzył na niego, jakby zobaczył zjawę.

- Kim jesteś? Gdzie ja jestem? - Szmaria był pewien, że wykrzyknął po rosyjsku te pytania; w rzeczywistości jego głos był słabym chrypieniem.

Naemuddin nie odpowiedział. Przykucnął przy nim i uśmiechnął się.

Szmaria powtórzył pytanie, tym razem po hebrajsku. Naemuddin rozłożył bezradnie ręce, więc Szmaria spróbował ostatni raz, po arabsku.

Oczy Naemuddina zajaśniały.

- Jestem Naemuddin al-Ameer i jesteś w moim domu - odpowiedział.

- W twoim domu?

- Domu mojego ojca, a jeszcze przedtem jego ojca. Jesteś w oazie al-Nadzaf.

Szmaria westchnął głęboko.

- Więc nie umarłem? Naemuddin zaśmiał się. - Nie, przecież żyjesz.

Przez moment chciał zapytać Szmarie o wiele spraw: kim jest, skąd pochodzi, gdzie nauczył się tak dobrze arabskiego, jak na kogoś z jasną karnacją Brytyjczyka. Powstrzymał jednak ciekawość. Rozmowa mogłaby go tylko zmęczyć. Będzie dość czasu, żeby spytać jutro lub pojutrze.

Szmaria ostrożnie macał kości. Skrzywił się, gdy przeszył go ból, ale poczuł ulgę. Chyba nic nie było złamane. Nagle uświadomił sobie, że nie ma swojej drewnianej nogi. W oczach pojawiło się przerażenie. Bez tego najcenniejszego skarbu nie będzie mógł chodzić, a nawet stanąć.

- Moja noga! - szepnął ochryple. - Moja noga!

- To? - Naemuddin pokazał ką, w którym stała proteza oparta o ścianę.

Szmaria przytaknął i odetchnął z ulgą.

- Beduini byli bardzo zdumieni. Znaleźli ją leżącą obok ciebie.

- Musiała się odczepić, kiedy upadłem. Dzięki Bogu, że jej nie zostawili. - Szmarie aż dreszcz przeszedł na tę myśl.

- Beduini, którzy cię tu przynieśli, powiedzieli, że miałeś poważny wypadek - rzekł Naemuddin. - To był cud, powiedzieli. Wylądowałeś w kieszeni piasku, więc miałeś miękko. Inaczej.... - Naemuddin zaklął po cichu. Co za głupiec, żeby palnąć coś takiego. - Będziesz zdrowy - zapewnił Szmarie. - Nie mamy tu doktora, ale są tacy, którzy wiedzą, jak leczyć różne choroby. Jeszcze kilka dni wypoczniesz i wtedy...

- Jeszcze kilka dni! - Szmaria był przerażony. - Jak... jak długo tu jestem?

- Pięć nocy.

- Pięć nocy! A... - Wyszło mu nagle w gardle. - A jak długo leżałem tam, nim mnie znaleźli? - spytał szeptem.

- Tego dokładnie nie wiem. Trzy dni. Cztery. - Naemuddin zmarszczył brwi. - Beduini tak to określili na podstawie twojego stanu.

Pięć nocy i... trzy lub cztery dni! Czy to możliwe? To znaczyłoby, że zniknął z kibucu w sumie na osiem czy dziewięć dni, a dodawszy te trzy dni, przez które szukał wody przed wypadkiem...

Szmaria już sobie wyobrażał, jakie zamieszanie spowodował w Ein Shmona. Musi posłać jakąś wiadomość...

- Może jutro - powiedział mu Naemuddin. - Na razie musisz, jeszcze pospać.

Szmaria popatrzył w łagodne oczy tego człowieka, który go przyjął do swego domu i bezinteresownie pielęgnował. Zawdzięcza mu życie. I Beduinom, którzy go znaleźli. Miał wobec nich największy dług, jaki człowiek może zaciągnąć.

- Uratowałeś mnie - powiedział z trudem. - Jak ci się kiedykolwiek odwdzięczę?

- Jeśli człowiek znajdzie drugiego na pustyni, nie ratuje go po to, żeby mu odplacił - powiedział cicho Naemuddin. - Wszyscy jesteśmy podróżnikami po tym samym piaszczystym morzu. W innych okolicznościach ty zrobiłbyś to samo dla któregoś z nas. A teraz śpij.

Szmaria zamknął oczy. Sen. Czuł, że nadchodzi, otulając go ciemną, spokojną zasłoną.

- Tak, masz rację - wymamrotał niewyraźnie. - Trochę pospać.... A jutro...

- Tak, jutro.

Ale Szmaria już pochrapywał.

Pod opieką Naemuddina i Jehan siły Szmarii powracały w niezwykłym tempie. Już następnego ranka wyszedł przed dom i przechadzał się po słońcu. Jeszcze następnego - zwiedził całą oazę. Wszyscy przyglądali mu się z ciekawością, ale nie zwracał na to uwagi. Zbyt go pochłaniało porównywanie al-Nadżaf z Ein Shmona.

Obie osady oddalone były od siebie zaledwie o około dwadzieścia kilometrów, ale prócz niego żaden mieszkańcy nigdy się jeszcze nie spotkali. —

Osady miały wiele wspólnego, lecz w al-Nadżaf, z zasobem wody i po kilkuset latach zamieszkania i uprawiania ziemi, żyło się wygodniej i spokojniej. W Ein Shmona osadników oczekiwało skąpe źródło i pobliska ściana skalna, z

której można było łupać kamień. Ein Shmona nie mogła się pochwalić polami uprawianymi i nawadnianymi od setek lat. Był tam jednak pionierski duch, który zapewne niegdyś panował i w al-Nadżaf, ale nie był już potrzebny. Jednak pracowitość mieszkańców obu osad była taka sama. Podstawową różnicą, jaką zaobserwował Szmaria, było to, że w Ein Shmona wszystko robiono metodą prób i błędów, natomiast w al-Nadżaf ludzie zgromadzili bogactwo wiedzy przekazywanej od pokoleń. Wyczarowywanie egzystencji z pustyni stało się ich drugą naturą. Trudności człowieka w pokonywaniu pustyni zostały dawno rozwiązane. Szmarie szczególnie interesowały dwa odkrycia - koło wodne i śruby Archimedes, a

Te odkrycia pomogą w ostatecznym rozwiązaniu problemu wody w kibucu. Teraz dopiero zdał sobie sprawę, z tego, że skierowanie wody, której źródło odnalazł, i doprowadzenie jej rurami do Ein Shmona, to dopiero pierwszy krok w nawodnieniu kibucu. Te dwa starożytne, uświęcone czasem urządzenia: zwykłe koło i gigantyczna, delikatnie wystrugana, drewniana śruba, były konieczne do ostatecznego wprowadzenia w życie systemu wodnego. Przy ulepszonej wersji tych genialnych urządzeń będzie można nawodnić i uprawiać więcej pól, niż mógł to sobie wymarzyć.

Negew może rzeczywiście rozkwitnąć.

Nie mógł się doczekać, by wrócić do Ein Shmona, przynosząc z sobą nie tylko dar wody, ale i rozwiązanie, jak ją rozprowadzić na otaczającą pustynię. Nagle Ziemia Obiecana obiecywała więcej niż kiedykolwiek przedtem.

Czternaście miesięcy później, gdy prawie osmiokilometrowej długości rury doprowadziły do kibucu świeżą, źródlaną wodę, radości i uroczystościom nie było końca. Szmarie wciąż wychwalano i fetowano, stał się bohaterem osady.

Gorące słońce i duża ilość wody wkrótce pomogły okryć otaczające pola tak obfitymi plonami, że pełne ciężarówki produktów wysyłano do Jerozolimy i Tel Awiwu, gdzie dawały niezły zysk. Coraz więcej pustyni przekształcano w pola w większym tempie, niż się to wydawało możliwe. Szmarii i mieszkańcom Ein

Shmona wydawało się, że wystarczy posuwać się coraz bardziej w pustynię, a plony się pomnożą.

Możliwości wydawały się nieograniczone, więc dobrobyt przyciągał do Ein Shmona coraz więcej rodzin. Z dwudzie-stotrzyosobowej osady szybko powstała wieś studwudziesto-osobowa. Dwa lata później zainstalowano drugi ruociąg, a następnie trzeci. Pola pragnęły wody, a w zamian dawały coraz obfitsze plony. Woda, która normalnie łączyłaby się gdzieś na pustyni w podziemną rzekę, została ukierunkowana i wykorzystana przez człowieka do szlachetnych celów.

Nikt, a już najmniej Szmaria, nie zdawał sobie sprawy z tego, że z każdym następnym ruociągiem poziom wody w oazie al-Nadżaf systematycznie spadał. W momencie uruchomienia trzeciego ruociągu tyle wody odciągnięto z zasobów w całej okolicy, że staw w al-Nadżaf szybko wysychał i wkrótce przypominał zaledwie kałużę.

Jednak grzmienie z arabskiej oazy było zbyt odległe. A poza tym, osadnicy w Ein Shmona byli i tak zbyt zajęci, by się zatrzymać i posłuchać.

II

TAMARA 1930-1947

Po dziś dzień miłośnicy kina zastanawiają się, czy uroda Tamary była naturalna, czy - jak w przypadku Greta Garbo - magowie Hollywood postanowili pomóc naturze. Jeśli tak, pozostanie to jednym z nielicznych sekretów filmu.

Nick Bienes, Te cudowne lata trzydzieste w Los Angeles jeszcze nie wzeszło słońce, gdy Tamara była ubrana i gotowa do wyjścia. Niestety, nie mogła rozsunąć zasłon i wyjrzeć na ulicę. Wielkie, duszne pomieszczenie było ciemne i nie miało okien. Na ścianach wisiały grube, aksamitne, brązowe kotary. Słodka woń stearyny i kwiatów wisiała w ciężkim powietrzu, z trudem maskując zapach śmierci.

Popatrzyła na zegarek. Była prawie szósta.

Wzięła ze składanego łóżka swój płaszcz, parasol i scenariusz i położyła je na najbliższym ze stu rozkładanych, metalowych krzeseł, ustawionych w dwudziestu rzędach po pięć, po każdej stronie głównego przejścia.

Wsunęła polowe łóżko do szafy w ścianie i zamknęła drzwi. Teraz pomieszczenie znów odzyskało charakter kaplicy. Wszelkie ślady zostały usunięte z tego ponurego miejsca, w którym sypiała w towarzystwie śmierci.- Starła się nie rozglądać, zbierając swoje rzeczy. Mieszkała tu już od dziesięciu miesięcy. Sala Żałobna Domu Pogrzebowego Pater-sona wryła się w jej świadomość. Był to pokój przeznaczony do spokojnej kontemplacji, gdzie żałobnicy żegnali się ze swoimi bliskimi i kochanymi. Czasami, gdy łóżko polowe było rozłożone, a ona starała się zasnąć, wydawało jej się, że słyszy jeszcze ich płacz.

I trudno się dziwić, bo dokładnie na środku pokoju, na podium, zawsze stała trumna, której styl dyktowały książeczka czekowa i gust żyjących. Była zawsze otoczona olbrzymimi, cuchnącymi wieńcami i wiązkami kwiatów, wśród których przeważały tanie chryzantemy. Nad trumną, na fałdach aksamitnej

kotary, wisiał krzyż, krucyfiks, gwiazda Dawida, a czasami w ogóle nic, w zależności od wyznania przebywającego tu zmarłego. W tej chwili wisiał smutny krucyfiks, z umierającym Jezusem w cierniowej koronie i oczyma uniesionymi ku niebu.

Nie mogła się doczekać, żeby opuścić miejsce. Jestem niecierpliwa, pomyślała, bo tyle zależy od dzisiejszego dnia. Albo dziś stanie się coś, co pozwoli jej stąd uciec, albo okaże się, że jest skazana na to miejsce przez miesiące, a może lata.

Dzisiaj rano ma mieć długo oczekiwane zdjęcia próbne do roli filmowej, która może otworzyć jej wrota do nowego życia. Wszystko zależało od tego, jak się spisze. Albo jej życie zmieni się z tego powodu, albo.... Nie, spróbuje nie myśleć o innej możliwości.

Wiedziała, że i tak powinna się uważać za szczęściarę. Kiedy tylko się tu wprowadziły, Inge zaproponowała, że to ona będzie tu spać, ale Tamara nie zgodziła się na to. Inge spała więc w mniej przygnębiającym pokoiku na górze, z piecem, łóżkiem i oknem wychodzącym na zaśmiecone podwórko. Dostała pracę na pół etatu jako recepcjonistka u Patersona, z czym łączył się przywilej mieszkania. Tamara pracowała również na pół etatu jako kelnerka w Sunset Restaurant, co miało też swoje, choć mizerne, korzyści. Mogła chodzić na próbne przesłuchania, jeśli zastąpiła ją koleżanka, a w jakiej innej pracy byłoby to możliwe? Jej pensja w restauracji, powiększona o rzadkie dodatkowe dochody, kiedy pracowała jako statystka na planie filmowym, pozwalała im jakoś przeżyć.

Modląc się po cichu za powodzenie na zdjęciach próbnych, Tamara włożyła płaszcz i złapała torebkę, scenariusz i parasol. Później pofrunęła do sąsiedniego pokoju, będącego salonem wystawowym Patersona. Wieka trumien były rozdzielone, ukazując pluszowe, pikowane wnętrza. Tamara jęknęła. W blasku lamp ulicznych wielkie okno wychodzące na bulwar ociekało deszczem. Od

kilku dni wciąż lało i nie chciało przestać. Pora deszczowa w Południowej Kalifornii rozpoczęła się ostro.

Nagle usłyszała przytłumione kroki, odwróciła się i zobaczyła Inge zbiegającą po wyłożonych dywanem schodach. Jej włosy, zwykle zaplecione w koronę, sięgały do pasa. Była jeszcze w nocnej koszuli i trzymała kubek z parującą kawą.

- Nie musisz mnie wyprowadzać - powiedziała Tamara.

- Idź spać.

- Spać! - Zmarszczyła brwi z udawanym oburzeniem.

- Jak myślisz ja mam spać w taki dzień? - spytała swym łamanym angielskim z niemieckim akcentem. - Muszę ci życzyć szczęścia. - Wyminęła trumny i objęła Tamarę uważając, żeby nie rozlać kawy. Podała jej kubek.

Tamara z wdzięcznością wypila kawę. Ręce jej się trzęsły. Wzięła kilka głębszych oddechów, żeby się uspokoić i powtarzała sobie: Uda mi się! Musi mi się udać! Dla Inge. Dla pamięci mojej matki. Dla siebie!

- Nie denerwuj się - powiedziała Inge. - Dostajesz dobrą rolę, pamiętaj. Będziesz wielka gwiazda. Masz talent Sendy. Niedługo kupujemy pałac na wzgórzach i jeździmy z szoferem, ja? - Przechyliła głowę na bok i uśmiechnęła się swymi chabrowymi oczami, patrząc czule na Tamarę. Tamara przymknęła oczy.

- Boże, mam nadzieję, że masz rację - powiedziała gorąco.

- Zawsze mam rację - uśmiechnęła się Inge. Nigdy nie traciła wiary w Tamarę, nigdy. - Oczywiście dostajesz rolę, Liebling. Teraz idziesz i padną oni trupem.

Tamara zaśmiała się.

- Chciałaś powiedzieć: oni padną trupem - poprawiła. Inge wzruszyła ramionami i machnęła wolną ręką w powietrzu.

- Wszystko jedno. Ty to zrobisz. Tamara pogładziła policzek Inge.

- Obiecuję, że tak. A teraz muszę już iść, bo spóźnię się na autobus.

- Nie autobus... -Hm?

- Nie jedziesz autobus. Nie dzisiaj.

- Nie karawanem pana Patersona - poprosiła Tamara. Wystarczy, że śpię koło pokoju balsamowania, nie chcę na dodatek jechać karawanem. - Wzdrygnęła się. - Wolę czekać na autobus.

- Nie, nie karawan - odpowiedziała Inge. - Nie na to. Widzisz? Załatwiam samochód.

Inge dumnie pokazała na okno, za którym dwa razy zatrąbił klakson. Tamara rozpoznała czterocylindrowego Plymoutha z 1928 roku, który zatrzymał się przy krawężniku, a jego przednie koła rozpruły masę wody jak motorówka pruje falę. Samochód należał do najbliższej przyjaciółki Inge, Pearl Dern, charakteryzatorki w International Artists. Pearl wykorzystwała swe rozbudowane kontakty w IA, żeby zorganizować Tamarze próbne zdjęcia.

Tamara po raz ostatni uściskała Inge.

- Kochana jesteś - powiedziała ciepło.

Zawahała się, patrząc na jej minę, i zobaczyła, że na tej najłagodniejszej z twarzy maluje się kamienna pewność. Inge była przekonana, że Tamara posiada wszystko to, czego trzeba, żeby odnieść sukces. Kochana Inge, pomyślała, wierzy we mnie. Nie mogę jej zawieść. Podbudowana, odwróciła się, otworzyła drzwi i wypadła na ulewny deszcz.

Pearl otworzyła drzwiczki i Tamara wskoczyła do samochodu.

- Dzień dobry, pani Dera - powiedziała, zatraskując drzwi. - Obrzydliwy dzień, co?

- Już nic lepiej nie mów - powiedziała Pearl swym głębokim głosem, ochryłym przez dziesięciolecia palenia ogromnej ilości papierosów bez filtra. - Pada równo cały tydzień. Słyszałam w radio, że te eleganckie damy na wzgórzach zjeżdżają w dół jak narciarze w Sun Valley. Dzięki Bogu, że mnie nie stać, żeby tam mieszkać. - Potrząsnęła głową. - Latem się martwisz o pożary, zimą musisz sobie radzić z deszczem. - Wrzuciła bieg

i powoli wjechała w prawie całkiem opustoszałą ulicę.

- Naprawdę jestem pani bardzo wdzięczna za podwiezienie - powiedziała Tamara.

- Drobiazg. - Pearl rzuciła okiem w bok i uśmiechnęła się szeroko. - Ale po co ta cholerna „pani”? Masz osiemnaście lat, nie jesteś dzieckiem. Jesteś już kobietą. Jeżeli mamy się przyjaźnić, to chyba najwyższy czas, żebyś mi mówiła po imieniu.

- Dobrze, Pearl - zgodziła się Tamara.

- Teraz lepiej. Więc co do tych zdjęć... - Pearl pochyliła się nad kierownicą, jadąc ostrożnie. Była wysoką kobietą, o nieco wiejskim wyglądzie. Miała opaloną twarz o ostrych rysach, oczy koloru wyblakłych dżinsów z kurzymi łapkami wokół kącików, krótkie włosy farbowała na jasny brąz. Klatkę piersiową miała zupełnie płaską, a po męsku skrojona marynarka i długa spódnica, uszyte z grubego szkockiego tweedu, nie łagodziły jej kanciastej sylwetki.

- Ja zrobię ci makijaż, jak planowałyśmy. Nie mam zaufania do nikogo innego. - Uśmiechnęła się konspiracyjnie. - Zwłaszcza że musimy zadowolić samego słynnego Louisa Ziolkę. Pracowałaś kiedyś z tym kutasem?

- Nigdy nawet nie postawiłam nogi w International Artists. Statystkowałam tylko w Metro Goldwyn Meyer, Paramount Pictures i Warner Brothers.

- To jeszcze lepiej - powiedziała Pearl. - Ten drań lubi sam odkrywać swoje gwiazdy. Nie mógłby znieść, że kogoś przegapił, zwłaszcza jeśli miał go pod nosem. Jest dumny z tego, że potrafi wyłowić talent bez niczyjej pomocy. Wiesz, o co chodzi? - Przerwał- Nauczyłaś się tekstu? - Jej wzrok zatrzymał się dłużej na profilu Tamary.

Tamara kiwnęła głową.

- Inge powtarzała ze mną cały tydzień. Umiem na blachę.

- Czytałam ten scenariusz. Dobry. Nawet bardzo dobry. Nie ma aktorki w mieście, która by nie oddała wszystkiego - i jeszcze więcej - za tę rolę. Mówią,

że Constance Bennett i nawet Garbo błagają, żeby IA wypożyczyło je do tego filmu. Ale nie dbają o to, że „Podlotki” będą najwspanialszym filmem, jaki nakręci się w ciągu najbliższych paru lat. Chodzi im o rolę. Mówią, że dawno już nie było roli, która miałaby tyle wyrazu.

Tamara popatrzyła na nią bojowo.

- Więc jakie są moje szanse? - szeptała; - Z takimi gwiazdami jak Bennett i Garbo?

Pearl zaśmiała się swym gardłowym śmiechem i poklepała Tamarę po kolanie.

- Nie martw się. Będiesz „podlotkiem”! Zrobię cię tak, że nawet Inge by cię nie poznała. Poza tym podobno Oskar Skolnik, ten głupek, właściciel studia, chce obsadzić osobę nieznaną, więc tu masz punkt. Ja myślę, że Ziolko będzie obstawał przy obsadzeniu ciebie, jeżeli wypadniesz tak jak wczoraj wieczorem, kiedy prezentowałaś tę rolę mnie. To twoja wielka szansa, dziecko, więc daj z siebie wszystko, a nawet więcej.

- Nie zawiodę cię - powiedziała Tamara z przekonaniem.

- Wiem, że stanęłaś dla mnie na głowie. To znaczy, nie chciałabym, żebyś miała przeze mnie kłopoty.

- Kłopoty? Bzdury! - Pearl trzymała rękę na udzie Tamary.

- Słuchaj dziecko, ktoś był mi winien przysługę - powiedziała, klepiąc ją po nodze - a ja mu to przypomniałam. Tak się to kręci w tym interesie. Ty mnie, ja tobie.

Tamara zarumieniła się i uśmiechnęła ślicznie.

- Ale... jak ja mogę ci się odwdzińczyć? Co takiego mogłabym zrobić dla ciebie?

Pearl niechętnie zdjęła rękę z jej nogi.

- Nie myśl o tym na razie - powiedziała nieco tajemniczo, patrząc Tamarze w oczy - Pomyślimy, kiedy nadejdzie pora, dobrze?

Tamara powoli skinęła głową. Pearl patrzyła tuż przed siebie, na drogę. Z jakiegoś dziwnego powodu przypominała jej rekina, osaczającego ofiarę.

Ale była zbyt przejęta, żeby Zastanawiać się nad Pearl. Myślała tylko o jednej, jedynej rzeczy - „Podlotkach”.

Wszyscy z branży wiedzieli o „Podlotkach”. Była to historia trzech wesołych dziewcząt, tancerek, pracujących w rewii w Chicago.

Do głównej bohaterki, Leili, zaleca się twardy irlandzki gliniarz, ale ona zakochuje się w znanym gangsterze i wkrótce staje się jego dziewczyną. Jednak wesołe przygody nabierają śmiertelnej powagi, gdy Leila jest świadkiem morderstwa popełnionego przez swego ukochanego i jego kumpli. Policjant, który ją wciąż kocha, uznaje za swój obowiązek, aby ją wykorzystać w roli informatora. W finałowej strzelaninie między gangsterem a policjantami Leila musi zdecydować, który z nich będzie żył. Łapie za rewolwer, strzela do gangstera, a ją zabija jeden z policjantów. Umiera w ramionach kochającego ją gliniarza.

Film miał wszelkie zalety średniego kina akcji i mógłby stać się przeciętnym filmem typu: dobrzy i źli, ona jedna i ich dwóch i tak dalej, z jednym wyjątkiem. Inteligentny scenariusz został napisany przez bardzo dobrego pisarza. Miał błyskotliwe dialogi, pogłębioną charakterystykę postaci, cudowne wstawki taneczne i chwile bardzo zabawne, które odciążają poważną akcję. Rola Leili, która poznaje różnicę między dobrem a złem, wymagała pięknej, młodej kobiety z temperamentem, mogącej dać popis gry aktorskiej.

Teraz Tamara miała szansę być Leilą.

Gdy jechały wraz z Pearl, miały fabryki marzeń: Paramount, MGM i Universal, rozrzucone na olbrzymich terenach, wyglądające jak kompleksy przemysłowe, a nie miejsca, w których, jak sobie ludzie wyobrażają, czarodzieje kina wyczarowują swe cuda. Za murami znajdowały się kilometry smętnych

budynków fabrycznych, ale ich pozbawiony cudowności wygląd nie zmniejszał w niczym swej siły przyciągania.

Tamara spojrzała na zegarek, W słabym porannym ruchu miały niezły czas. Były już na słynnych terenach International

Artists. Pearl skrzyła w prawo i zatrzymała się przy budce strażnika na betonowej wysepce.

Tamara wychyliła się i spojrzała w górę na olbrzymi, tęczy łuk, rozciągający się od jednego wysokiego słupa do drugiego, kilkanaście metrów nad nią. Nawet w deszczu tęczy napis był oślepiający. Pełen obietnic. Gdy Pearl opuściła szybę, Tamara po wielokroć czytała hipnotyzujący napis:

INTERNATIONAL ARTISTS

Siedziba Gwiazd

Tuż po prawej stronie stała olbrzymia tablica reklamowa. Powoli odczytała wysokie na półtora metra, zasłonięte deszczem litery:

OSKAR SKOLNIK PRZEDSTAWIA MARIE DRESSLER w filmie „Podejrzenia” Wytwórni International Artists.

Serce zaczęło jej walić jak szalone. To była fabryka snów. Jej wyobrażenia były rzeczywistością, utrwalone dla potomności na celulooidzie. Jeśli będzie miała szczęście, to i jej marzenia mogą tutaj ożyć.

- Dzień dobry, Sam - zawołała Pearl.

- Dobry, pani Dern - odpowiedział stary strażnik w zielonym mundurze. - Ma padać jeszcze przez dwa dni.

Pearl jęknęła z niecierpliwością.

- Może trochę miłszych wiadomości dla odmiany, Sam?

- Nic nie poradzę na pogodę. - Strażnik nachylił się do otwartego okienka i spojrzał pytająco na Tamarę.

- To jest Tamara Boratevi - wyjaśniła Pearl. - ma wyznaczone próbne zdjęcia na Scenie Szóstej.

Sam sprawdził coś na okrytej plastikiem tabliczce.

- Już ją odkreślam, pani Dern. Powodzenia, panno Boralevi - uśmiechnął się i zasalutował.

Pearl dodała gazu i Plymouth przemknął pod imponującą tęczą.

O mój Boże! - wykrzyknęła Tamara, gdy odwróciła się, aby obejrzeć swą twarz w oświetlonym dokoła lustrze. Cofnęła się z niedowierzaniem, a w jej oczach malował się wstrząs. Nie mogła uwierzyć, że twarz, którą widzi w lustrze, naprawdę należy do niej.

Powoli, pod baczny wzrokiem Pearl, Tamara przybliżyła się do lustra. Później ostrożnie dotknęła swej twarzy opuszkami palców.

- Ostrożnie - ostrzegła Pearl.

Tamara skinęła głową, starając się nie uszkodzić mistrzowskiego dzieła Pearl, ale musiała się dotknąć, żeby sprawdzić, czy to naprawdę ona. Skóra miała porcelanową gładkość, ale była to jej skóra. Czy taka diabelska alchemia jest możliwa?

- No, i jak uważasz? - spytała rzeczowo Pearl, stojąc z boku ze skrzyżowanymi na płaskich piersiach ramionami.

Tamara wciąż potrząsała głową z niedowierzaniem. Wiedziała teraz, dlaczego Pearl uważana była za najlepszą charakteryzatorkę w branży.

Odwróciła się powoli od lustra.

- To... to naprawdę ja! - szepnęła. Pearl popatrzyła na nią.

- Tak, to ty. - Wzruszyła ramionami tym swoim męskim gestem.

- Zrobiłaś cud!

- Tym się zajmuję, taka praca. Poza tym, dziecko, z tobą było łatwo. Masz odpowiednie kości i wszystko, co trzeba. Ja to tylko wydobyłam.

- Ale to coś więcej - upierała się Tamara. - Musi być coś więcej.

Pearl milczała przez chwilę. Później przyciszonym głosem, unosząc ostrzegająco palec, powiedziała:

- Posłuchaj mojej rady. Jeśli zapomnisz o wszystkim innym, co ci powiedziałam, zapamiętaj tę jedną rzecz.

- Co takiego? - spytała Tamara.

Pearl włożyła do ust papierosa, zapaliła zapalką i zaciągnęła się głęboko.

- Najważniejszą zasadą w tym interesie, dziecińo - odpowiedziała w kłębach błękitnego dymu - jest ta, o której zapominają wszystkie gwiazdki, gdy już staną się wielkie. - Zrobiła dramatyczną pauzę. - Z kimkolwiek walczysz czy się przyjaźnisz... nigdy, przenigdy nie wchodź w konflikt z kamerzystą. On może być twoim najlepszym przyjacielem albo najgorszym wrogiem. On widzi, jak wypadasz w filmie i dzięki niemu możesz wyglądać bardzo, bardzo dobrze, albo bardzo, bardzo źle. Ucz się od niego wszystkiego, czego się da, różnych trików. Obejrzyj twoje najlepsze i najgorsze ujęcia. Pracuj z nim, jak gdyby był częścią ciebie. Zadawaj pytania, patrz przez obiektyw. To pomoże bardziej niż cokolwiek innego.

Tamara pokiwała głową.

- Zawsze myślałam, że to reżyser jest najważniejszy.

- Jest - odpowiedziała krótko Pearl. Znow zaciągnęła się głęboko i wypuściła kłąb dymu. - Na ogół ma to, czego chce, czyli trzydzieści ujęć tej samej sceny. Oczywiście, jeśli reszta załogi chce z nim współpracować i zgadza się na to.

- To znaczy, oświetleniowiec może źle ustawiać światła, kamerzysta źle sfotografuje aktorkę, charakteryzator...

- Szybko się uczysz, dziecińo - powiedziała Pearl z szacunkiem. - A teraz odwróć się, zdejmę to z ciebie. - Odwiązała tasiemki, zdjęła z Tamary biały ochronny kitel i strzepnęła go. Później jeszcze raz krytycznie przyjrzała się Tamarze, zgasła papierosa i poprawiła kreseczkę przy oczach. - No dobrze, dziecko, teraz przechodzisz już w inne ręce.

Garderobiana i krawcowa rzuciły się na Tamarę jak głodne wilki.

Widać było, że rządzi tu garderobiana. Była wysoka, chuda, z oczami wypukłymi od nadczynności tarczycy, Przez chwilę przyglądała się chłodno

Tamarze. Krawcowa była przeciwieństwem swej przełożonej: niewysoka, grubiutka, nie mogła spokojnie ustać. Mimo różnic w wyglądzie i charakterach, współpracowały niezwykle efektywnie - porozumiewały się niemal bez słów lub pojedynczymi wyrazami.

Tamarę nie bardzo bawił przedłużający się proces wybierania dla niej kostiumu, ale znosiła to z niesłychaną cierpliwością i spokojem. Chciała tylko, żeby obie kobiety, które zwracały się do siebie po nazwisku - krawcowa była McBain, a szefowa garderoby Sanders - podjęły decyzję i żeby wszystko wreszcie się skończyło.

McBain i Sanders były jednak profesjonalistkami, które nie lubiły być poganiane, a obfity magazyn bardzo utrudniał wybór. Tamara zacisnęła więc zęby wiedząc, że robią jej przysługę. Przygotowanie do próbnych zdjęć musi być doskonałe, bo od tego wszystko zależało. A ona tak bardzo chciała, tak bardzo potrzebowała tej roli...

Poza tymi wybieranie kostiumu umocniło jej pewność siebie. Była to garderoba godna oszałamiającej gwiazdy, kreacje pasujące do jej nowej twarzy i beztroskiego życia luksusowych podlotków z rewii. Obszywane cekinami staniczki, wspaniale powycinane dekolty, szeleszczące jedwabie, błyszczące atłasy, gładkie aksamity - było tam wszystko, co podkreślało zalety jej nowego wyrazu. Biżuteria miała być wybrana z pudła sztucznych kolczyków i broszek, naszyjników i pierścionków - bezbłędnych kopi najpiękniejszych klejnotów, jakie można sobie wyobrazić. A przepaski i pióra - strusie i pawie, czaple i marabucie....

Och, ten oszałamiający przepych!

Marzenia Tamary, żeby zostać aktorką, początkowo podsycane były wspomnieniami o matce, o jej talencie do opowiadania dziecku zabawnych historii, w których naśladowała różne głosy i robiła przedziwne miny, jakby zmieniała maski.

Gdy przyjechały z Inge do Nowego Jorku, opiekunka starała się wybić dziecku z głowy takie niepoważne plany. Oczywiście bezskutecznie. Tamara wkrótce odkryła, że pasja aktorska wciąż w niej płonie. Nie pomagały żadne perswazje i dobre rady, odnosiły wręcz przeciwny skutek. To była jedyna sprawa, w której sprzeciwiała się Inge. We wszystkich innych była absolutnie posłuszna. No, prawie. W końcu Inge była jej zastępczą matką. Nie starała się jednak wymazać obrazu Senty i zająć jej miejsca. Wręcz przeciwnie, często ją wspominała i przytaczała różne anegdoty. Senta podbiła sceny w Rosji, a Tamara była zdecydowana zrobić to samo w Nowym Jorku.

Jednak teatr w Nowym Jorku, z którym wiązała tyle młodzieńczych nadziei, okazał się nie do pokonania. Ciągłe porażki nie zniechęcały jej, lecz przeciwnie, sprawiały, że wrodzone umiłowanie sceny odzywało się w niej z większą mocą. Po jakimś czasie nawet Inge zaczęła jej pomagać, w miarę swoich możliwości, żeby te marzenia stały się rzeczywistością. Z radością przystała na decyzję Tamary, żeby przenieść się z Nowego Jorku na bardziej zielone i bujniejsze pastwiska Hollywood.

Tamara była tak pogrążona w myślach, że zapomniała o dotykających ją wciąż rękach krawcowej i garderobianej. Dopiero teraz, kiedy skończyły, ocknęła się z zamyślenia i zorientowała się, że jest gotowa.

Szefowa garderoby cofnęła się i w zamyśleniu potarła podbródek.

- To jest to - powiedziała zdecydowanie. - Tak ma być. McBain?

Głowa pulchniutkiej krawcowej chodziła w górę i w dół.

- To jest to, Sanders-zgodziła się. Tamara spojrzała na siebie w lustro.

- No i? - spytała Sanders. - Co o tym myślisz?

- Myślę, że wyglądam... wyglądam obłądnie, co? - odważyła się odezwać Tamara.

- Dokładnie. - Obejrzała ją starannie. A to spryciula, pomyślała. Uśmiechnęła się po raz pierwszy i wyciągnęła w górę kciuk. - Powodzenia!

- Połamania - dodała krawcowa.

Nim Tamara zdołała im podziękować, wyszły, zostawiając ją samą z Pearl. Gdy drzwi się zamknęły, Tamara, we wszystkich tych błyszczących wspaniałościach, skuliła się nagle. Dowlokła się do krzesła, przymknęła zielone oczy i zacisnęła dłonie na poręczy krzesła.

- Co jest, dziecko? - spytała zaniepokojona Pearl, podchodząc do niej.

- To znaczy... to znaczy, że jestem gotowa! - Tamara otworzyła oczy i spojrzała w lustro na tę obcą osobę. - Ale teraz właśnie nie pamiętam z mojego tekstu ani słowa! - Patrzyła przerażona na Pearl. - Ani słówka! - szepnęła wystraszona.

Przypomnisz sobie wszystko, gdy cię postawimy na planie - zaśmiała się Pearl gardłowo.

- Czy to trema?

- No, no. - Pearl przyciągnęła ją do siebie, uśmiechnęła się i ścisnęła jej rękę.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała uspokajająco.

- Tak! Musi być!

- Siadaj i daj sobie minutę na uspokojenie. Tamara odetchnęła głęboko kilka razy.

- Uspokój się, dziecinko. Pearl się tobą zajmie - powiedziała dziwnie miękko głosem. Stała za kanapką i zawahała się, po czym jej palce zaczęły masować ramiona Tamary, poprzez obszyty cekinami srebrno-biały jedwab i szyfon.

- Przymknij oczy i nie myśl o niczym. Wszystko ci się przypomni.

Tamara posłusznie skinęła głową i Pearl dalej rozluźniała jej napięte mięśnie, ześlizgując się rękami coraz niżej i niżej, aż były w pobliżu piersi dziewczyny. Tamara, w niektórych sprawach niedoświadczona i naiwna, pozwalała się dotykać. Pearl okazała się taka pomocna. Jej palce były delikatne, uspokajające, pieśczośliwe...

Nagle zapukano do drzwi i obie kobiety podskoczyły. Pearl odsunęła rękę.

- Już czas, panno Boralevi - zawołał asystent. - Pan Ziółko lada chwila będzie na planie!

Nagi czy ubrany, Louis Frederic Ziółko był zbyt imponującym mężczyzną, by zginąć w tłumie. Jego wzrost, czarne, falujące włosy, książęcy nos, zmysłowe usta i ciemne oczy, foremne ciało urodzonego sportowca sprawiały, że dla każdego agenta wyglądał jak ideał hollywoodzkiego amanta, uosobienie playboya. I był nim, gdy tylko nadarzała się okazja.

Dla kogoś nie zorientowanego robienie filmów wydaje się życiem łatwym, składającym się w czterdziestu pięciu procentach z olśniewania, w czterdziestu pięciu z bywania na przyjęciach i tylko w dziesięciu procentach z wykonywania przyjemnej pracy.

W rzeczywistości obywatele tego celuloidowego państwa pracowali ciężiej niż niewolnicy. Robienie filmów było harówką sześć dni w tygodniu, od świtu do ciemnej nocy. Wobec tego ci niepoprawni pracoholicy wykorzystywali w pełni jedyny, zasłużony dzień odpoczynku - niedzielę. Niedzielne popołudnia były niekończącym się ciągiem pływania, meczów tenisowych i spotkań towarzyskich. Te legendarne imprezy na Wzgórzach Hollywood, a szczególnie Lookout Mountain, rozpoczynały się właściwie w niedzielę wieczorem, gdy gwiazdy snuły się od domu do domu, zabierając z sobą swoje koktajle. Ta trasa nazwana została Złotym Wybrzeżem. Jakby tego było mało, wystrojone gwiazdy zstępowały z piedestałów i udawały się do Ciro's albo Trocadero na kolację i tańce. W pewnym sensie te słynne przyjęcia były przedłużeniem pracy. Nikt nie śmiał odmówić królewskiemu wezwaniu szefa studia, nawet jeśli było wiadomo, że chciał mieć trawniki udekorowane gwiazdami, gwiazdkami, reżyserami i pisarzami, żeby ich sfotografować do prasy lub do własnej kroniki filmowej, tworząc tym samym wydarzenie, które służyło do celów reklamowych. Nic więc dziwnego, że przyjęcia hollywoodzkie stawały się legendą.

Louis Ziolkowski był regularnym bywalcem wszystkich tych niedzielnych spotkań. Wcale nie było po nim widać przetańczonych nocy z jakąś ślicznotką na Sunset Strip. Był demonem na kortach tenisowych i rybą w basenach, co trzymało go w doskonałej formie. Wyglądał na więcej niż swoje trzydzieści lat. Ponieważ był niezwykle przystojnym i kulturalnym kawalerem, a kobiety w Hollywood nie różnią się niczym od kobiet na całym świecie, miał dowolną liczbę piękności wzdychających o jego przyjaźń, małżeństwo lub choćby o jedną noc w zamian za pomoc w karierze, albo tylko dla przyjemności.

Pławił się w tej atencji. Sobotnie wieczory i niedzielne popołudnia pomagały tworzyć legendę Louisa Ziolkowskiego: ambitnego, odnoszącego sukcesy zawodowe i łóżkowe, bogatego, młodego reżysera. Niejedna kobieta dała mu się uwieść w nadziei na obrączkę. Tylko jednej kiedyś się to udało, ale jak większość byłych żon, pozostała dla Louisa mglistym wspomnieniem, podtrzymywanym tylko terminami płatności alimentów.

Mimo burzliwych romansów i skandali, zwłaszcza na Wzgórzach Hollywood, wybuchających z regularnością zegarka, społeczność filmowców była dość zamknięta. Większość dyrektorów studiów filmowych była bardzo pruderyjna w sprawach seksu, wobec tego Louis zachowywał w tajemnicy swoje przygody. Poza tym, nie liczył się zupełnie z opiniami innych. Choć czasami zdarzało mu się przespać z kobietą, opowiadającą później o jego jurności, wolał płacić za damskie towarzystwo i wybierać prostytutki, z którymi nie stykał się później w codziennym życiu. Było to bardzo praktyczne. Płacił za wyświadczoną usługę, mówili sobie do widzenia, jego partnerka nie wiedziała nic o nim i odwrotnie, przede wszystkim - nie było żadnych zobowiązań. Wolał to niż trwały związek, który mógłby stracić proporcje i skomplikować się bardziej, niż by sobie tego życzył. Jeśli z jakichś powodów jego życie nie było doskonałe, to może dlatego, że nie był żonaty. Problem polegał na tym, że nie spotkał jeszcze kobiety, z którą mógłby sobie wyobrazić dalsze życie.

Podczas gdy Tamara czekała z zapartym tchem na przyjazd Louisa Ziolk, on wcale nie miał zamiaru się pojawić i raczej nie był w dobrym humorze. Ostatnią noc spędził na piciu i seksie. Dziś rano obudził się z najgorszym w swoim życiu kacem, a co gorsza, zobaczył, jak wszystko, na co pracował, odpływa. Dosłownie. Tuż przed oczami.

Jego kłopoty rozpoczęły się wczoraj, gdy jego czerwono-czarny Duesenberg, model J, rozkraczył się na środku Wilshire Boulevard. Po odholowaniu do mechanika poinformowano go, że trzeba będzie czekać tydzień lub dwa, aż przyjdą części z Detroit. Musiał wziąć swego granatowego Chryslera. Później, wieczorem, przejrzał prawie cały swój „czarny notesik”, nim w końcu szczęśliwie trafił na dziewczynę, która była jeszcze wolna na tę noc. Nigdy przedtem nie korzystał z jej usług, ale słyszał, że jest dobra.

Dziś rano obudził go jakiś straszny rumor. Jego pierwszą myślą było: Mój dom!

Już we śnie słyszał rozdzierający huk i przysięgłby, że dom sunie jak potężny byk na rodeo. Natychmiast przysłała mu do głowy myśl, jaka prześladowe wszystkich Kalifornijczyków: Trzęsienie ziemi!

Serce podskoczyło mu do gardła, gdy wyrwany ze spokojnego snu siadł nagle na łóżku i przyłapał panienkę, którą sprowadził, na grzebaniu w jego rzeczach. Zrobiła sobie stosik z jego złotych i diamentowych spinek do mankietów, diamentowych spinek do krawata, złotej zapalniczki, papierošnicy od Cartiera i złotego zegarka Rolex.

Gdy wyskoczył z łóżka, żeby złapać tę dziwkę, powietrze przeszyło potworne skrzypienie. Zaraz po nim poczuli wstrząs i oboje upadli na dywan.

W przeciwieństwie do Louisa Ziolk, urodzonego i wychowanego na Brooklynie, dziewczyna była z Kalifornii i wstała pierwsza. Zapominając o kosztownych drobiazgach na biurku, krzyknęła: „Trzęsienie ziemi!” i skoczyła do drzwi.

Pozostawienie właśnie tych drzwi otwartych było dużym błędem. Wychodziły one na taras naprzeciw pionowej ściany zbocza kanionu za domem. Ziolkko obudził się zupełnie, przerażony napływającym przez drzwi brązowym strumieniem błota, jakby wymiotował jakiś potwór. Wiedział, że jeśli nie zadziała natychmiast, oboje zostaną zalani w ciągu kilku sekund. Schwycił przerażoną dziewczynę za rękę i uciekli razem przez drzwi balkonowe po drugiej stronie pokoju. Gdy biegli w stronę podjazdu, Ziolkko żałował, że nie zostawił złodziejki w tym błocie, ale zaraz inna myśl wyparła tamtą: balkon, na którym stali, położony sto metrów nad Los Angeles, jęczał i drżał, a potężne słupy betonowe, stanowiące jego oparcie, padały już jeden po drugim. Zdołali jakoś zbiec na dół.

Trzęsienie ziemi, pomyślał Ziolkko przerażony. Cholerne trzęsienie.

Gdy stanęli na podjeździe, zauważył z ulgą, że teren jest pewny. Tylko wzgórze, do którego przyklejony był dom, obsuwało się kanionem, tworząc olbrzymi potok błota. Stojąc nago w lodowatych strugach deszczu, Ziolkko krzyczał:

- To obsunięcie!

Trzęsąc się z zimna, oboje, on i dziewczyna, patrzyli na chlubę i dumę Ziolkki - jego dom. Ta konstrukcja w stylu Art Deco, z mnóstwem betonowych podpórek, na których rozpościerały się balkony, dumnie sterczała nad Los Angeles. Nie powinno się jej stawiać na tym niemal pionowym zboczu, na co zupełnie nie zwracali uwagi poprzedni właściciele, potentat azbestowy i jego żona, młoda gwiazdka. Poinstruowali budowniczego, żeby zatopił podmurówki w miękkim wzgórzu, aby budowla przypominała stateczek, wyrzucony przez olbrzymią falę Pacyfi i ! mieszczony przez nią na tym wzgórzu.

Rok później żona potentata pokochała Amerykę Łacińską i przeniosła się do urzędzonej po hiszpańsku hacjendy w Bel Air razem z nowym mężem, kubańskim playboyem, którego seksualne potrzeby i możliwości były legendarne.

Kiedy Ziolkko dowiedział się, że posiadłość jest na sprzedaż, szybko ją kupił, dobudowując olbrzymi basen na wzgórzu, na tyłach domu. Z rzadka ozdobił dom meblami i ozdobami w stylu Art Deco, osiedlił się i śmiał w nos tym ważniakom, którzy z kolei podśmiewali się z jego braku rozsądku i przeklinali kanion.

Teraz on przeklinał dom, pięć stromych akrow ledwo porośniętych gruntów, szesnaście olbrzymich pokoi, garaż na cztery samochody, wyłożone granitem patio otaczające podgrzewany basen, przeklinał - prawdę powiedziawszy - wszystko i wszystkich. Patrzył ze złością, jak jego piękny dom przelamuje się na pół: jedna część zsuwa się w dół po stromym zboczu, a druga ginie tajemniczo w jego wnętrzu. Przez długą, smutną chwilę patrzył jak dziecko na otwarty domek dla lalek: trzy poziomy przekrojonych pokoi, monumentalna klatka schodowa, jadalnia i sypialnia, przez którą właśnie przewalało się brązowe błoto, opadając wodospadem w kanion, sto metrów niżej.

- Cholerni skurwiele, którzy sprzedali mi ten pieprzony dom! - grzmiał.-
Goło ich puszczyć!

- Mój zegarek! - popłakiwała dziewczyna cicho. - Moje ubranie. - Stała smętnie, usiłując zakryć rękami obnażone piersi i jasną kępkę włosów między udami. - Wszystkie moje najlepsze rzeczy zostały w sypialni - narzekała, szcękając zębami z zimna.

- Niech cię cholera, ty kurewska złodziejko! - wył Ziolkko - tu chodzi o mój dom!

Patrzyli jak zahipnotyzowani na resztki budynku rozpadające się z hałasem na cztery olbrzymie części, fikające koziołki i ześlizgujące się po spływającym deszczem wzgórzu. Wyglądało to jak najlepszy efekt filmowy. Za wszystkim spływały tony błota, pogrzebując jego dom na zawsze.

Louis Ziolkko powoli uniósł mokrą od łez i deszczu twarz. Odchylił głowę i zaniósł się potężnym śmiechem, nie zważając na dziewczynę; na pewno uzna go za psychicznego, którego trzeba odwieźć do czubków.

Co za farsa!

Teraz, gdy mógł minutę pomyśleć, stwierdził, że w końcu nie jest tak źle! Przecież zdołał pomieszkać w tym domu, miał godną pozazdrośczenia pozycję reżysera numer 1 w tym mieście pełnym układów i klik. Wszystko to było trudne do osiągnięcia w ogóle, a szczególnie dla takiego Louisa Ziolk z Williamsburga na Brooklynie. Dzięki Bogu, że udało mu się stamtąd uciec. Nie było to łatwe, ale on miał zawsze wycucie: ulicy, interesu, sztuki, filmu. Nie urodził się z nimi - wykształcił je w sobie.

- Mój syn, taki macher - narzekała jego matka, Zelda.

- On jest za sprytny. To mu nie wyjdzie na dobre, czuję. Takie „niedobrego”.

Ale wszystkie te cechy przydawały mu się i w przeszłości, i przydawały się teraz. Inaczej nigdy nie wpadłby na to, żeby wraz z umową kupna od razu wykupić też polisę ubezpieczeniową na olbrzymią sumę. Do diabła, jeszcze na tym zarobi.

Sprawy przedstawiały się coraz lepiej. Kto by w to uwierzył? Gdyby potrzebował pieniędzy i chciał sprzedać ten monstrualny dom, na amatora musiałby czekać latami. A teraz w firmie ubezpieczeniowej mogą sobie rwać włosy z głowy, ale muszą zapłacić.

Jeśli idzie o pracę w filmie, nigdy jego pozycja nie była lepsza. Okres kryzysu sprowadzał do kin tłumy widzów, może dlatego, że ludzie chcieli uciec od własnych problemów. Jego szef w studio, Oskar Skolnik, zwany O.T., legendarne, cudowne dziecko wytwórni Inneruational Artists, wybrał już go do reżyserowania trzech nowych filmów dla IA w ciągu najbliższych osiemnastu miesięcy. Następne dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Rzeczywiście, Kalifornia nie na darmo została nazwana Złotym Stanem!

- No i co zrobimy? - biadoliła dziewczyna, przywołując go do przygnębiającej, chłodnej, zalanej deszczem rzeczywistości Los Angeles.

Ziolko nie tracił czasu na zbędne słowa.

- Wyjeżdżamy z tej piekielnej dziury, zanim to cholerne wzgórze nie pogrzebie nas żywcem - powiedział ponuro. - To zrobimy.

Wsiadł do granatowego Chryslera, w którym, na szczęście, zostawił kluczyki. Skórzana tapicerka była zimna jak lód, ale prawie tego nie zauważył. Otworzył dziewczynie drzwiczki. Stała z głupią miną nie wiedząc, co zrobić.

- No, wchodź! - polecił.

Dziewczyna popatrzyła niepewnie, jak gdyby miała inne wyjście, a potem usiadła obok niego.

- Nie mam nic do ubrania - narzekała.

- Dostaniesz coś.

Ziolko przekręcił kluczyk w stacyjce i nacisnął pedał gazu. Silnik zawahał się, kichnął i zgasł. Louis zaklął i spróbował jeszcze raz, bojąc się, żeby nie wyładować akumulatora. Po jeszcze kilku kichnięciach silnik wreszcie zaskoczył. Odetchnął z ulgą.

- Cholerny deszcz. Dlaczego w Nowym Jorku nigdy tak nie leje? - marudził.

- Bo w Nowym Jorku pada śnieg - mruknęła dziewczyna. Ziolko włączył wycieraczki. Skrzypiały, poruszając się tam

i z powrotem, z trudem radząc sobie ze strumieniami wody, jakie lały się z nieba. W końcu na szybie pojawił się kawałek przetartego miejsca. Wrzucił wsteczny bieg i popatrzył przez ramię, bezskutecznie usiłując dojrzeć koniec podjazdu poprzez strugi deszczu. Tylny zderzak stuknął w mur i oboje podskoczyli.

- Jezu! - dziewczyna histerycznie wrzeszczała dotykając czoła. - Uderzyłam głową w szybę. Mogłam się zabić, ty draniu!

- Szkoda, że dopiero teraz - mruknął Ziolko pod nosem. Chciał jak najszybciej stąd wyjechać i jak najszybciej pozbyć się dziewczyny. Później będzie mógł pomyśleć, jak się urządzić. Niepotrzebna mu taka żoła.

Pocieszył się, że silnik pracuje, i cofnął, ufając bardziej pamięci niż wzrokowi. Wyjechał na drogę wzdłuż kanionu. Nie zatrzymał się na

skrzyżowaniu, gdyż założył, że szanse kolizji są minimalne: droga była w ogóle mało używana, a co dopiero w taką beznadziejną pogodę!

Zerknął w bok. Dziewczyna skuliła się, drżąc konwulsyjnie, zęby jej szczękały, a gładka skóra pokryła się gęsią skórką. Po dłuższym milczeniu ona z kolei spojrzała na niego.

- Masz jakąś gotówkę, żeby mnie wspomóc? - spytała cicho. - Muszę kupić sobie jakieś ubranie. Poza tym, jeszcze mi nie zapłaciłeś.

Ziolko wybuchnął śmiechem z głębi serca. Po raz pierwszy dzisiaj tak się śmiał i dobrze mu to zrobiło.

- Z czego się śmiejesz? - spytała oburzona, kuląc się głębiej w fotelu.

Ziolko uderzył pięścią w klakson.

- Powiem ci, z czego. Pieniądze! Chcesz pieniędzy, to zawrócę i możesz grzebać tam, gdzie był mój dom. Tam są moje pieprzone pieniądze!

Dziewczyna zaklęła pod nosem.

- Zobacz z tyłu. Na siedzeniu są jakieś koce. Podaj mi jeden i weź sobie drugi. Przynajmniej nie będziemy nadzy jak wariaci. Jeszcze tego nam brakowało, żeby nas zamknęli.

Zjechał na pobocze i owinęli się w szorstką, Szetlandzką wełnę.

- Gdzie mam cię wysadzić?

- Mówiłam ci, moje mieszkanie jest koło Strip.

Ziolko sięgnął do schowka w samochodzie i wyciągnął stamtąd pięć dolarów, które trzymał w pogotowiu na wszelki wypadek.

- Masz, tu jest zaliczka. Wysadzę cię, a resztę przyślę po południu.

Dziewczyna chętnie wzięła pieniądze i siedziała już mniej obrażona. Ziolko starał się zgadnąć, ile ma lat. Wczoraj twierdziła, że dwadzieścia jeden, i na to wyglądała, ale teraz, z bliska, siedemnaście wydawało się bardziej prawdopodobne. Im młodsza, tym lepiej.

Była bardzo zdziwiona, gdy nagle skręcił w lewo na opustoszałą boczną drogę. Zahamował tak ostro, że znów polecili do przodu.

- Dlaczego stajesz? - spytała. - Zglupiałeś, czy co? Nie jesteśmy jeszcze w mieście.

- Dostałaś zaliczkę? Więc jeszcze nie ubiliśmy interesu,

- Uśmiechnął się szeroko, odchylił koc na swoim kroczu i pochylił do niego głowę dziewczyny. - To, że straciłem dom, nie oznacza, że skończyłem już z tobą.

Dziewczyna popatrzyła na niego wściekle, ale zrezygnowała z walki i otworzyła usta.

- Mogłabyś się do tego bardziej przyłożyć. - Ziolkę złapał ją za włosy. Potem oparł się wygodnie, przymknął oczy i pojękiwał, czując na sobie jej wilgotne usta. - Widzisz? - spytał. - W końcu nie jest aż tak źle. W każdej sytuacji można znaleźć coś dobrego.

Pół godziny później Louis Ziolkę z charakterystycznym dla siebie zblazowaniem i obojętnością dla opinii innych ludzi, zatrzymał się z piskiem opon przed Beverly Hills Hotel. Zarzuciwszy na siebie koc jak pelerynę matadora, wysiadł z samochodu, ignorując zdumione spojrzenie strażnika parkingowego. Portier, który sądził, że w ciągu swej trzydziestoletniej służby w najlepszych amerykańskich hotelach widział wszystko, normalnie podbiegłby natychmiast do niego z otwartym parasolem. Tym razem nie był jednak w stanie wykonać żadnego ruchu i patrzył na Ziolkę z mieszaniną zdumienia i niedowierzania.

Nie zważając na jego minę, Louis trzymał głowę wysoko, wchodząc pewnie po schodach. Dopiero teraz w tej dziwnej postaci portier rozpoznał gościa, natychmiast stuknął obcasami i szeroko otworzył drzwi.

- Przepraszam, panie Ziolkę - zawołał, już do jego pleców. - Nie poznałem pana...

Ziolkę nie odwracając się kiwnął ręką i na bosaka podszedł do recepcji. Niestety nie było w niej żadnej znanej twarzy, tylko jakiś mężczyzna patrzący

ze zdumieniem. Ziolko odwzajemnił spojrzenie. Recepcjonista chrząknął w dłoń, a drugą dał dyskretny znak ochroniarzowi.

- Chcę domek numer jeden, jeśli jest wolny - zwrócił się do urzędnika, który wyglądał jak tknięty apopleksją. - I podwójną przebieralnię przy basenie.

Początkowy szok recepcjonisty zmienił się w śmiech.

- Przepraszam pana - powiedział, odzyskawszy panowanie nad sobą - ale nie mamy wolnych miejsc.

Odwrócił się plecami i zajął przeglądaniem jakichś listów.

- Co to znaczy nie mamy? Dla mnie zawsze jest domek, jeżeli nie numer jeden, to jakiś inny. — Ziolko pstryknął palcami. - Zajmij się tym.

Recepcjonista odwrócił się i westchnął z rezygnacją. Przechylił się przez ladę, kiwnął palcem na Ziolkę, żeby podszedł bliżej i zniżył głos.

- Słuchaj pan - powiedział oschle. - Nie chcemy tu żadnych kłopotów. Zrozumiano?

Ziolko obdarzył go pogardliwym spojrzeniem:

- Wyprostuj sobie krawat, bo się przekrzywił.

Gdy zobaczył, jak ręka recepcjonisty instynktownie sięga do kołnierzyka, poczuł się lepiej, ale nie na długo. Poczul mocny uścisk na swym gołym prawym ramieniu.

Ziolko odwrócił się i stanął twarzą w twarz z hotelowym detektywem. On też był nowy i najwyraźniej go nie znał. Gdzie są wszyscy, gdy ich potrzeba?

- Jeśli pan spokojnie wyjdzie, nie będziemy zmuszeni wzywać policji - powiedział detektyw dosyć cicho, ale stanowczo.

Ziolko strząsnął jego rękę i otrzepał miejsce, gdzie był dotykany. Z wyrazu jego twarzy widać było, że obsługa hotelowa posunęła się zbyt daleko.

- Wołajcie policję, jak chcecie, ale czas to pieniądz, a marnujecie mój. Żądam rozmowy z właścicielem, jeśli wam zależy na tej pracy. - Uniósł pytająco brwi i patrzył od jednego do drugiego. I właśnie wtedy, nim któryś z nich podjął decyzję, usłyszał znajomy, przyjacielski głos.

- Louis? Czy to ty pod tym paskudnym kocem?

Ziolko z ulgą stwierdził, że to sam właściciel, wyczuwając niebezpieczeństwo jakimś zmysłem znanym tylko hotelarzom, pojawił się przed nim we własnej osobie. Gdy zbliżył się, hotelarz pstryknął palcami i detektyw znikł, a recepcjonista zajął się jakimiś papierami, żeby pokryć zmieszanie.

- Tak, to ja. - Ziolko wstrząsnął się, dopiero teraz czując zimno i wilgoć. - A dla twojej informacji, jest to wełna szetlandzka, którą trudno nazwać paskudną.

- Rzeczywiście.

Ziolko szybko wyjaśnił sytuację.

- Klucz do jedyńki. - Właściciel wyciągnął rękę do recepcjonisty. - I proszę przysłać kosz powitalny do pana Ziolko z wyrazami szacunku od hotelu. Jasne?

Recepcjonista zrozumiał. Zaczerwienił się i rzucił do akcji. Nie trzeba mu było mówić nic więcej.

Dwie godziny później Louis Ziolko, w grubym płaszczu kąpielowym, który dostał w hotelu, czuł się jak nowo narodzony. Po gorącej kąpeli i butelce markowego francuskiego szampana ułożył się wygodnie na kanapie, mając przy boku czarny telefon - linię ratunkową łączącą go ze światem zewnętrznym. Z każdą minutą czuł się lepiej. Domek był suchy, ciepły i bezpieczny, deszcz padał na zewnątrz i gdyby nie fakt, że z powodu pogody słynny basen był zamknięty, niczego więcej nie było mu trzeba. Najważniejsze wyposażenie dżentelmena było już w drodze. Zadzwoił do właściciela swego ulubionego magazynu z męską galanterią i wkrótce będzie miał dosyć ubrań, a te na miarę już zaczynały się szyć. Na stolyczku obok niego stał kosz delikatesów, pełen owoców i serów. Wprawdzie do doskonałości brakowało mu butelki z czymś mocniejszym, ale nie mógł za to winić hotelu: panowała prohibicja, więc szmuglowany szampan i tak był miłą niespodzianką.

Zaczęło mu burczeć w żołądku, co było znakiem, że minęła już pora śniadania. Ponieważ nie lubił sobie niczego odmawiać, zamówił przez telefon suty posiłek. Później zadzwonił do swojej matki, Zeldy, która mieszkała w

kupionym przez niego domu w Pasadenie: na tyle blisko, żeby nie narzekała, że jest za daleko, ale na tyle daleko, żeby nie mogła wpadać, kiedy tylko jej to przyjdzie do głowy. W końcu zadzwonił do studia i odwołał wszystkie spotkania.

- Ale ma pan umówione trzy zdjęcia próbne do „Podlotków!” - zaprotestowała Janice Frauenfelder, jego sekretarka.

— Umów je na jutro. Albo wiesz co, kotku: jeszcze lepiej na pojutrze.

Wyłączył się, gdy protestowała.

Kiedy przywieziono mu śniadanie, uniósł srebrne pokrywki, ochraniające jajka a la Benedict, półmisek owoców, bajgielki z kremowym serkiem i cieniutkie płatki wędzonego łososa. Chciał się właśnie zabrać do jajek, gdy przyszli posłańcy z jego ubraniami i biżuterią. Zostawił widelec na talerzu, a kiedy gońcy z dobrymi napiwkami odeszli, nalał sobie kawy. Jedzenie stygło.

Teraz, gdy miał się już w co ubrać, a dzięki właścicielowi, który sam zaproponował pożyczkę, miał w kieszeni dwieście dolarów, Ziolkko nie czuł się już głodny. Czuł potrzebę łowów.

Ta dziewczyna ostatniej nocy wcale go nie zaspokoila, zwłaszcza po tej katastrofie, co teraz było dobrze widać poprzez szlafrok.

Pogwizdując cicho włożył sweter, spodnie, buty i płaszcz od deszczu. Już czuł w sobie gotowość do polowania. Pochodzi sobie po ulicach, postanowił, szukając w bramach czegoś do poderwania. Jeśli to mu się nie uda, wpadnie do kilku barów kawowych, gdzie zawsze snują się jakieś panienki, chętne, żeby im postawić kawę. Może trafi mu się podryw jego marzeń.

tylko, żebyś się nareszcie zdecydowała - powiedziała Jewel swym południowym akcentem. - Wszyscy mamy jakieś plany.

Juliet („mów mi Jewel”) Haynie miała lat czterdzieści dziewięć, była kelnerką i prowadziła przegraną walkę z czasem, farbując włosy na ognisty rudy kolor i ukrywając czerwoną cerę pod grubą warstwą makijażu.

- Wiem, Jewel, przepraszam - powiedziała skruszona Tamara. - Naprawdę mi przykro. Dzisiejsze zdjęcia odwołano. To naprawdę nie moja wina.

- Wszystkie tak zawsze mówią - narzekała Jewel. - Czasem się zastanawiam, dlaczego jestem taka dobra dla was, dzieciaków. Zawsze „Jewel to, Jewel tamto”. - Zamrugła mocno wymalowanymi rzęsami.

- Czy mogłabym pracować dzisiaj, a ty wzięłabyś moją zmianę pojutrze? - Tamara zamarła w oczekiwaniu.

Jewel oparła rękę o biodro, westchnęła głęboko, wzniosła oczy do nieba i wydmuchała balon z gumy.

- No, dobra. Ale tylko ten raz, słyszysz? - Wymierzyła w Tamarę palec z jaskrawym paznokciem.

- Słyszę. - Tamara uściskała Jewel i promieniowała radością po raz pierwszy, odkąd odwołano zdjęcia.

Jewel wydała serię jęków i odsunęła ją.

- Uważaj, bo mi mundurek wygnieciesz.

Znajdowały się w przepelnionej kuchni restauracji Zachodzącego Słońca, słynnego lokalu czynnego od szóstej rano do dziesiątej wieczorem. Sala była wąska i długa, z olbrzymim oknem z frontu, wychodzącym na skąpany w deszczu bulwar. Po obu stronach umieszczone były czteroosobowe stoliki, a w środku mieściły się wysepki mniejszych stolików. Długa lada z wysokimi stołkami oddzielała tę część od części z zimnymi napojami. W przejściu do kuchni ustawiono już stosy talerzy w oczekiwaniu na ruch w porze obiadowej. Jeśli oczywiście w taką pogodę będzie ruch. Nawet klienci robiący zakupy u Woolwortha nie wpadali dzisiaj po drodze, jak zwykle.

Dzięki jakiemuś szóstemu zmysłowi Jewel wyczuła, że drzwi lokalu otworzyły się i zamknęły. Dała znać Tamarze, żeby się nie ruszała, przeszła obok Jose, meksykańskiego kucharza, na paluszkach podeszła do okienka od kuchni i spojrzała, kto to wyszedł albo przyszedł. Zobaczyła błyszczące krople deszczu, gdy nowo przybyły strzepnął płaszcz, nim go powiesił na wieszaku

obok drzwi. Był to drogi płaszcz i Jewel natychmiast przeliczyła go na potencjalne napiwki. Była ekspertem w przewidywaniu z wyglądu klientów hojności lub skąpstwa i rzadko się myliła.

Ten da dobry napiwek. Dzięki Bogu.

Reszta klientów prezentowała się znacznie skromniej. Wpadli tu, żeby schronie się przed deszczem. Przy ladzie chuda, bezzębna staruszka w brudnym turbanie powoli żuła pączka, popijając małe kąski wodą, żeby na dłużej starczyło. Skromny, młody człowiek, siedzący daleko pod ścianą, popijał nerwowo małe łyżki kawy. Dłonią obejmował filiżankę, jakby chciał się ogrzać. Przychodził tu od tygodnia i Jewel, flirtując z nim, dowiedziała się, że jest bezrobotnym aktorem, który stara się dostać do filmu. Miała go na oku, odkąd przyszedł tu po raz pierwszy. Był w jej typie, chociaż na tyle młody, że mogła być, niestety, jego matką. Nawet babką, ale o tym wolą już nie myśleć.

-Zaraz idę! - zawołała, nie wiadomo dokładnie do kogo, i znów zwróciła się do Tamary. - Słuchaj, Janette dzwoniła, że dziś nie przyjdzie, więc będziemy pracować we dwie, pewnie do dziesiątej. Ale nie powinno być tak źle. Mam nadzieję, że chociaż napiwki będą nie najgorsze. Kupiłam sobie ładną kieckę na przecenie i chcę ją ponosić, zanim wyjdzie z mody. No, ale nie dziwię się, że w taką pogodę ludzie nie przychodzą.

- Ja też nie.

- Chyba że ktoś musi. - Jewel przechyliła głowę i klepnęła Tamarę po ramieniu. - Słyszysz, znowu ktoś wlaźł. Muszę lecieć, bo klienci będą się pieklić. Możesz obsługiwać ladę, jak się przebierzesz. Później pogadamy. A tam jest fajny młody aktor, co ci mówiłam. Czeka na swojego hamburgera. - Jewel chrząknęła, seksownie wzruszyła ramionami i dodała: Lepiej by mnie ugryzł, a nie to stare ścierwo. Tamara musiała się roześmiać.

- Jesteś niepoprawna, Jewel. Machnęła ręką.

- Nie niepoprawna, tylko seksowna.

Jewel pochyliła się, jakby biegła pod wiatr, i wyciągnęła rękę przed siebie, żeby otworzyć wahadłowe drzwi.

- Nie rozumiem, co z tą Jul - mruknął Jose, wrzucając hamburgera na ruszt. Tłuszcz się rozprysnął, gdy przycisnął mięso szpatułką, ale był na to od dawna odporny. Odwrócił się od grilla do wielkiej deski i zaczął siekać cebulę. - Kiedyś ona ma duzi kłopot. Ty zobaczisz.

- Och, nie martwiłabym się tak o Jewel, Jose - zapewniła go Tamara. - Założę się, że potrafi zadbać o siebie lepiej niż ty czy ja.

- No, ale to biedne hombres, ubi? Nagryza jeden, potem drugi i zostawia. - Potrząsnął smutno głową. - Dwa roki ja mówię, że ją kocham, a ona mnie nie chce. I co ty?

Tamara była zdumiona.

- Ty? - spytała z niedowierzaniem. - Ty się do niej zalecasz, Jose? Serio?

Kucharz pokiwał smętnie głową. Opadające wąsy nadawały mu jeszcze smutniejszy wygląd.

- Ona chce wszystkie inne, a nie chce mnie,

- Jewel jest pożeraczką serc - pocieszyła go Tamara, klepiąc po plecach. - Może się któregoś dnia ocknie i pójdzie po rozum do głowy. - Uśmiechnęła się.

- Tak myślisz? - spytał Jose z nadzieją,

- Może. Nigdy nic nie wiadomo. Nie martw się za bardzo, ale też nie rób sobie za wielkich nadziei:

- Ty miła dziewczyna, señorita Tamara. No, czemu Jool nie jest miła jak ty?

- Ona jest miła, mimo oschłości i ciągłego flirtowania.

- Czas się ruszyć, pomyślała. - No, muszę się przebrać. Do zobaczenia, Jose.

- Tamara kiwnęła mu ręką i poszła do magazynku na tyłach, który służył im też za szatnię, a Jose dalej kroił cebulę.

W tym momencie w okienku do kuchni pojawiła się głowa Jewel.

- Gdzie ten wypieczony hamburger dla mojego słoneczka?

- warknęła do Jose. - Przestań o mnie plotkować, bo jak ci wezmę ten nóż, to obetnę i będziesz śpiewał sopranem.

Jose patrzył na nią, a nie na cebulę, którą dalej szatkował. Jego ciemne, posmutniałe oczy pełne były łez od krojonego warzywa.

- No? - rzuciła Jewel, uderzając dłonią o parapet okienka. - Na co czeka?

Jose podskoczył, cebula wymusnęła mu się z rąk i gdzieś poleciała.

I wtedy stało się nieszczęście. Ostry jak brzytwa nóż opadł z impetem na jego palec.

- Aaaj! - krzyknął Jose i patrząc na ranę wypuścił nóż z ręki. Cofnął się. - Patrz, co przez ciebie się stało! - wołał.

- Jezu! - wystraszyła się Jewel, blednąc pod morelowym pudrem. Po chwili odzyskała władzę w nogach i zniknęła z okienka. - Zaraz tam będę, Jose! - zawołała. - Tamara!

Usłyszawszy swoje imię, Tamara wróciła do kuchni. Gdy zobaczyła, co się stało, zakryła usta ręką, bo zrobiło jej się niedobrze. Z ręki Jose płynął strumień krwi, a kciuk zwisał pod dziwnym kątem. Zaostrzony nóż odciął go równiutko, łącznie z kością, przy pierwszym stawie. Na tle białego, kucharskiego stroju jasnoczerwona krew odcinała się szczególnie wyraźnie. Chwyliła za brzeg stołu, żeby ustać na nogach.

- Mój palec! - wrzeszczał Jose, tańcząc dziko. - Mój palec! Ja umrę!

Jewel wpadła przez drzwi wahadłowe jak anioł, niosący ratunek.

- Zajmę się tym - krzyknęła do Tamary, przebiegając obok niej. Nie na darmo była tu szefową. Pracowała w kuchniach prawie całe życie i widziała mnóstwo wypadków. Pierwsza pomoc przychodziła jej odruchowo. Usadziła Jose na krześle, zawinęła w ręcznik garść lodu i ciasno obłożyła nim palec. Potem zwróciła się do Tamary:

- Musimy go zaraz odwieźć do szpitala. Ten kciuk trzeba nastawić i zeszyć. - Masz, trzymaj to mocno, a ja znajdę kogoś, kto go zawiezie na pogotowie.

- Czy będzie w porządku? - spytała drżącym głosem Tamara, ściskając kciuk Jose.

- Jasne, że będzie w porządku - warknęła Jewel. - Tylko mocno ściskaj, żeby powstrzymać krwawienie.

Jewel znikła i za moment wróciła z pracownikiem od Woolwortha. Była kompletnie przemoczona, chociaż przebiegła tylko kilka kroków, ale nie zwracała na to uwagi.

- Hank jest samochodem - oświadczyła zwięźle. - Jose, teraz ty mocno trzymaj i jedź z nim, a my, dziewczyny, przejmemy interes. Tylko ściskaj mocno!

Nim Hank i Jose wyszli, Jewel już zmywała krew.

- Wszystko moja wina. Nie powinnam tak ochrzaniać tego bidaczka.

- Nieprawda - powiedziała Tamara. - To był wypadek.

- Wszystko jedno, co to było. Całe szczęście, że te twoje zdjęcia zostały przełożone i przysłaś dzisiaj.

Tak, ale nieszczęście dla mnie i dla Inge, pomyślała Tamara. Ruszyła w stronę magazynu, żeby się przebrać w mundurek.

- Nie ma czasu na przebieranie. - Jewel sięgnęła po fartuch. - Tamara, leć na jadalnię i ty będziesz obsługiwać, a ja się wezmę do gotowania. Niech ich Bóg ma w swojej opiece!

Tamara wyszła z kuchni.

Bez Jewel jadalnia szybko zamieniła się w dom wariatów. Mimo deszczu nagle pojawiło się mnóstwo ludzi. Wszyscy chcieli prędko zjeść, a pogoda wzbudzała najgorsze nastroje. Byli to najbardziej wymagający klienci, jakich Tamara w życiu obsługiwała. Biegała nerwowo od jednego stolika do drugiego, brała zamówienia, wracała z pełnymi talerzami i dzbankiem z dymiącą kawą. W tym pośpiechu upuściła jeden talerz, pomyliła trzy zamówienia, potknęła się i wylała kawę na gościa, którego płaszcz wisiał przy drzwiach. Tamara spojrzała na niego przerażona marząc, żeby ziemia się pod nią rozstała.

- Ooch... przepraszam!! Poplamiałam pana piękny sweter! -Twarz jej płonęła ze wstydu. Pobiegła do lady, porwała stos papierowych serwetek i bezskutecznie usiłowała zetrzeć rosnącą brązową plamę na swetrze mężczyzny. Był kompletnie zniszczony. Chciała umrzeć.

Ale mężczyzna wydawał się tym w ogóle nie przejmować. Wpatrywał się w nią, zauroczony, jakby znalazł bezcenny klejnot. Przestała wycierać plamę i odsunęła się. Zrobiło jej się niewyraźnie od tego jego patrzenia.

- Czy coś się stało? - spytała drżącym głosem. - To znaczy jeszcze coś, oprócz tego, że wylałam na pana kawę?

Louis Ziolkowski uśmiechnął się i złapał ją za rękę.

- Hej, ślicznotko. Chciałaby pani dostać się do filmu?

Przedsiębiorstwo International Artists rozpoczęło swą działalność przed ośmiu laty. Założyła je para rozgoryczonych aktorów, Laura Banker i Clyfford Shannon. Przez dziesięć lat byli głównymi postaciami przemysłu rozrywkowego, najjaśniejszymi postaciami na firmamencie, ale i tak byli rozczarowani rolami, jakie dostawali, warunkami kontraktów oraz niemożnością twórczego działania. Na szczęście zdołali zgromadzić sporą fortunę. Same ich nazwiska dawały pieniądze. Gdy nadszedł czas na odnowienie kontraktu, stwierdzili, że lepiej wyjdą na założeniu własnego studia niż na pięcioletniej umowie.

Powstało więc studio International Artists, znane jako IA. Spółka, opierająca się na osiągnięciach kasowych właścicieli odniosła sukces praktycznie z dnia na dzień. Po trzech latach, po zrobieniu siedmiu filmów z Banker-Shannon i dwudziestu dziewięciu innych, ta najbardziej znana ze srebrnego ekranu para zginęła tragicznie w katastrofie samochodowej.

International Artists dryfowała bez kapitana u steru i dwojga najbardziej kasowych aktorów. Banki domagały się zwrotu pożyczek. Na horyzoncie pojawiło się widmo bankructwa.

Spadkobiercy Banker i Shannon postanowili sprzedać wytwórnię. Wtedy wkroczył do akcji Oskar Tenney Skolnik.

Mając trzydzieści cztery lata był już na dobrej drodze, żeby stać się amerykańską legendą. Wydawało się, że nie ma takiej dziedziny, w której nie osiągnie sukcesu. Jego działalność była bardzo zróżnicowana. Był nowego typu przedsiębiorcą, dumnym ze swych osiągnięć do tego stopnia, że chciał się wszystkim chwalić. W tym też celu stworzył dochodową agencję reklamową. Upajał się tworzeniem nowych korporacji i spółek, zyskując coraz więcej sławy i chwały. Oczywiście, byli bogatsi od niego, którzy cieszyli się swym majątkiem spokojniej, ale w tych smętnych, bezbarwnych czasach kryzysu miliony, jakimi obracał, musiały pobudzać wyobraźnię ubogiej publiczności. Cieszyło go ogromnie, gdy przeczytał w nowojorskim „Timesie”, że nowy wzór na bogactwo jest następujący: Skolnik = \$.

Oczywiście, nie reklamował specjalnie faktu, że nie urodził się biedny. Wręcz przeciwnie, miał dobry start. W roku 1915 spadek w wysokości ćwierć miliona dolarów był wystarczającym ziarnem do zasiań, żeby zebrać obfity plon. Miał naprawdę magiczny talent do pomnażania pieniędzy. Piętnaście lat po przedwczesnej śmierci swego ojca na storpedowanym transatlantyku „Lusitania”, dziewiętnastoletni wówczas Oskar Skolnik pomnożył swój spadek do siedemnastu milionów - fortuna, o jakiej się wówczas nie słyszało. Jego kompania i inwestycje były na takim etapie, że same zarabiałały pieniądze w nieskończoność.

Później krytycy i kanapowi ekonomiści pomniejszali jego sukces twierdząc, że był to po prostu odpowiedni czas na odkupywanie za bezcen podupadających firm. Poza tym po I wojnie światowej dokonał się znaczny skok technologiczny, bardziej spektakularny niż w ciągu dziesięciu poprzednich wieków razem wziętych. Świat pędził do przodu olbrzymimi skokami, w przyszłość, jaką niewielu ludziom udało się przewidzieć.

Ale Oskar Skolnik przewidział. Był jednym z pierwszych, którzy przewidzieli koniec kolei żelaznej, a początek ery podróży powietrznych. Otworzył swoją własną linię lotniczą - Trans US Airways, znaną jako TUSA, której błękitno-białe maszyny pokonywały rocznie miliony kilometrów.

Zapożyczył pomysł Henry'ego Forda na linie produkcyjne i zastosował go do budowy samolotów; Skolnik Aviation.

W roku 1920 był jednym z pierwszych, którzy uznali radio nie za interesującą nowość, lecz za nieograniczony interes. Zakupił więc trzecią licencję na nadawanie w Stanach Zjednoczonych, tworząc WSBN - Sieć Nadawczą Skolnika. W późniejszych latach przeniósł swe doświadczenia na telewizję, z jeszcze większym sukcesem.

Ale Oskar Skolnik był przede wszystkim zagorzałym kobieciarzem. Żadna z jego licznych pasji zawodowych nie mogła się równać pasji do kobiet. Kochał wszystkie, ale im piękniejsze i sławniejsze, tym bardziej. Dlatego właśnie zainteresował się filmem: wiadomo, że tu ściągają najładniejsze i najwspanialsze kobiety z całego kraju, najlepiej więc mieć własne studio.

Jak w innych przedsięwzięciach, szczęście uśmiechnęło się do niego i tym razem. Nie musiał nawet organizować własnego studia. International Artists było właśnie na sprzedaż. Pod jego zarządem, oczywiście, IA nie tylko przetrwało, ale stało się uznaną potęgą. Przeniósł więc swą główną siedzibę do Los Angeles, żeby lepiej pilnować interesów i być blisko pięknych kobiet.

Wkrótce stało się dla niego jasne, że IA miało jeden główny problem: brak wielkiej gwiazdy, takiej, dla której zawsze wszystkie kina pękają w szwach. Z początku bazował na pożyczkach z innych wytwórni, ale zdawał sobie sprawę, że nie jest to wystarczające rozwiązanie. Potrzebował swej własnej Greta Garbo, Glorii Swanson czy Constance Bennett, a najlepiej wszystkich trzech. W przeszłości LA za bardzo polegało na swych nieżyjących właścicielach. Nie znosili oni konkurencji, obawiali się jej i koniecznie chcieli zawsze być jedynymi gwiazdami swej wytwórni, nie dzieląc się z nikim sławą.

Teraz IA rozpadało się. Skolnik instynktownie wyczuł ten problem. Nie przewidywał jednak specjalnych trudności w znalezieniu i wykreowaniu własnej, kasowej gwiazdy. Choć systematycznie podkupywał talenty z innych wytwórni, gdy kończyły im się kontrakty - Louisa Ziolkó, znanego reżysera z MGM, czy Milesa Gabriela z Paramount - IA niezmiennie brakowało wiodącej żeńskiej gwiazdy do pary dla Milesa. Skauci Skolnika, jego poszukiwacze talentów, węszyli wszędzie, w małych, lokalnych teatrach, konkursach piękności, festiwalach. Albo nie znajdowali nic ciekawego, albo inni byli szybsi. Sześć początkujących gwiazdek, na które liczył, nie wypaliło jak zepsute fajerwerki, mimo całej maszyny reklamowej. Publiczność ich nie pokochała. Oskar Skolnik, nie przyzwyczajony do porażek, był wściekły. Wyglądało na to, że Hollywood go pokonało.

- Do diabła! - narzekał od czasu do czasu. - Musi tu być jakaś kobieta, która ich oczaruje!

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobił Oskar Skolnik po nabyciu studia, było ustalenie cotygodniowych poniedziałkowych zebrań, które poświęcone były zakulisowym działaniom studia. W zebraniach tych uczestniczyli na ogół: Milton Ivey - szef działu prawnego, Marty Sher - szef działu finansowego, Edward Brian - odpowiedzialny za dystrybucję; Obecni byli również: sekretarka Skolnika, miss Schultz, która robiła szczegółowe notatki i utrzymywała w tajemnicy swe imię; Rhoda Dorsey z działu czytania, w którym piętnaście osób czytało książki i sztuki, badając ich przydatność dla filmu; Bruce Slesin, wiceprezes, odpowiedzialny za reklamę; Roger Callas, dyrektor generalny IA i prawa ręka Skolnika; Carol Anderegg, którego skauci wciąż poszukiwali nowych talentów i - jeśli akurat nie kręcił, robił próbných zdjęć, czy zgrywał - Louis Ziolkó. Inni pracownicy zwoływani byli zależnie od potrzeb.

Poniedziałkowe zebrania poświęcone były finansom, dystrybucji, projektom, dyskusjom, kogo skąd można zatrudnić i - zawsze aktualnego tematu Skolnika - skąd wziąć nową, utalentowaną główną gwiazdę.

W ten styczniowy, deszczowy poniedziałek Skolnik popatrzył wokół stołu konferencyjnego z pozornym chłodem i spytał:

- Gdzie jest Ziolko?

Wszyscy wzruszyli ramionami, tylko miss Schultz, siedząca z notesem na kolanach, powiedziała:

- Pan Ziolko miał robić zdjęcia próbne.

- Miał robić?

- Tak, proszę pana. Ale jego sekretarka powiedziała, że go dzisiaj na pewno nie będzie. Podobno jego dom ześlizgnął się z góry.

- Za cholereę nie mogę zrozumieć, dlaczego ludzie chcą mieszkać na tych zboczach - marudził Skolnik, wywołując uśmieški. - Ale jemu nic się nie stało?

- Tak myślę, O.T.

- To czemu, do diabła, nie przyszedł do roboty? Nie rozumie, że zdjęcia próbne kosztują cztery tysiące dolarów, czy się je robi czy nie?

Louis Ziolko nie mógł ukryć podniecenia. Temperatura jego ciała wzrosła, serce waliło dwa razy szybciej. Miał ochotę tańczyć i skakać z radości.

Znalazł ją! Znalazł! Tę nową twarz, na którą bezskutecznie polowali wszyscy w IA, twarz, która jak Helena trojańska będzie w stanie zainspirować miliony marzeń, doprowadzić mężczyzn do szaleństwa, która, o cudzie, była tu cały czas, tuż przed nosem. Myśl ta była słodka. Było to jak odkrycie w butelce Coca-Coli ducha spełniającego życzenia. Nie mógł się doczekać, aż zobaczy minę Skolnika, kiedy mu ją przyprowadzi. Było to odkrycie, jakie się zdarza raz w życiu. Potomność mu tego nie zapomni. Czy potrafi grać, to inny problem, którym się zajmie, gdy przyjdzie na to pora. W każdym razie to nie jest coś, co spędzałoby mu sen z powiek. Jakoś nią pokieruje, podpowie, nauczy i poprowadzi jak dyrygent orkiestrę. W końcu film to nie teatr, gdzie najbardziej liczą się zdolności aktorskie. W filmie zbyt wyrazista gra może zaszkodzić. Wolał reżyserować kogoś świeżego, nie zmanierowanego. Znacznie łatwiej stworzyć niż zniszczyć, a potem tworzyć na nowo.

- Proszę pana! - Ostry szept Tamary wytrącił go z zamyślenia. - Przeszkadza mi pan w pracy!

Popatrzył w te błyszczące, szmaragdowe oczy i poczuł, jak jakiś silny, powolny wir wciąga go w otchłań.

- Hm? - odezwał się nieprzytomnie.

- Powiedziałaś już: muszę pracować! Nie odpowiedział, nie zwracał na to uwagi. Popatrzyła na swoją rękę, za którą ją wciąż trzymał, i spróbowała się uwolnić.

- Proszę, niech pan puści.

Oczy zwięzły mu się jak szpareczki i nie pytając o pozwolenie, ujął ją pod brodę i przypatrywał się jej twarzy, studiując profil, obracając na różne strony, badając profesjonalnym okiem.

Odrzuciła głowę ze złością.

- Co panu jest? Zwariował pan, czy co?

- Cii! Niech się pani nie rusza.

- Co, do... - Po raz trzeci Tamara spróbowała wyrwać rękę, ale i tym razem jej się nie udało.

Był w euforii. Nie, nie śnił! Była prawdziwa.

- Proszę usiąść i posłuchać mnie. Niech mi pani da minutę na wyjaśnienie.

- Obawiam się, że to niezgodne z regulaminem - zaśmiała się wreszcie.

- Regulaminy są po to, by je łamać - powiedział poważnie.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Nie tutaj, jeżeli chcę zatrzymać pracę.

- Po co to pani? Jest pani piękna. Po co ma pani tu pracować?

- Jeżeli pan się jeszcze nie domyślił, to powiem wyraźnie: muszę jeść.

- Czy pani nie chce zagrać w filmie? - spytał z ciekawością. — Może pani dzisiaj podpisać kontrakt.

Zarumieniła się i znów zaśmiała.

- To najstarszy tekst w tym mieście. A teraz przepraszam, ale mam ważniejsze rzeczy na głowie.

Wyglądał na urażonego.

- Chce pani mnie sprawdzić? Zobaczyć, czy jestem koszerny? Tam jest telefon - wskazał na wejście.

- Ja tu pracuję - przypomniała. - Bardzo dobrze wiem, gdzie jest telefon.

- Dobrze, proszę, dam pani drobne - wsadził rękę do kieszeni, a ona skorzystała z okazji, żeby uciec.

- Hej! - Skoczył na równe nogi. - Dokąd pani idzie? - zawołał zdumiony. - Nie chce pani zadzwonić do studia i mnie sprawdzić?

- Mam stoliki do obsłużenia. - Szybko pomaszerowała do lady, starając się ignorować innych gości, którzy patrzyli na nią z zainteresowaniem.

Deptał jej po piętach.

- Nie wiem nawet, jak się pani nazywa! - powiedział głośno.

- A ja nie wiem, jak pan. - Starła się mówić cicho, żeby cała restauracja nie słyszała ich rozmowy. - Złapała dwa talerze z okienka, zrobiła piruet i uśmiechnęła się złośliwie.

- Więc jesteśmy kwita, prawda?

- Ja się nazywam Louis Ziolkko - powiedział cicho.

- A pani?

Była tak zdumiona, że upuściła talerze. Upadły z brzękiem na terakotę i musiał odskoczyć, żeby nie obryzgały go jajka i parówki.

- Co się pani stało? Ducha pani zobaczyła, czy co? Złapała go za sweter, który przed chwilą poplamiała kawą, i potrząsnęła.

- Co pan powiedział? - spytała z niedowierzaniem.

- Powiedziałem, że nazywam się Louis Ziolkko. Może teraz będzie pani uprzejma podać mi swoje nazwisko?

Puściła jego sweter i cofnęła się. Trzymając ręce na biodrach westchnęła, przewróciła zielonymi oczami i potrząsnęła głową.

- Tamaro, moja droga - powiedziała głośno - czasami jesteś pierwszej klasy kretynką.

Stop! - Louis Ziolkowski krzyczał do megafonu, zeskakując ze swego reżyserskiego stołka. - Stop! Stop! - Miotał pod nosem przekleństwa i rzucił wściekle spojrzenie na Tamarę.

Co znowu było źle? - zastanawiała się Tamara w rozpacz. Popatrzyła na Ziolkowskiego. Kazał jej powtarzać tę prostą scenę po raz dwudziesty ósmy i znów przerwał filmowanie. Czowała, że jego cierpliwość perfekcjonisty już się kończy.

Uniósł megafon do ust:

- Zgasić światła!

Gorące reflektory i światła punktowe gdzieś na rusztowaniach zgasły i Pearl Dern oraz czternaście osób sezonowej obsługi technicznej skorzystało z okazji, żeby się odwrócić i zapalić;

Tamara natychmiast odczuła wilgotny chłód w nie ogrzewanej hali i gęsią skórę na ramionach.

Dziewczyna z garderoby okryła ją kocem i Tamara uśmiechnęła się z wdzięcznością. Chętnie zamieniła boa z piórek na koc, którym się szczelnie owinęła. W momencie, gdy zapalały się wszystkie światła, skierowane na nią, zaczynała się pocić i trzeba było pudrować jej twarz i ramiona, gdy gasły - robiło się zimno. Gorąco, zimno. Gorąco, zimno. Rzadko spotykała się z taką huśtawką temperatur i obawiała się, że dostanie zapalenia płuc albo co najmniej oskrzeli. Jej skądinąd wspaniałe kostium, składający się z krótkiej, jedwabnej, białej sukienki na wąziutkich ramiączkach, naszywanej cekinami, wachlarz ze strusich piór przyczepiony do talii i przepaska z piór na włosach ogrzewały ją mniej więcej tak samo jak dwa długie sznury pereł i fałszywe brylanty wokół dłoni i na palcach.

Tamara odwróciła się, żeby Ziolkowski nie zobaczył napływających do jej oczu łez.

- Co znów zrobiłam? - spytała nieśmiało, jakby mówiła do ściany. Musiała coś zrobić, bo inaczej nie kazałby znów wyłączać kamer. Była pewna, że teraz zagrała scenę perfekcyjnie.

- Tym razem nie zrobiłaś nic źle - powiedział z rezygnacją. - To te cholerne plamy.

- Jakie plamy?

Zsunął koc z jej ramion. Spojrzała i jęknęła. Wszędzie, gdzie boa dotknęło jej skóry, pojawiła się wysypka. Świetny moment, żeby dowiadywać się o swojej alergii.

Nachylił się do niej.

- Chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego nie powiedziałaś mi o tych swoich uczuleniach? - powiedział nieprzyjemnym tonem.

- Skąd niby mogłam wiedzieć? - Łezka, która potoczyła się z jej oka, zostawiła czarny ślad na policzku. - Zwykle nie ubieram się w kurze piórka.

Westchnął, ale zrobił sympatyczniejszą minę.

- No już dobrze, dobrze. Tylko nie płacz. Zepsujesz sobie makijaż. - Skinął ręką na Pearl. - Zamaluj jej te ślady.

Pstryknął palcami na garderobianą.

- Zamieńcie to boa na białą futrzaną narzutkę. Tamara popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Ale czy puder nie pobrudzi futra?

- Może, ale jakie mamy wyjście? Jakie ma znaczenie kawałek futra, jeśli scena będzie dobra?

Piętnaście minut później znów filmowali tę samą scenę.

- Ujęcie dwadzieścia dziewięć - zagrzmiał Ziolkko przez megafon. - Cisza na planie!

Asystent operatora nachylił się nad Tamarą, dwie deseczki klapnęły jak głośne szczęki i kamera ruszyła.

- Akcja!

Tamara niedbale zarzuciła futrzaną etolę i zapomniała nagle o palących światłach. Przez trzydzieści sekund szła powoli w stronę kamery, a na jej twarzy pojawił się charakterystyczny wyraz osoby, której życie właściwie się skończyło. Zwolniła, zatrzymała się i westchnęła. Światła błyskały na cekinach jej sukienki, piersi wznosiły się i opadały. Oczy jej błyszczały, popatrzyła z niedowierzaniem, uśmiechnęła się słabo. Nagle przyśpieszyła kroku, zaczęła biec do kamery, a na delikatnej twarzy pojawił się wyraz nadziei. Asystent operatora złapał ją, nim wpadła na kamerę.

- Stop! - krzyknął Ziolk doniosłym głosem. -I wywołać! Uśmiechnął się do niej. Ujęcie dwudzieste dziewiąte było doskonałe.

Ostatecznie pięć minut scen próbnych na taśmie zajęło im dwa i pół dnia filmowania, a była to dopiero próba przed ostatecznym testem - sceną z dialogiem i tańcem z samym Milesem Gabrielem, wiodącym aktorem wytwórni LA. Zielonooka, pełna nadziei dziewczyna była bardziej przerażona niż przedtem.

Tamara! Do ciebie! - wykrzyknęła podekscytowana Jewel. Trzymała słuchawkę telefonu i podskakiwała dziwnie. - To ten facet, Silko, co czekałaś na telefon.

- Ziółko? - spytała Tamara nieprzytomnie. Napełniła zbiornik kawą i zamknęła pokrywkę. Wytarła resztki, wyjrzała przez okienko. Zamówienia, które dała Jose, nie były jeszcze gotowe, reszta gości siedziała, popijając kawę lub jedząc. Dopiero wtedy podeszła spokojnie do telefonu.

- Kotku! - syknęła Jewel. - Co z tobą, do diabła? To czekanie mnie dobija! - Rzuciła słuchawkę Tamarze i znów wykonała dziwny taniec. Tamara wzięła słuchawkę.

- Pan Ziolk? - spytała drżącym głosem. Przez chwilę słyszała tylko jakieś hałasy na linii.

- Louie - powiedział w końcu. - Zgodziłaś się przecież mówić na mnie Louie.

- Louie... - Jej głos był słaby i odległy. Jewel gestykulowała dziko.

- Co on mówi? - spytała szeptem.

Tamara odwróciła się plecami do Jewel i zacisnęła rękę na słuchawce.

- Złe wieści, tak? - powiedziała do czarnego, błyszczącego aparatu.

No, już. Powiedziała to.

- Złe wieści? - odpowiedział Ziolk. - Co to są złe wieści? Mogłaby go udusić. Dlaczego tak się z nią droczy?

- Zdjęcia próbne - powiedziała w końcu. - Cóż innego? Był zdziwiony.

- Dlaczego uważasz, że źle poszło?

Serce jej waliło jak młot o kowadło. Prawie widziała, jak lecą iskry.

- No więc... jak wypadło?

- Sama zobaczysz. Co robisz pojutrze o siódmej?

- Rano?

- Wieczorem, o dziewiętnastej. Jesteśmy zaproszeni do O.T. na kolację.

- Do O.T.? To znaczy... do Oskara Skolnika? - Nie wierzyła własnym uszom.

- Szefa IA?

- Nie znam innego O.T. - zaśmiał się. - Więc jesteśmy umówieni.

- Ale jak wypadły zdjęcia? - zawołała zrozpaczona.

- O.T. ma w domu ekran. Zobaczysz je. Później o tym porozmawiamy.

- Ale teraz rozmawiamy!

- Posłuchaj, nie ma sensu omawiać tego przez telefon.

- Przerwał. - To trochę skomplikowane. Skomplikowane! Och, Boże, czuła, jakby świat jej się rozpadał.

- Gdzie mam po ciebie przyjechać?

- Dom Pogrzebowy Patersona. Zaśmiał się.

- Dom Pogrzebowy Patersona?

- Tak powiedziałam.

- No, tylko nie zabij się przedtem. Chcemy cię żywą, nie martwą.

Poczuła w sercu nadzieję. Czy można to rozumieć jako pozytywny sygnał?

Chciała zapytać, ale zamiast tego powiedziała:

- Mieszkam tam.

- O.K. - Nie wydawał się zdziwiony. - Przyjadę o wpół do siódmej. - I wyłączył się.

Nową sukienkę? - spytała Inge przy kolacji wieczorem.

- Myślę, że nas stać. Odłożyłam troszkę pieniędzy. Czemu nie? Nie codziennie moja aktorka jest zapraszana do domu filmowego wieloryba.

- Grubej ryby - poprawiła ją bez złości Tamara. Inge sama ją prosiła, żeby korygowała jej angielski. - To znaczy ważnej osobistości.

Inge machnęła łyżką.

- I to pływa, i to pływa, dla mnie to jest to samo. Jutro idziemy na ciuchy.

Tamarze zrzęda mina. Zdołała jednak wydusić z siebie te słowa, nim jej uwięzły w gardle.

- Nie chcę być niewdzięczna i wymagająca, Inge - błagalnie powiedziała Tamara - ale czy nie możemy kupić czegoś nowego? Tylko ten jeden, jedyny raz?

Inge w zamyśleniu popatrzyła na swój talerz, gdzie duża biała kluska pływała w tłustym kurzym rosole. Zdołała się uśmiechnąć.

- Czemu nie? Poszukamy czegoś ładnego do tej twojej ryby. Tamarze rozblęły oczy.

- To musi być coś ciekawego.

- Ciekawskiego? - spytała Inge. Rozejrzała się podejrzliwie. - Jak sukienka może być ciekawa? Ona myśli, hm?

- To takie wyrażenie. Wiesz, jak szykowna, elegancka, wytworna.

- Ciekawskie ubrania. - Inge pokiwała głową. - Czego to nie wymyślą.

Tamara nie zwróciła jej uwagi na „ciekawskie”. Myślała tylko o nowej sukience ze sznurem pereł wokół szyi. Kochała te perły i korzystała z każdej okazji, żeby je nosić. Były taniutką imitacją z Woolwortha, ale nie miało to żadnego znaczenia. Zwróciła na nie uwagę, jak tylko zobaczyła zdjęcie

Constance Bennett w perłach. To było ważne. W perłach od Woolwortha czuła się równa nawet Constance Bennett.

Nazajutrz o czternastej trzydzieści wkroczyły do Dorothy's Dress Shoppe. Inge wyglądała tam nie na miejscu i starzej, niż na swoje trzydzieści siedem lat, w podniszczonym, bezkształtnym, szarym płaszczu, solidnych, brązowych półbutach, z dużą, wytartą torbą i w małym, czarnym kapelusiku. Tamara wyprostowała głowę i postanowiła nie dać się onieśmielić w eleganckich wnętrzach, które dotychczas oglądała tylko przez szybę. Dorothy's! - pomyślała, upajając się luksusowym otoczeniem. Rozglądała się po sklepie. Podłoga była wyłożona pluszem!

- Och, Inge! Czy to wszystko nie jest boskie? - szeptała, tańcząc w przejściu, dotykając sukienek wiszących po obu stronach. - Czy nie można umrzeć od czegoś takiego?

Nawet Inge musiała przyznać, że wprawdzie sukienki te nie były może warte życia, ale rzeczywiście - bardzo piękne.

Dostojna sprzedawczyni w świetnie uszytej gołębioszarej sukience i z nienagannie uczesаныmi srebrnymi włosami, podeszła do nich, na sekundę tylko pozwalając sobie na krytyczne obrzucenie wzrokiem wystrzępionego stroju Inge, po czym natychmiast przybrała profesjonalny wyraz twarzy.

- Czy pani życzy sobie czegoś? - spytała z odrobiną lekceważenia.

Inge potrząsnęła głową i opuściła nieśmiało oczy.

- Nie dla mnie, dziękuję. - Dotknęła ramienia Tamary i delikatnie wypchnęła ją do przodu. - To dla niej - powiedziała z dumą, unosząc oczy. - Potrzebuje wytwornej sukni.

Sprzedawczyni uniosła oczy.

- Wytwornej?

-Eleganckiej - wyjaśniła Tamara.

Inge zniżyła głos i wyjaśniła w tajemnicy.

- Jest zaproszona na kolację do domu grubej ryby, na Beverly Hills! Chcę, żeby ładnie wyglądała, jak trzeba.

- Tutaj, w Dorothy's, szcycimy się tym, że pomagamy wszystkim klientkom wyglądać jak najlepiej - prychnęła sprzedawczyni. - Mamy najlepszych klientów w mieście.

Inge wzruszyła bezradnie ramionami.

- Tamara, ona wie. Ona czyta wszystkie gazety. Sprzedawczyni zmierzyła wzrokiem Tamare, by ocenić jej rozmiar.

- Czy to ma być bardzo oficjalne?

- Nie... nie wiem, proszę pani.

- Rozumiem. - Sprzedawczyni namyślała się. - Więc proponuję krótką sukienkę, a nie do ziemi. Ma pani dobrą figurę i zgrabne nogi. Nie ma powodu ich ukrywać. Poza tym będzie dobra i na dzień, i na wieczór.

- To jest dobrze - pokiwała głową Inge.

- A, na jaką, ehm, cenę jest pani przygotowana? - Sprzedawczyni znów zerknęła na Inge.

- Dziesięć dolar? - odważyła się Inge rzucić sumę, która wydawała jej się astronomiczna.

- Rozumiem - westchnęła skspedientka. - To znacznie ogranicza nasz wybór, obawiam się. Ale mamy niezłe rzeczy przecenione z ubiegłego sezonu. Zwłaszcza jedna będzie wyjątkowo odpowiednia dla młodej damy. Przyniosę ją, żeby mogła przymierzyć.

- Ale musi być przyzwoita - ostrzegła Inge. - Ma wyglądać na damę.

- Oczywiście - zapewniła ekspedientka - będzie. Wy-maszerowała, żeby przynieść sukienkę. Kiedy Tamara ją zobaczyła, zaczęła się prędko modlić, żeby na nią pasowała. I tak się stało. Stojąc przed trzyskrzydłowym lustrem, obracając się na wszystkie strony, żeby się dobrze zobaczyć, nie wierzyła własnym oczom. Był to przylegający do ciała futerał, sięgający od pach do pół łydki, usyty z atlasu w kolorze dojrzałych malin z ramiączkami z czerwonego

aksamitu. Można ją nosić z olbrzymią, atlasową kokardą, przypiętą u dołu na uroczystsze okazje, lub bez niej, na zwyczajniejsze. Twarz Tamary zarumieniała się na myśl, że mogłaby mieć takie чудо. Wyglądała w niej zjawiskowo. Była oczarowana tą sukienką. Nawet Inge z aprobatą pokiwała głową.

- Ja, to wygląda dobrze. Ile to będzie kosztowało?

- To piękna suknia - zachwalała sprzedawczyni. - Ręcznie szyta, nie masowa produkcja. Początkowo była wyceniona na dwadzieścia cztery dolary.

- Tak dużo! - Inge była zdruzgotana.

- Została przeceniona na dwanaście dolarów.

- Dwanaście dolar - mruknęła Inge. Usta drżały jej w kącikach.

Tamara była załamana. Doskonale знаła ten wyraz twarzy Inge, wiedziała również, na jak długo wystarczyłoby jej te dwanaście dolarów. Po chwili ciszy Inge spytała:

- Ma pani coś inne, też ładne, ale za mniejsze pieniądze? Tamara cichutko odmówiła jeszcze jedną, tym razem gorętszą modlitwę. Musiała mieć tę sukienkę, ekstrawagancką fantazję, w której świetnie się czuła i pięknie wyglądała. Nie mogła znieść myśli, że ma się z nią rozstać. Sprzedawczyni potrząsnęła głową.

- Przykro mi, ale ta jest najmniej kosztowna, zapewniam panią.

Tamara wstrzymała oddech, patrząc na odbicie Inge w lustrze. To był decydujący moment. Zobaczyła, jak palce Inge zaciskają się na torebce. Zły znak.

- Podoba się, Tamara? - spytała w końcu cicho. Tamara prędko pokiwała głową, nie mogąc się w ogóle odezwać.

- Więc będziesz mieć swoją wytworną suknię - oświadczyła Inge wśród uścisków i głośnych całusów.

Cholera! - zaklęła Tamara, bo znów jeden nieposłuszny loczek ze świeżo zrobionej fryzury wysunął się na środek czoła. Przyglądała go szylkretowym grzebieniem. Dlaczego musi akurat teraz się rozczochrać?

Było już prawie wpół do siódmej, a ona wciąż sterczała przed lustrem w łazience, z grzebieniem w ręku i wsuwkami w ustach. Okryła swą cenną sukienkę prześcieradłem i marzyła, nie po raz pierwszy, żeby zamiast tego popękanego, zaśniedziałego lustra mieć najprawdziwszą pod słońcem toaletkę. Dałaby za nią wszystko.

Znów przejechała grzebieniem po włosach i potrząsnęła głową. Sięgające ramion fale podskakiwały jak sprężyny. No! Nareszcie sukces! Niepokorny loczek udało się pokonać. Odłożyła grzebień, wypluła wsuwki i zdjęła prześcieradło. Zwinęła je w kłębek i wepchnęła pod umywalkę. Roztarta szybko gołe ramiona i próbowała przed lustrem różnych uwodzicielskich póz. Do diabła, zimno tu - łazienka w zakładzie Rolanda J. Patersona nigdy nie była ogrzewana, ale i tak dobrze, że ją ma.

- On tu jest! - wpadła do łazienki podekscytowana Inge. - Nigdy nie widziała takiego wielkiego samochodu! - Później klasnęła w ręce i pokręciła głową. - Du bist so schön! Taka ładna - zachwycała się, przechodząc na swój rodowity niemiecki, jak zawsze, gdy coś ją przerażało czy zaskakiwało. - So shon!

- Na pewno dobrze? - upewniała się Tamara. - Nie mówisz tego, żeby mnie uspokoić?

Inge uśmiechnęła się.

- Ja, jestem pewna - powiedziała z miłością. Położyła swą dłoń na policzku Tamary i smutno pokiwała głową. - Mein Liebcken. Już idziesz w świat. Niedługo już Inge nie będzie potrzebna.

- Oczywiście, że będzie!

Żeby się nie roztkliwić do reszty, Inge cofnęła się i powiedziała rzeczowo:

- Zostaw to. Później tu sprzątam. - Wcisnęła Tamarze do rąk szydełkowy czarny szal. - Jest zimno na dworze. Owiń się. No idź, idź.

Tamara jeszcze raz odwróciła się do lustra i poszczypała sobie policzki, żeby mieć zdrowe rumieńce.

- Przestań. - Inge pacnęła ją po rękę. - Chcesz mieć czerwone ślady? Dostyc już.

Tamara zeszła nareszcie po stromych schodach, jedną ręką trzymając się poręczy, drugą ciągnąc szal.

Louis Ziolkó czekał na dole i usiłował właśnie zapalić zapalką grube cygaro. Poparzył się. Słyszając jej kroki, spojrział przez kłęb dymu. Boże Wszechmocny! Czy ona nie rozumie, że w tej sukience, tak pociągająco opiętej na biodrach, sprowokuje różnych obleśników? Nie zdaje sobie sprawy, że przy tak zasłoniętym dekolcie ma się ochotę natychmiast rozerwać tę sukienkę? A te spokojne perły, takie chłodne i wytworne, stanowiły doskonały kontrast z jej naturalną zmysłowością.

I I nagle uderzyło go to jak piorunem. W restauracji i później na zdjęciach próbných widział cudowną dziewczynę, ale teraz z tych schodów zeszła nie dziewczyna. Skąd! To była kobieta - zrównowazona, zgrabna syrena. Urodzona gwiazda. Co za wejście!

Niech mnie diabli! - mruknał pod nosem. Na jego widok Tamara zwolniła kroku i zeszła z godnością. Uśmiechnęła się.

- Czy się spóźniłam? - spytała tym swoim gardłowym głosem, od którego przechodził dreszcz.

- Nnie... nie spóźniłaś się. - Podeszedł bliżej i uniósł jej dłoń do ust, - Jesteś piękna, księżniczko.

Zarumieniła się z radości. Wziął od niej szal i otulił ją. Nigdy przedtem tak się nie czuł... a teraz dzieje się z nim coś dziwnego.

Szofer zamknął za nimi drzwiczki, gdy wsiedli do samochodu i obszedł go, żeby wejść do oddzielonej części dla kierowcy. Silnik zaszumiał i auto majestatycznie ruszyło. Ziolkó sięgnął po narzutę z futra leoparda i owinął Tamarę. Uśmiechnęła się z wdzięcznością i wtuliła w kąt, nie zdając sobie sprawy z tego, że on przygląda się jej z taką samą ciekawością, jak ona patrzy na futro. Pogłaskała je długimi palcami. Czuła się ciepło i bezpiecznie.

Ach, mieć do dyspozycji takie luksusy, pomyślała marzycielsko. To dopiero życie. Czowała się wspaniale. Jak łatwo można się do tego przyzwyczaić...

Duesenberg wspinał się po krętych, wysadzanych drzewami uliczkach na Beverly Hills. Poprzez zasnute deszczem okna Tamara widziała czasem światło dochodzące z olbrzymich rezydencji zbudowanych przez elity przemysłu filmowego. Była tu po raz pierwszy i bardzo ją to podniecało. Zawsze chciała obejrzeć Beverly Hills, które stanowiło część tego niedostępnego świata, o którym czytała w magazynach filmowych. Wiedziała o nim wszystko. Była to odrębna część, oddzielona od Los Angeles, z rzadka zaludniona, dość dzika, pozwalająca na zachowanie prywatności nawet bez ochrony. Można tam było czasem zobaczyć sarenkę albo i wilka. Ironia losu polegała na tym, że osiedle to powstało z konieczności, wraz z napływem ludzi filmu. Byli oni źle widziani przez starych mieszkańców Los Angeles, którzy w najlepszym razie uważali ich za nuworyszów i parweniuszy, a w najgorszym za zwyrodnialców i diabły wcielone. Musieli więc wynieść się z dala od dobrych adresów, na wzgórze, gdzie dotychczas nikt przy zdrowych zmysłach nie chciał mieszkać. Nowi przybysze stworzyli sobie ekskluzywne, pozłacane getto.

- Musi tu być pięknie w ciągu dnia! - zachwycła się Tamara. - Wydaje się, jakbyśmy wyjechali z miasta i byli gdzieś na wsi.

Ziolko kiwnął głową.

- Na razie jeszcze tak jest, ale zaczekaj kilka lat. Co roku powstaje coraz więcej domów. Ceny ziemi są niebotyczne. Kiedyś były tu olbrzymie połacie ziemi, a teraz - coraz mniejsze parcele. Wkrótce będą budować domy, baseny i korty tenisowe na placach wielkości znaczka pocztowego. Wspomnisz moje słowa.

- A ty tu mieszkasz? - spytała ciekawie. Potrząsnął głową.

- Jeszcze nie. Dlaczego? Podoba ci się? Skinęła głową.

- Czuję zapach eukaliptusa. - Uśmiechnęła się.

- Kiedy zakwitają kwiaty, pachnie tu jak w kwiaciarni. Rosną wszędzie, niczym chwasty. No, jesteśmy.

Wyprostowała się i popatrzyła przez boczne okienko. Samochód wjeżdżał po żwirowej ścieżce, obrośniętej z obu stron gęstwiną krzewów. Ostre gałązki obijały się czasem o karoserię, co powodowało grymas na twarzy Louisa. Wyglądało to jak leśna droga prowadząca donikąd. Nagle krzaki zniknęły i pojawiła się olbrzymia, jasno oświetlona rezydencja, otoczona zadbanym ogrodem.

Więc tu mieszka Oskar Skolnik, pomyślała Tamara. Była pod wrażeniem. Wyglądało to tak, jak sobie wyobraziła, i pasowało jej do obrazu magnata filmowego.

Samochód zatrzymał się, szofer rozłożył parasol i pomógł im wysiąść. Otworzyły się olbrzymie, rzeźbione drzwi i czarny lokaj stanął wyprostowany w prostokącie światła.

- Dobry wieczór, Frederique - powitał go Ziolkko. - Jak leci?

- W porządku, dziękuję panu. - Lokaj pochylił głowę. - Pan Skolnik i inni goście czekają w salonie - powiedział Frederique. - Może państwo będą uprzejmi pójść za mną.

Ziolkko ujął Tamarę za łokieć i poprowadził. Była mu wdzięczna, bo inaczej stałaby tam, oszołomiona widokiem tego luksusowego domu.

Poszli za Frederikiem poprzez atrium, obok Wysmukłych fontann, których szmer zagłuszał uderzenia deszczu o dach. Uniosła głowę i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Na galerii otaczającej atrium ustawiono doniczki z cudownie kwitnącymi orchideami. Wydawało jej się, że idzie w głąb snu. To wszystko było wspanialsze, niż sobie wyobrażała.

Frederique poprowadził ich pod następnymi arkadami i otworzył kolejne masywne, rzeźbione drzwi.

Tamara była oszołomiona. Ukazało się wnętrze godne współczesnego sułtana. W obu olbrzymich kominkach, zbudowanych na przeciwległych

ścianach, płonął i syczał ogień, wydzielając zapach drewna eukaliptusowego. Mimo wysokiego sufitu i rozmiarów audytorium, pokój sprawiał wrażenie przytulnego.

Jeśli dom odzwierciedla osobowość właściciela, to, zdaniem Tamary, Oskar Skolnik był osobnikiem skomplikowanym i trudnym do zrozumienia.

Zauważyła go od razu po wejściu do pokoju. Nigdy

przedtem nie widziała Skolnika, ale nie można go było z nikim pomylić. Siedział w bujanym fotelu w półokrągłym końcu pokoju. Naprzeciw niego ustawiono obraz na sztalugach, po obu stronach fotela stało czterech mężczyzn w wieczorowych strojach, z zamyślonymi twarzami. Wszyscy patrzyli na człowieka przypominającego modliszkę, z wystającą bródką w stylu van Dycka, stojącego za sztalugami. Z boku siedziały dwie kobiety w pastelowych, długich sukniach, trzymając w rękach wąskie kieliszki z szampanem. Był to bardzo elegancki obrazek, tak doskonale skomponowany i oświetlony, że wydawał się specjalnie stworzony dla wywołania wrażenia.

W pierwszej chwili nikt nie zwrócił uwagi na nowo przybyłych i Tamara była z tego bardzo zadowolona. Zawahała się na moment i spojrzała błagalnie na Ziolkę, a on uśmiechnął się zachęcająco i leciutko popchnął ją do przodu.

- Musimy uznać ten symbolizm - mówił z pasją mężczyzna z brodą a la van Dyck. - Innymi słowy, musimy poskrobać pod powierzchnią, kopać pod zewnętrzną reprezentacją, by znaleźć Miejsce Prawdy... - Przerwał nagle, gdy stwierdził, że nikt go nie słucha. Wszystkie oczy zwróciły się na nowo przybyłych.

Cisza przeciągała się. Nikt nic nie mówił. Nikt nawet nie mrugnął. Jedna z pań wstała bezszelestnie, żeby lepiej widzieć Tamarę.

Byłoby słychać, gdyby szpilka upadła na bezcenne dywany z Besarabii.

Pierwotne uczucie zachwytu, jakie odczuwała Tamara dla tego domu, ustąpiło miejsca okropnemu zdenerwowaniu. Zaczęła drzeć, a jej pewność

siebie opuszczała ją coraz bardziej, w miarę jak czuła na sobie coraz więcej spojrzeń.

Uroczy pokój stawał się coraz bardziej onieśmielający, a mężczyźni i kobiety, którzy jeszcze przed chwilą tworzyli tak piękną kompozycję, nagle w jej oczach ulegli transformacji, zmieniając się w grono surowych sędziów. W pierwszym odruchu Tamara miała ochotę uciec. Nie mogła znieść siedmiu par oczu, które nie tyle ją obserwowały, co rozrywały na strzępy.

Policzki ją paliły, z czym było jej do twarzy. Nieodparcie nasuwała się jej myśl, że nie jest już kobietą, lecz kawałem mięsa u rzeźnika, które będzie dzielone, dotykane, wachane i akceptowane lub odrzucone przez klientów. Było to upokarzające, nieludzkie i niesprawiedliwe.

Jednak jakoś zdołała posuwać się swym królewskim krokiem, z uniesioną głową. Na oko była pewną siebie piękną, syreną, pożeraczką serc.

Jakimś cudem udało jej się przejść przez pokój bez potknięcia. Gdy zbliżała się do Oskara Skolnika, wyprostował się w swym fotelu, unosząc błękitne oczy tak, by napotkać jej wzrok. Ona popatrzyła jeszcze dalej, usiłując wymalować na swej twarzy chłodny uśmiech. Był on jednak równie fałszywy jak jej perły.

- O, właśnie tego nam trzeba! - powiedział Skolnik, gdy zatrzymała się koło sztalug, przypatrując się swej ławie przysięgłych z bliska. On siedział z pozorną niedbałością, założywszy teraz nogę na nogę, ale nie spuszczał z niej bystrego wzroku.

- A co pani o tym sądzi?

Podskoczyła. Jego donośny baryton przerwał ciszę, jakby strzał wdarł się do grobowca.

- Ccoo? - Spojrzała na niego po raz pierwszy.

- Pytałem, co pani o nim sądzi. Czasem świeże spojrzenie rzuca inne światło na takie sprawy.

Spojrzenie? Serce jej stanęło na chwilę. Opinię na temat czego? Kątem oka zerknęła na Louisa Ziolkę, ale jej nie pomógł. Uśmiechnął się tylko. Musiała więc spojrzeć prosto na Skolnika.

Wszystko w tym człowieku było ogromne. Był zbyt szorstki, żeby go uznać za dystygowanego. Był z pewnością zdolny do wszystkiego, co opiewała jego legenda. Tak jak inni ludzie mogą natychmiast sprawić wrażenie, że są kapryśni czy służalczy, on emanował niczym nie zmaconą siłą. Palił fajkę, pił szampana, nie był hazardzistą, chyba tylko w dużych interesach, co mu w zupełności wystarczało. Był człowiekiem, który miał właściwie jedną słabość: kobiety, kobiety i jeszcze raz kobiety. Opowiadano, że był w łóżku wszystkich wolnych, wartych grzechu kobiet w Hollywood, a następnie przerzucił się na małżeńskie sypialnie w Los Angeles. Tamara była skłonna w to uwierzyć. Patrzył na kobiety rozbierając je wzrokiem, więc poczuła się jeszcze bardziej niewyraźnie. Miał oczy w kolorze jasnego, arktycznego błękitu i pozorną leniwość ruchów podrzędnego hazardzisty.

Ubrany był w jedwabny szlafrok i tureckie pantofle, palił fajkę. Włosy mu przedwcześnie posiwiały. Mówił melodyjnym, ciepłym barytonem. Przystojna twarz miała różne ciekawe blizny, będące rezultatem niebezpieczeństw awiacji. Mimo blizn, a może właśnie dzięki nim, był brutalnie atrakcyjny, żywiołowy, zmysłowy. Wyglądał na mężczyznę, który zdążył przeżyć długie życie w ciągu niewielu lat.

Zmusiła się, żeby oderwać wzrok od Skolnika. Nie był to mężczyzna, którego można było zlekceważyć, wręcz przeciwnie - mógł bardzo łatwo zranić kobietę. Nie mogła nawet się powstrzymać, żeby nie wyobrazić go sobie nagiego. Lew!

Tak, był dzikim stworzeniem dżungli. Głodna bestia, nieustannie na łowach.

Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że obserwuje ją równie dokładnie, jak ona jego. Zaraz jednak powiedział z rozbajającym uśmiechem:

- Musi mi pani wybaczyć. Oczywiście, nie może pani wiedzieć, o czym rozmawialiśmy. - Wskazał na płótno za nią.

- A więc? Jakie jest pani zdanie? Mam je kupić czy nie? Tamara zajrzała ostrożnie za sztalugi i podeszła, odwracając się plecami do grupy. Popatrzyła na obraz. Był to duży prostokąt, pomalowany na brudnobiały kolor. Z boku, na górze, znajdował się czarny kwadrat. Mniejszy, czerwony kwadrat umieszczony był na ukos od pierwszego. Zmarszczyła brwi, starając się coś z tego zrozumieć. Co mogła powiedzieć?

- Nie znam się zupełnie na sztuce - powiedziała powoli - ale wydaje mi się to... interesujące. Usłyszała chichot Skolnika.

Bernard Katzenbach, mężczyzna z brodą van Dycka, był przede wszystkim handlarzem. Uniósł głowę.

- To więcej niż interesujące - powiedział obojętnie, ukazując ząbki jak u zająca. - Oczywiście, cała sztuka jest interesująca, ponieważ nawet najmniej udane wysiłki dają nam jakiś wgląd w duszę artysty. Ale to... jest ciekawy, heroiczny obraz udreżonej duszy, która zredukowała wielowymiarowość życia do najprostszych, najgłębszych form.

Dwa kwadraty mają być głębią? Tamara nie wierzyła własnym uszom.

- Proszę mi powiedzieć - przerwał Skolnik lakonicznie, wskazując palcem na obraz - czy to jest warte dwa tysiące dolarów?

- To jest... - Katzenbach zająknął się. - To jest warte... czy można ustalić cenę dla takiego geniusza? Przecież to jest Malevich.

- Pytałem panią - powiedział Skolnik.

Oho, pomyślała Tamara i nic nie powiedziała.

- No, panno Boralevi? - zachęcał Skolnik. - Czy pani wydałaby dwa tysiące dolarów na ten obraz?

- Dwa tysiące dolarów? - Zaśmiała się lekko. —Nie mam dwóch tysięcy dolarów, nigdy nie miałam, więc nie mogę sobie wyobrazić wydawania ich. Obawiam się, że spytał pan niewłaściwą osobę.

Czy naprawdę usłyszała westchnienie ulgi z ust pośrednika, czy tylko jej się wydawało?

- Dobrze powiedziane - pochwalił Skolnik. - Ma pani talent towarzyski. Ważna cecha u gwiazdy, kiedy trzeba rozmawiać z prasą i publicznością.

Czy to znaczyło, że zaliczyła jego test? Że zamierzał z niej zrobić gwiazdę?

-Louie - powiedział Skolnik nie wstając. - Myślę, że powinienes nas przedstawić pięknej pani.

Louis Ziolkowski skinął głową.

- Jak wiecie, to jest Tamara Boralevi, której zdjęcia próbne wszyscy widzieliście. - Zwrócił się do Tamary. - Chciałbym, żebyś poznała potęgę IA. Na początek, siedzący w fotelu Oskar Skolnik, prezes LA.

Tamara skinęła głową.

- Panie Skolnik.

- Po jego lewej ręce stoi Roger Callas, nasz dyrektor generalny. Obok niego Bruce Ślesin, wiceprezes, odpowiedzialny za reklamę. Po prawej - Milton Ivey, doradca generalny.

- Panowie - powiedziała Tamara.

Poza Oskarem Skolnikiem, który wciąż siedział, każdy z panów podchodził do niej i ścisnął jej rękę mówiąc, jak mu miło.

- A pan po prawej? - spytała.

- Claude de Chantilly-Sicules - powiedział Ziolkowski - nasz dyrektor artystyczny. Dzięki niemu nasze filmy mają ten niepowtarzalny styl.

Mały Francuz uklonił się nisko.

- Enchante, mademoiselle Boralevi— powiedział z galanterią. Poczwała jego oddech na rękę.

- Niech cię nie zwiodą jego kontynentalne maniery i dziwny akcent. Claude jest amerykański jak hamburger, to stary zbereźnik. Żebyś nie mówiła, że cię nie ostrzegałem.

Claude de Chantilly-Sicules zrobił żalowaną minę.

- Oni mi zazdroszczą! - powiedział z udanym oburzeniem. - Cóż na to poradzę, że panie mnie tak lubią?

Tamara zaśmiała się wraz ze wszystkimi.

- A dalej, reprezentując bardziej utalentowane działy, znajdują się panie - ciągnął Ziolk. - Za panem Skolnikiem siedzi panna Rhoda Dorsey, szefowa działu czytania: to ona zaopatruje nas w różne propozycje, które możemy kupić i robić według nich filmy.

- Panno Dorsey - Tamara schyliła głowę - mam nadzieję, że będę miała okazję ocenić pracę pani działu.

Kobieta w okularach o grubych, rogowych oprawkach, uczesana w porządną kok, uśmiechnęła się.

- Chciałabym. Czasami myślę, że moi czytacze to tylko leniwe mole książkowe, które się dobrze bawią.

-Pani, która stoi, to Carol Anderegg, wiceprezes od talentów. To jej dział przeczesuje cały kraj w poszukiwaniu gwiazd.

Wzrok pani Anderegg był twardy i oceniający, a jej głos ostry.

- Panno Boralevi - minimalnie schyliła swą srebrną głowę.

- Miło mi panią poznać - powiedziała Tamara.

- Och, nie możemy zapomnieć o panu Katzenbachu - powiedział ze swego fotela Skolnik, lekko się uśmiechając. -Historyk sztuki, doradca, znawca piękna i handlarz. Często żałuję, że nie pracuje dla mnie sprzedając filmy, zamiast namawiać, żebym sobie kupował drogie obrazy.

- Ale tym razem nie ma pan zamiaru kupić - dokończył bystrze pośrednik. - Zwiódł mnie pan tylko po to, żebym ocenił urodę panny Boralevi, prawda?

- Poddaję się. - Skolnik Uniósł ręce i spojrzał na Katzen-bacha z uznaniem. Wskazał krzesło i zwrócił się do Tamary:

- Niech pani siądzie, moja droga. Pijemy szampana. Oczywiście, jeśli woli pani coś innego, znany jestem z najlepiej zaopatrzonej piwnicy w tym mieście. Żaden bimber, tylko francuski szampan i najlepsze alkohole, jakie można kupić.

Dobry pośrednik alkoholowy jest teraz równie cenny, jak specjalista od marketingu, i równie trudny do znalezienia; jak dobry kompozytor.

- Dobrze powiedziane - poparł go Milton Ivey, adwokat z policzkami zaróżowionymi od popękanych naczyń krwionośnych. Najwyraźniej mimo prohibicji alkohol nie był tak trudny do zdobycia.

- Poproszę trochę szampana - powiedziała w końcu Tamara - chociaż to będzie mój pierwszy raz. - Uśmiechnęła się bez przymusu. - Nigdy nie piłam alkoholu.

Skolnik z zadowoleniem pokiwał głową.

- I powinna pani uważać z piciem. - Zerknął na Milтона, który odwrócił wzrok. - Ale myślę, że ten szampan będzie pani smakował. To najlepszy, Dom Perignon. Do kolacji natomiast proponuję butelkę Chateau Latour 1898. Chowałem ją na specjalną okazję.

- Więc to jest specjalna okazja? - spytała odważnie Tamara, która nie mogła już dłużej milczeć na temat swoich szans.

Skolnik zaśmiał się.

- Każdy dzień jest specjalny, zwłaszcza taki, uświetniony obecnością pięknej i utalentowanej młodej kobiety.

Słowa te brzmiały jak muzyka i upajała się nimi.

- Oglądałem pani zdjęcia próbne chyba trzydzieści razy, więc jest to okazja do świętowania. Muszę jednak powiedzieć, że jest pani piękniejsza w rzeczywistości niż na ekranie. Widzi pani, panno Boralevi... czy mogę mówić Tamara?

Uśmiechnęła się radośnie, chętnie rezygnując z dziwnego nazwiska.

- Będę zachwycona.

- Dobrze. - Był zadowolony. —A ty musisz do mnie mówić O.T., tak jak wszyscy. Chciałem właśnie powiedzieć, że nie co dzień potencjalna gwiazda przybywa do naszej stajni w LA.

- Więc... więc naprawdę mnie zatrudniasz? - odważyła się zapytać.

- To zależy - odpowiedział niejasno. - Chciałbym, żebyś najpierw obejrzała te zdjęcia. Później usłyszysz naszą propozycję i zdecydujesz.

Tamarę ścisnęło w żołądku i nadzieja przygasła.

- Więc... są problemy?

- Nie problemy, tylko kilka... detali, które są do pokonania, zapewniam cię. - Zauważył zbliżającego się bezszelestnie kamerdynera. — O, jest twój szampan. Spróbuj się rozluźnić. Mam zasadę, żeby nie rozmawiać o interesach z pustym żołądkiem. Zepsuto w ten sposób wiele dobrych posiłków. Wrócimy do tego po kolacji.

Żałowała, że nie mogą w ogóle obyć się bez jedzenia. Okazało się jednak, że to nowe doświadczenie było bardzo przyjemne. Każdy szczegół był dokładnie zgrany. Nie wyobrażała sobie, że może istnieć tak wyrafinowana kuchnia. Do zakąski filipińscy kelnerzy ustawili przed każdym gościem po dwa talerzyki i miseczkę i podano przepiórki na trzy sposoby: cieniutki plasterek piersi przepiórki z szalotką saute, czysty rosółek z przepiórki i nóżkę w sosie z czerwonego wina. Główne danie składało się z trzech różnych ryb w sosie z kaczych wątróbek z delikatnymi główkami zielonych szparagów. Skolnik i inni zabawiali ją anegdotami z życia różnych gwiazd, od czasu do czasu rzucając pytania, żeby dowiedzieć się czegoś o niej. Dzięki delikatnemu szampanowi i aksamitnemu winu przy kolacji sprawiało to wrażenie bardziej rozmowy towarzyskiej niż przesłuchania. Gdy nadszedł deser - oczywiście potrójny: maliny, czarne jagody i truskawki ze świeżą śmietaną - Skolnik i reszta wiedzieli o niej sporo. Fakt, że jej matka była wielką aktorką w Rosji i faworytą księcia, bardzo ich zainteresował, a ponieważ wino rozluźniło jej język, wygadała się, że ona i jej opiekunka bardzo potrzebują pieniędzy.

— Bruce - spytał Skolnik, gdy przyszedł kamerdyner ze skrzynką kubańskich cygar - czy masz dość materiału, żeby twój dział reklamy miał nad czym pracować?

Tamara zadrżała. Więc mówili poważnie!

Bruce Ślesin zaśmiał się, wyjął dwa cygara i włożył do kieszeni.

-Więcej niż dość! Pochodzenie tej młodej damy to dynamit. Troszkę podkoloryzować tu i tam, i mamy niewiarygodną historię. Powiemy po prostu, że matka była wielką rosyjską aktorką, a ojciec najprawdziwszym księciem. Nikt nie będzie tego prostował, wierzcie mi. Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć. Większość „białej” emigracji rosyjskiej jest albo tak zajęta organizowaniem własnego powrotu, albo tak się boi bolszewików, że siedzi cicho. Potraktujemy Tamarę po królewsku. Nie zapominaj, że skoro miała ojca księcia, to jest księżniczką

- Hm, księżniczka! - rozważał Skolnik. - To mi się nawet podoba.

- A mnie nie. - Tamara przechyliła się przez stół, ściągając swe doskonale zarysowane brwi. - To po prostu jest nieprawda. Nie jestem księżniczką i nigdy nią nie byłam. A mój ojciec nie był wcale księciem.

Ślesin uśmiechnął się do niej szeroko.

- Oczywiście, że był. Oczywiście, że pani jest.

Popatrzyła najpierw na niego, później na Skolnika, zdumiona, jak łatwo można upleść sieć półprawd. Gzy wszystko, co czytała o gwiazdach Hollywood, było tylko częściowo prawdą... a może zupełną fikcją?

Skolnik zwrócił się do Carol Anderegg:

- Carol? Jakies uwagi?

- Poza tymi szczegółami, o których mówiliśmy wczoraj, spełnia chyba wszystkie nasze wymagania - odpowiedziała ostrożnie.

Znowu, pomyślała Tamara, znów te nieszczęsne „szczęgóły”. Skolnik przeszył przenikliwym spojrzeniem dyrektora artystycznego:

- Claude?

Claude de Chantilly-Sicules skinął głową. Nie było już europejskiego czarowania, tylko zawodowa rzeczowość.

- Myślę, że moglibyśmy stworzyć zupełnie nowy styl -powiedział w zamyśleniu, bawiąc się łyżeczką. - Z tego, co widziałem, jej aktorstwo wymaga

oszlifowania, ale to już sprawa reżysera, nie moja - popatrzył na Ziolkę, siedzącego bez ruchu. - Ogólnie mogę powiedzieć, że ma tę niezwykłość gwiazdy, która każe zwrócić na siebie uwagę. - Reszta kiwnęła potakująco. - Podoba mi się jej królewski styl, nie ma w nim przesady. Jest urocza i świeża, nawet seksowna, ale nic w niej nie jest nadmiernie oczywiste, tylko ledwo zaznaczone, co daje znacznie lepszy efekt. Naszym hasłem przy niej powinno być: „klasa”, ale nie możemy go nadużywać. Spełniła te warunki, ma wszelkie atrybuty olśniewającej królowej. Ja widziałbym ją całą na biało: prawie białe włosy, biała garderoba, białe meble, błyszcząca biżuteria, białe futra..., białe pudle na smyczy... te rzeczy. Możemy wykreować sensację lat trzydziestych, jeśli zgodzi się z naszymi sugestiami.

Skolnik znów siadł i przez kilka chwil w zamyśleniu palił fajkę. Tamara zdołała przesiadzieć tę dyskusję spokojnie i z godnością.

Z jednej strony była zafascynowana obserwowaniem, jak sprawnie pracuje ta grupa, poruszając główne koła w całym tym urządzeniu, z drugiej - odczuwała potworną złość. Jej zaciśnięte pięści zmieniły się już w dwie czerwone kule, co chwila ogarniały ją sprzeczne emocje: euforia, złość, nadzieja, upokorzenie. Z jednej strony, to właśnie jej poświęcali całą uwagę, z drugiej - rozmawiali o niej jak zgromadzenie rzeźników nad oprawianym wołem. Kim oni są, żeby tak rozprawiać, nie pytając jej o zgodę? I nawet się nie zająknęli na temat kontraktu! Miała ochotę się rozplakać.

Skolnik zwrócił się teraz do pośrednika obrazów.

- Bernie, jak sam powiedziałaś, miałem nadrzędny motyw, zapraszając cię tu. Dotychczas moje zaufanie do ciebie sprawiło, że kupiłem od ciebie ile?... około dwudziestu obrazów.

Pośrednik czekał.

- Teraz chciałbym profesjonalnej opinii na temat Tamary. Nie osobistej opinii, ale jako znawcy sztuki. Chcę, żebyś był szczery. Co ci mówi twoje

doświadczone oko, gdy na nią patrzysz? Bądź tak obiektywny, jakby była obrazem, który chciałbyś sprzedać.

Bernard Katzenbach pochylił się nad stołem i zmarszczył brwi. Został postawiony pod ścianę i bardzo mu się to nie podobało. Omawianie wad i zalet obrazu czy rzeźby to jedna sprawa, ale publiczne szacowanie osoby, i to obecnej, przeraziło go. Ale jakie miał wyjście? Wiedział, że od tego zależą jego dalsze kontakty z najlepszym klientem.

Katzenbach przyjrzał się Tamarze. Siedziała nieruchomo, prawie nie oddychając, jak statuetka z marmuru. Jej twarz, widziana z profilu trzy-czwarte, była piękna do bólu. Jednak mimo tej urody zaczynał w niej widzieć wady. Poważne wady. Gdyby była dziełem sztuki, nie mógłby jej uznać za doskonałość.

- Widzę bardzo piękną kobietę - powiedział ostrożnie

- ale jak każda żyjąca istota, a nie dzieło sztuki, daleka jest od doskonałości. Nie jest ani chuda, ani zmysłowa.... Troszkę za dużo takiego dziecięcego tłuszczu...

Tamara pochyliła się jak od uderzenia, a inni pokiwali głowami, jakby było to coś, o czym już wiedzieli.

- No, dalej - zachęcał go Skolnik.

- Górne zęby ma trochę krzywe - zauważył Katzenbach - i nos lekko skrzywiony w jedną stronę...

- Więc nie uważasz jej za boginię - naciskał Skolnik. Katzenbach miał ochotę wstać, wyjść z tego obrzydliwego domu i więcej nie wracać, ale był zbyt ostrożny, żeby ryzykować następne interesy.

- Jest różnica między boginią w sztuce a boginią w kinie - powiedział. - Nie muszę chyba tego podkreślać. W sztuce perfekcja uznana jest za najwyższą wartość, w każdym razie w sztuce Zachodu. Japończycy uważają perfekcję za coś pospolitego i dlatego ich artyści czasami specjalnie dodają jakąś skazę na dziele sztuki, żeby było ono naprawdę doskonałe.

Tamara siedziała nieporuszona, wpatrując się w Katzenbacha. Odwrócił wzrok. -Ale nie więcej niż jedną skazę - stwierdził Skolnik.

- Przed chwilą tak powiedziałeś. Katzenbach zawahał się.

- Rzeczywiście. Jednak w przemyśle filmowym są różne triki: oświetlenie, makijaż, co tam jeszcze? Nie jestem filmowcem, więc nie wiem. Słyszałem, że kamera widzi tylko to, co chce widzieć. Jednak jeśli idzie o nadwagę, zęby i nos.... Nie wiem, jak kamera może to ukryć. Obawiam się, że zbliżenia mogą tylko to powiększyć i wyeksponować.

Skolnik pokiwał powoli głową.

- Byłeś bardzo szczery i doceniam to. Przepraszam, że zabrałem ci tyle czasu. Miło było cię tu z nami widzieć.

Bernard Katzenbach natychmiast zrozumiał aluzję i odsunął krzesło. Odłożył adamaszkową serwetkę.

- Panie - powiedział, skłaniając głowę i unikając wzroku Tamary. Wiedział, że z trudem powstrzymywała łzy. - Panowie, proszę mi wybaczyć, ale robi się późno.

- Frederique cię wyprowadzi - powiedział Skolnik i czarny lokaj pojawił się natychmiast.

Katzenbach skierował się do drzwi.

- Bernie...

Odwrócił się w stronę stołu.

- Zostaw tego Malevicha. - Skolnik uśmiechnął się słabo.

- Rano posłaniec przyniesie ci do hotelu czek.

Świece w jadalni dopalały się powoli. Skolnik zwrócił się do Tamary bez śladów wyrzutów sumienia na twarzy.

- Myślę, że pójdziemy do sali projekcyjnej zobaczyć twoje zdjęcia.

Popatrzyła na niego pustym wzrokiem. Czuła się zmęczona, jakby jej ciało rozciągnięto i poćwiartowano. Cały urok wieczoru prysł. Była załamana.

Cudem udało jej się wstać, choć zachwiała się na nogach. Po raz pierwszy w życiu czuła się naprawdę brzydka. Nie mogła powstrzymać się od myśli: Jeżeli jestem taka brzydka i nie chce mnie w swoich filmach, to po co mam przechodzić ten test? Żeby bardziej cierpieć?

W luksusowej salce projekcyjnej Tamara została usadzona w miękkim skórzanym fotelu w kolorze jaspisu. Po lewej stronie, w identycznym fotelu siedział Skolnik, po prawej

- Louis Ziolk. Inni siedzieli na mniejszych krzeselkach w porządku odzwierciedlającym ich ważność w wytwórni.

- Dobra, Sammy - zawołał Skolnik - możesz wyświecić. Zrobiło się ciemno i najpierw na ekranie pojawiły się cyfry:

9,8,7,6.-5,4,3,2...

Nagle znikły i pojawiła się ona, patrząc wprost z ekranu na siebie prawdziwą. Jej olbrzymia czarno-biała twarz wypełniła ekran... Była nieprawdopodobnie wielka. Wcisnęła się głębiej w fotel. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że się tak okropnie uśmiecha. To był jakiś grymas, a nie uśmiech.

Ogarnęło ją przerażenie. Na wielkiej twarzy powiększyły się drżące kąciki ust, a nieruchome oczy bez wyrazu patrzyły wprost przed siebie. Wyglądała sztywno jak na zdjęciu z kartoteki policyjnej, a nie jak gwiazda. Krytyka Bernarda Katzenbacha wydała jej się zupełnie uzasadniona, a nawet wyjątkowo taktowna. Jej nos rzeczywiście był nieco skrzywiony w jedną stronę, sprawiając, że cała twarz wydawała się asymetryczna. Jej ciało nie miało idealnych proporcji, a poza tym naprawdę była przyciężka. A zęby.... Dobry Boże... aż tak krzywe? Nagle uświadomiła sobie wszystkie swoje niedostatki. Dlaczego przedtem ich nie widziała?

Tamara była gotowa łądą moment wybuchnąć płaczem. Jakby dla podkreślenia charakteru zdjęć z policyjnej kartoteki, trzymała przed sobą tabliczkę, zwążającą się z jednej strony w uchwyt.

Widać było, że trzęsie jej się ręka. Rubryki wypełniono równymi, czarnymi literami:

Nazwisko BORALEVI

Data 24.01.30.

Dz. nr 1

Film nr B-112 Ujęcie nr 3 Plan nr " 2

94

W końcu, na jej szczęście, wstępne ujęcia z obrzydliwym uśmiechem skończyły się i pojawił się drewniany klaps z napisem „Podlotki”. Zdenerwowana Tamara gryzła kciuk, wpatrując się nieruchomo w ekran.

Niespodziewanie nastąpił oszałamiający cud. Było to stworzenie Ewy, pierwsze spojrzenie Kolumba na Nowy Świat.... Jak brzydkie kaczątko, które przeobraziło się w olśniewającego piękną łabędzia, tak Tamara z przeciętnej dziewczyny - w smukłą, pełną godności młodą kobietę. Połączone umiejętności Louisa Ziolko, Pearl Dern i reszty załogi stworzyły osobę, która istniała tylko w ludzkiej wyobraźni.

Oszołomiona Tamara dała się porwać w ten zaczarowany świat, w inny wymiar. Przeszłość w postaci próbnych zdjęć i teraźniejszość sali projekcyjnej przestały się liczyć. Nie, to niemożliwe. Cuda zdarzały się może innym, ale nie jej. Ale jednak to się przydarzyło, film był tego dowodem. Kobieta na ekranie nie grała, tylko żyła tą rolą, dzięki świetnej reżyserii Ziolki. Poruszała się wspaniale, zmysłowo i wyglądała olśniewająco.

Sceny przechodziły jedna w drugą. Tamara, oszołomiona i zachwycona, oglądała swe powiększone ja. Słyszała swój głos - niski, nieco ochrypły. Myślała, że to był nie jej głos, bo brzmiał dziwnie i obco. Nie miała pojęcia, że może być tak uwodzicielski i seksowny.

Doszli do finałowej sceny, którą Louis Ziolko kazał tyle razy powtarzać, aż była doskonała. Jakże teraz wydawało się to proste i właściwe, jak wspaniała była scena, w której ona i Miles Gabriel tańczyli charlestona. Miles prezentował się bardzo przystojnie i elegancko w białej muszce i fraku, z błyszczącymi,

czarnymi włosami zaczesanymi do tyłu i cieniutkim wąsikiem, a ona... nie, to nie mogę być ja! pomyślała zdumiona. Drżała, serce jej waliło, gdy nareszcie przekonała się, że ta wytworna istota to rzeczywiście ona. Trochę za gruba, z nosem, który w zbliżeniu nie był zupełnie prosty. Ale to wszystko nie miało teraz znaczenia. Liczyło się tylko to magiczne wrażenie, fakt, że zwracała na siebie uwagę wszystkich i nie mogli oderwać od niej wzroku.

Nagle wzdrygnęła się. Właśnie teraz, gdy dała się już całkowicie wciągnąć w ten cud na ekranie, film się skończył i na ekranie pojawiły się białe kropki.

Radość, która ją tak unosiła, nagle opadła. Skończyło się. Czowała się smutna, oklapnięta. Żałowała, że to nie trwało w nieskończoność.

- Światła, Sammy - zawołał Skolnik w ciemność. Pochylił się do Tamary i spytał konfidencjonalnie. - No, i co myślisz?

Światła zapaliły się, a ona wciąż wpatrywała się w ekran.

- Nic nam nie powiesz? - uśmiechnął się gładko Skolnik. - Nie podobało ci się to, co zobaczyłaś?

Zawahała się, próbując znaleźć właściwą odpowiedź. Na próżno. Już nie była pewna swych zachwyków. W końcu co mogła powiedzieć? Kim była, żeby oceniać?

- Nnnie wiem... - powiedziała niepewnie. - A jak ty uważasz?

- Próba mówi sama za siebie. Masz pewne zalety - dodał ostrożnie - i nawet twoja gra, choć wymaga dopracowania, nie jest zła. W tej chwili mogłabyś odnieść sukces w różnych filmach.

Czekała, nie wierząc własnym uszom. Szumiało jej w głowie, jakby ktoś przyłożył jej do ucha olbrzymią muszlę.

- Mógłbym, oczywiście, podpisać z tobą natychmiast kontrakt na role drugoplanowe - powiedział. - Ale to byłoby jak zbyt wczesne otwieranie dobrego wina, a ja nie jestem człowiekiem, który marnuje okazje. Wolę poczekać na właściwy moment. Widzisz, nie szukam jakiejś aktorki. Takich mam dużo.

- A kogo szukasz? - zdołała spytać, wytrzymując jego spojrzenie.

- Najcenniejszego, najdroższego towaru... Uniosła lekko brwi.

- Gwiazdy, Tamaro, tego szukam - wyjaśnił szczerze. - Nie po prostu dobrej aktorki czy kolejnej ładnej buzi, ale błyszczącej pełnym blaskiem, kasowej gwiazdy. Mamy Milesa Gabriela, ale on jest naszym jedynym gwiazdorem. Nie mamy nawet aktorki do pary dla niego. Szukam kobiety, która stałaby się taką gwiazdą.

- I myślisz, że ja...

- Nie myślę, wiem. Jedynym problemem jest to, czy jesteś skłonna się poświęcić, żeby to osiągnąć?

Nie odzywała się, nie wiedząc, co ma na myśli.

- Chodzi oczywiście o twoją wagę, nos, oczy, zęby. To są jedyne przeszkody. Zaśmiała się swym nieco zachrypniętym głosem.

- Niestety, taka się urodziłam. Nie mogę się znów znaleźć w łonie matki i wyjść inna.

Spojrzał dziwnie.

- Nie możesz? - spytał przyciszonym głosem.

- Oczywiście, że nie. Mogę tylko schudnąć.

- To niezupełnie prawda. Zęby to prosta sprawa - powiedział lekko. - Można nałożyć koronki, tu, w Los Angeles.

- A mój nos? - Patrzyła z płacziwą miną. - Oczy?

W dalszym ciągu uśmiechał się leciutko, ale miał minę tygrysa, który poczuł krew. Zdała sobie wtedy sprawę z tego, że jest to człowiek, który zawsze dostaje to, czego chce. Pod tą opaloną skórą był żelazny szkielet. Dreszcz przeszedł jej po plecach.

- Jest lekarz we Włoszech - zaczął - właściwie pionier. Robi niesłychane postępy w nowej dziedzinie, zwanej chirurgią plastyczną.

- Nigdy o tym nie słyszałam.

- Nic dziwnego. Większość lekarzy nie słyszała.

- I on... może zmienić mój nos i oczy? - spytała z niedowierzaniem.

Skinął głową.

Odwróciła się od niego, patrząc w ekran.

- Czy zastanowiłabyś się nad tym?

- Nie wiem nawet, o co dokładnie chodzi! - odpowiedziała ostro. Zagryzła wargę i znów spojrzała na niego. - Rozumiem, że nazywa się to operacją plastyczną, bo jest to operacja.

Znów pokiwał głową.

Tamara była przerażona. Operacja. Samo słowo napawało ją strachem. Nigdy nie słyszała, żeby ktoś zdrowy szedł na operację. I tylko po to, żeby sobie poprawić urodę.

- Mam przygotowany dla ciebie kontrakt - powiedział Skolnik niedbale. - Proponuję tysiąc dolarów tygodniowo przez siedem lat. Gwarantowane. Zacziesz dostawać pieniądze z chwilą podpisania dokumentów.

Zaniemówiła. Tysiąc dolarów tygodniowo! To było niesłychane. Siadła prosto, przeprowadzając błyskawiczną kalkulację. Boże, to byłby... majątek. Żołądek aż jej się ścisnął.

To byłoby więcej, niż trzeba, żeby zapewnić sobie przyszłość na zawsze. Ale za jaką cenę...

Operacja.

Czekał cierpliwie. Tylko skrzypnięcie skóry na fotelu przypomniało jej, że on wciąż tam jest. Po chwili odzyskała głos. Był drżący i przyciszony.

- Rozumiem, że kontrakt zależy od tego, czy zgodzę się na operację?

- Tak właśnie jest.

- Ale skąd wiesz, czy się uda?

- Doktor Zatopek ma najlepszą opinię - oświadczył poważnie. - Jestem żywym przykładem.

- Ty? Nie rozumiem.

- To proste. Wypróbowałem osobiście wszystkie nowe samoloty produkowane przez Skolnik Aviation i zaliczyłem sporo wypadków. Zwłaszcza jeden prawie mnie załatwił. Szkoda, że mnie nie widziałaś, zanim mnie połatał. Można było dzieci straszyć - zachichotał. - W zasadzie doktor Zatopek zajmuje się ofiarami wypadków, ale zrobi dla ciebie wyjątek. Nie uwierzysz, jakie ma metody! A w związku z tym, że już teraz jesteś prawie doskonała, założę się, że będziesz najpiękniejszą kobietą, jaką to miasto kiedykolwiek widziało. - Jego usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

- Rozmawiałeś już z tym lekarzem? Skinął głową.

- Zgodził się ciebie przyjąć. Wczoraj dostałem wiadomość. Nagle wszystko jej się ułożyło. Była wściekła.

- To dlatego musiałam tak długo czekać, zanim mi pokazałeś ten film - zarzuciła mu. - Dopóki ci nie odpowie.

- Moja wina - spojrzał na nią z szacunkiem.

- Dobrze. - Wzięła głęboki oddech i ścisnęła poręczę fotela. - Ale chcę czterysta tysięcy dolarów w ciągu najbliższych siedmiu lat. Gwarantowane niezależnie od wyniku operacji. - Zerknęła na niego kątem oka.

Powoli zapalał fajkę.

- Ostro grasz, młoda damo. Na jakiej podstawie sądzisz, że jesteś warta czterysta tysięcy dolarów? - Twarz miał w obłokach dymu.

Uśmiechnęła się leciutko. - Na takiej, na jakiej ty mnie oceniasz na trzysta sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów.

- Bez operacji nie jesteś warta nawet ułamka tej sumy. Dlaczego jesteś taka chciwa?

- Nie jestem, tylko chcę mieć zabezpieczenie, na wypadek, gdyby...

- ...operacja się nie udała? - dokończył za nią.

- Tak, albo zakończy się komplikacjami i będę wyglądała znacznie gorzej niż teraz. Jeśli tak się stanie, nie mogę nawet marzyć o karierze.

- Jasne. Zgoda. - Skinął na Carol Anderegg. - Carol, ty i Claude przygotujecie jakąś tymczasową garderobę dla Tamary, dobrze? Łącznie z futrem z białych norek. Jeśli ta młoda dama ma być gwiazdą, musi się nauczyć odpowiednio ubierać. Wszystko wokół niej musi być pierwszej klasy.

Zwrócił się do Tamary, która zapadła w fotel.

- Przyjdź jutro do studia o ósmej rano podpisać kontrakt. O dziesiątej zgłosisz się do garderoby, żeby cię zmierzyl i co tam jeszcze będą musieli zrobić. O jedenastej samochód zawiezie cię do dentysty. Jak tylko załatwi ci zęby, polecicie z Louisem do Włoch. Potrwa to pewnie ze dwa tygodnie.

- Polecicie! Dwa tygodnie! - Tamara była przerażona. - Ale...

- Nie zapominaj, że mam do dyspozycji całą flotę samolotów. Dlaczego tracić czas na pociągi i statek? W końcu czas to pieniądz. Mój.

Potrząsnęła głową. Dostała się w jakiś wir, który ją porywał.

- Jutro? - jęknęła słabo. - To ma się zacząć jutro? Wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie? Od jutra od ósmej rano będziesz na mojej liście płac, więc możemy zaczynać.

- W takim razie, lepiej już pojedę - powiedziała wstając. - Wygląda na to, że muszę się wyspać przed tym wszystkim.

- Chyba tak. Do zobaczenia jutro. Louie cię odwiezie.

Powiedziała wszystkim dobranoc i niepewnie wyszła z pokoju. Kolana się pod nią uginały. Nie odczuwała żadnego uniesienia ani radości. Wręcz przeciwnie, czuła się załamana. Nie tak wyglądał jej wymarzony sukces. Nie wiedziała, dlaczego czuje się taka nieszczęśliwa. Może dlatego, że zawarła pakt z diabłem.

O świcie, półtora miesiąca później, ostre, żółte światła Fiata Balilla omiały sterczące tu i ówdzie świerki na zboczu wzgórza wysoko we włoskich Alpach. Śnieg skrzypiał pod łańcuchami, założonymi na opony. Kierowca z wprawą podjechał pod wejście trzypiętrowego domku, zatrzymał się i natychmiast wyskoczył, by przytrzymać tylne drzwiczki.

Max Factor, geniusz makijażu i nadzwyczajny kosmetolog, wysiadł wraz z Oskarem Skolnikiem. Marcowy chłód i czyste, górskie powietrze wyostrzyły zmysły O.T. Nawet o świcie widział kryształowo czysty obraz. Jeśli powietrze może uzdrawiać, to tylko takie. Rozciągnął wargi w uśmiechu. Spojrzenie miał żywe i bystre. Wyglądał znacznie lepiej niż wypoczęty Max Factor. Po zwykłym śmiertelniku byłoby widać trudy podróży, ale Oskar Skolnik był mistrzem w odnawianiu energii.

Słyszając zajeżdżający samochód, Louis Ziolkko zbiegł po kamiennych schodach. Opatulony był w futro i szalik. Czekał na tę chwilę, spacerował nerwowo przed domem.

- Miałaś dobrą podróż? - powitał go, a jego oddech natychmiast zmienił się w kłęb pary. - Twój pokój i kąpiel czekają. - Miał napiętą skórę i wyglądał, jakby żył tu w dużym napięciu.

Skolnik prędko wchodził na schody, minawszy go.

- Jak ona? - spytał bez wstępów, nie zatrzymując się, więc zdziwiony Ziolkko musiał go gonić. - Kiedy ostatnio rozmawiałem z nią przez telefon, była zdenerwowana.

- Nie możesz mieć pretensji do Tamary. - Ziolkko z trudem powstrzymał gniew. - Operacja była bolesna, a wszystko pod bandażami ją swędzi. To już półtora tygodnia.

Skolnik stanął na schodach.

- Wciąż je ma? Ziolkko westchnął.

- Wygląda jak mumia, jeśli o to ci chodzi. Doktor Zatopek chciał je zdjąć dwa dni temu, ale postanowił poczekać na ciebie.

- Dobrze. - Skolnik z zadowoleniem kiwnął głową. - Więc jest gotów? Idę prosto do jej pokoju. Przyślij go tam do mnie.

Ziolkko zawahał się.

- To jest pora jego kolacji. Jedyny czas, kiedy prosi, żeby mu nie przeszkadzać. Lepiej zaczekajmy jakieś pół godziny.

Skolnik spojrział na Ziolkę twardo.

- Podróżowałem dwa całe dni i dwie noce, piętnaście tysięcy kilometrów, żeby to zobaczyć. Jeśli ja mogłem zrobić tyle, to pan doktor może przerwać kolację.

- Dobrze. - Ziolko zacisnął wargi i pokiwał głową. Spojrział na samochód i dostrzegł szofera, wyładowującego bagaże, i jakąś znaną postać, której nie mógł skojarzyć, wspinającą się po schodach.

- Poznałeś już kiedyś Maxa Factora, oczywiście - powiedział niezobowiązująco Skolnik. - Przysiągł utrzymanie sekretu. Możemy mu zaufać, że zabierze naszą małą tajemnicę do grobu.

Louis popatrzył z ciekawością na kreatora makijażu.

- Miło znów cię widzieć, Max - powiedział lekko, skrywając złość i potrząsając jego ręką. Jednak wewnątrz kipiał. Tamara specjalnie prosiła o Pearl, znany element w swym życiu, kogoś, komu ufała. Zamiast tego ma najlepszego kosmetologa na świecie, ale... obcego. Max Factor czy inny, ona będzie bardzo zawiedziona.

Skolnik zauważył błysk gniewu w oczach Ziolki.

- Poprosiłem Maxa o przyjazd, żeby mógł osobiście zrobić Tamarze makijaż, nim się zobaczy w lustrze. Chciałbym, żeby wyglądała jak najlepiej. Wiem, że to nie było dla niej łatwe.

Niełatwe, chciał krzyknąć Ziolko. Żebym to ja był pod tymi bandażami, dawno bym je zerwał, stłukł lustro i rzucił się z jego odłamkami na Skolnika.

Pamiętał doskonale ostrzeżenie doktora Zatopka, którego jednak nie przekazali Tamarze: operacja może być udana, ale nie ma żadnej pewności. Chirurgia plastyczna twarzy była w powijakach. Co gorsza, Tamara może być zniekształconą do końca życia.

Ziolko wszedł za Skolnikiem do ciepłego holu, modląc się, jak przez cały zeszły miesiąc, żeby seria operacji okazała się udana.

Wkrótce, już bardzo niedługo będzie wiedział, czy jego modlitwy zostały wysłuchane.

Kim się okaże? Piękną? Czy bestią?

Oczy Tamary.

To było wszystko, co dało się zobaczyć z jej twarzy. Cała reszta wyglądała jak gładka, biała maska. Miała małe szpareczki na dziurki od nosa i wilgotną, cieńszą warstwę bandażu na ustach. Nie wyglądała nawet na istotę ludzką, póki nie spojrzano się w jej oczy. Były ogromne, błyszczące i pełne strachu. Ubrana w bezkształtny szlafrok siedziała obok stołu operacyjnego, na którym leżała taca z narzędziami chirurgicznymi. Czekala na doktora Zatopeka. Kiedy nareszcie to wszystko się skończy? Najpierw, w Kalifornii, wyprostowano jej zęby i nałożono koronki. Zbyt szybko, a więc boleśnie. Zaczęła się również odchudzać poprzez całą serię ćwiczeń i głodzenie. Przy dzisiejszym wazeniu okazało się, że zrzuciła ostatnie pół kilograma z sześciu, jakie zaplanowała. Miała teraz 161 centymetrów wzrostu i ważyła 54 kilogramy. Przez ostatnie półtora miesiąca nie było wieczoru, żeby nie miała kłopotu z zaśnięciem, bo szła spać głodna albo coś ją bolało. Gdy zgodziła się na operację, nie zdawała sobie sprawy z tego, że będzie to takie bolesne i że będzie wciąż upokarzana. Najgorsza była operacja nosa: trzeba było go złamać, a potem złożyć i zapakować w całe metry bandaża. Przy miejscowym znieczuleniu słyszała skrzypienie delikatnych chrząstek i cięcia skalpelem. Jeszcze teraz wzdrygała się na samo wspomnienie. Później, gdy zdjęto opatrunki, miała napady mdłości przez dwa dni i dwie noce. Nawet to ścierpiała w milczeniu. Choć Louis Ziolkowski był przy niej cały czas i bardzo się zżyli, wołałaby Pearl, albo jeszcze lepiej Inge, przy której mogłaby wypłakać wszystkie swoje żale. Ale najtrudniej było jej znieść to, że doktor Zatopek nie pozwolił jej nawet na chwileczkę rzucić okiem w lustro i zobaczyć „nowy” nos. Lustra były w klinice pilnie strzeżone, zamknięte w szafach i przynoszone tylko wtedy, gdy uznano pacjenta za fizycznie i psychicznie gotowego. Nawet jej

pudding i podręczne lustro, które miała w bagażu, zostały skonfiskowane przy przyjeździe.

- Jest jeszcze spora opuchlizna i dużo siniaków - poinformował ją doktor Zatopek ze swą zwykłą oschłością. - Kiedy uznam, że jest pani gotowa, wtedy pozwolę pani zobaczyć. Ani sekundy wcześniej.

Na tym rozmowa się skończyła. Doktor Zatopek nie chciał słuchać żadnych argumentów, a pielęgniarki były uparte i nieprzekupne.

Nigdy nie czuła się bardziej nieszczęśliwa.

Później odbyła się delikatna operacja oczu. Najważniejsi ludzie z IA orzekli, że jej oczy mają różny kształt. W zbliżeniach na ekranie było to bardziej widoczne niż w rzeczywistości.

Teraz w końcu było po operacjach. Opatrunki miały być zdjęte. Nie słyszała szybkich kroków doktora Zatopeka, bo jej bandaż tłumiał cichsze dźwięki, ale zauważyła, że Ziolkowski, Skolnik, Max Factor i pielęgniarka obrócili się w stronę drzwi.

Zaczęła się prędko modlić, gdy doktor Zatopek wszedł do pokoju. Serce jej waliło. Wbiła paznokcie w rękę, żeby ból fizyczny uśmierzył jej histerię.

Gdy spojrzy teraz w lustro, kogo zobaczy?

Siebie czy nieznajomą?

Niecałe dziesięć minut później opatrunki były zdjęte, lecz minęły jeszcze trzy dni, nim pozwolono Tamarze przejrzeć się w lustrze. Tym razem to nie lekarz, ale Oskar Skolnik odmówił jej prośbie.

- Nie chcę, żebyś miała niepełny obraz - powiedział.

-Musimy ci jeszcze zrobić włosy i makijaż. Czekałaś tak długo, kilka dni nie ma znaczenia.

Ogromne, jak stwierdziła z bólem. Dni i godziny ciągnęły się w nieskończoność.

Gdy nadeszła wielka chwila, doktora Zatopeka nie było przy tym. Umył ręce od całej sprawy.

- Mam ważniejsze rzeczy na głowie niż te głupstwa - oświadczył wyraźnie Skolnikowi. - Im prędzej zwolni się ten pokój, tym prędzej będzie można przyjąć kogoś, kto naprawdę potrzebuje pomocy. - Gwałtownie zamknął za sobą drzwi.

Te ostre słowa przytłumiły nieco radość Tamary, ale na szczęście nie na długo. Nie miała czasu, żeby teraz zajmować się niemiłymi sprawami, a poza tym Oskar Skolnik okazał się prawdziwym cudotwórcą, wyjmując niespodzianki z kapelusza, jedną po drugiej. Po raz pierwszy w ciągu ostatnich sześciu tygodni Tamara odczuwała podniecenie. Upajała się wszystkimi zabiegami, jakie wokół niej czyniono. Przyjechał fryzjer z Rzymu, aby rozjaśnić, ostrzyć i ułożyć jej włosy, a Max Factor spędził trzy dni w zamknięciu, produkując specjalnie dla niej podkład do makijażu, który teraz nakładał, zmieniał, poprawiał. Przez cały czas Oskar Skolnik krążył jak głodny rekin albo przyszyły ojciec, oczekujący rozwiązania. Tamara nie mogła się zdecydować, które porównanie bardziej pasowało. Tylko Louis Ziolko był cichym kibicem, siedział obok niej i od czasu do czasu uśmiechał się lub ścisnął jej rękę, dodając odwagi.

Godziny ciągnęły się, nim Skolnik kiwnął głową, wyrażając zadowolenie. Na ten sygnał Max Factor pozbierał pędzle, kremy, płyny i ołówki, a Ziolko odetchnął z ulgą, pocałował ją w policzek i wstał. Nie mówiąc ani słowa, panowie wycofali się za Skolnikiem jak pisklęta za panią matką, a do pokoju wpadła pulchna, miłutka pokojówka, żeby pomóc jej się ubrać. Kiedy dziewczyna spojrzała na Tamarę zatrzymała się.

- Czy coś się stało? - zapytała Tamara. Kobieta potrząsnęła głową.

- Scusi - przeprosiła, wyraźnie zawstydzona. - Proszę mi wybaczyć. Nie jestem przyzwyczajona, żeby patrzeć na taką piękność.

- Więc... jestem piękna? - spytała z niedowierzaniem Tamara.

Kobieta zaśmiała się.

- Czy jest pani... - Zauważyła śmiertelnie poważny wyraz twarzy Tamary i śmiech zamarł jej na ustach. Podeszła bliżej. - Pani nie wie?

Tamara potrząsnęła głową, a łzy zaczęły się gromadzić w jej oczach.

- Nie - odpowiedziała, odwracając, się prędko. - Nie widziałam się od tygodni.

- Biedactwo. - Pokojówka przechyliła głowę na jedną stronę i uśmiechnęła się uspokajająco. - Jest pani bardzo, bardzo piękna, signorina.

Tamara spojrzała na nią. Odruchowo podeszła i uściśnęła jej rękę.

- Dziękuję - szepnęła, a w drżącym głosie brzmiała ulga.

- Za co? Że powiedziałam prawdę? Uszczęśliwiona kobieta, nucąc radośnie, zaczęła grzebać w niezliczonych warstwach bibuły w olbrzymim tekturowym pudle od Vionnet z Paryża. Skolnik zamówił tę suknię dla Tamary według jej wymiarów i przywiózł z sobą. Nagle nucenie ustało i pokojówka westchnęła głośno.

- Mamma mia!

Wyjęła suknię i przypatrywała się jej z bliska, cały czas cmokając z zachwytu. Tamara przybliżyła się.

- Jaka piękna! - wykrzyknęła, biorąc do ręki białą jedwabną taftę.

- Och, jakie cudo, signorina Niech pani spojrzy. Belliśsim! - Przyłożyła suknię do Tamary.

Było to rzeczywiście cudo, musiała przyznać Tamara. Nawet ona, mimo braku doświadczenia, ale zaznajomiona nieco poprzez filmy z najwspanialszymi kreacjami Hollywood, musiała przyznać, że prawdziwe paryskie krawiectwo było o całe lata świetlne do przodu. Ta kreacja po prostu zapierała dech. Każdy detal był perfekcyjnie wykonany.

Pokojówka zdjęła ostrożnie suknię z aksamitnego wieszaka

i pomogła Tamarze ubrać się, cały czas gadając i tryskając radością.

- Mamma mia, wygląda pani jak principessa, si! Prawdziwa principessa! Może ma pani włoską krew? Oczywiście, wiem wszystko o pani. Wszyscy tu

plotkują jak papugi, ale nie miałam pojęcia, że pani jest taka piękna! A ta suknia... Teraz proszę się odwrócić, to pozapinam...

Gdy Tamara była już zupełnie gotowa, obracała się w jedną stronę i drugą, czując przy każdym ruchu elegancki materiał. Popatrzyła na siebie, znów przeklinając w duchu brak lustra. Wiedziała jednak, że projekt i wykonanie sukni był majstersztykiem. Z przodu sięgała do pół łydki, z tyłu do ziemi, spływając z ramion do talii, gdzie spięta była małymi, perłowymi guziczkami. Szarfa, przyczepiona z przodu i przerzucona przez ramię, opadała z tyłu jako króciutki tren.

- Wygląda pani jak królowa z bajki, signorina - powiedziała pokojówka, zacierając z radości krótkie rączki o czerwonych dłoniach. Życząc jej wszystkiego dobrego, wycofała się z pokoju.

Mężczyźni znów weszli. Przybliżali się, żeby jej się lepiej przyjrzeć, i oddalali, jak gdyby zastanawiali się nad kupnem jakiegoś szczególnie cennego przedmiotu. Nachylali się. Odchylali. Max Factor poprawił jeszcze coś ołówkiem i pędzlem. W końcu, bez słowa, spojrzeli na siebie i skinęli głowami. Uśmiechali się, ściskali sobie ręce, gratulowali nawzajem.

Ten lekarz to cudotwórca - powiedział uszczęśliwiony Skolnik, zapalając fajkę. - Nie widzę żadnego szwu, a ty, Max? Zrobiłby majątek w Hollywood.

- ...Nie do wiary, co ta platyna dała jej włosom. Może spróbujemy namówić tę fryzjerkę do przyjazdu do Hollywood. Przydałaby się...

- ...Makijaż jest świetny, Max. Naprawdę dobry. I to podkreślenie oczu. Daje jej taki... nawiedzony wyraz, nie uważasz? Kobiety będą ją kochały i starały się naśladować, a mężczyźni będą marzyć o niej w łóżku. Wspaniała robota, Max.

- ...Ta cała Vionnet jest naprawdę dobra. Bez przymiarki, tylko na podstawie wymiarów, stworzyła taką suknię. Niech jej uszyje całą garderobę, może nawet zaprojektuje jakieś kostiumy do filmów...

Tamara zagryzła usta, zde gustowana tym wszystkim. A ja? - buntowała się po cichu. Czy ja nie mam nic do tego? Czy to nie o mnie rozprawiają? Po tym, co przeszłam... Miała ochotę krzyczeć.

Zamiast tego popatrzyła na Skolnika i chrząknęła ze złością.

Nie zwracając na nią uwagi, pstryknął palcami na Ziolkę, który wyszedł do holu i dał znak dwóm sanitariuszom, żeby wnieśli zakryte, trzyskrzydłowe lustro. Tamara patrzyła na nie z mocno bijącym sercem. Gniew ustąpił, zastąpiło go podekscytowanie.

Skolnik uśmiechając się podszedł do lustra i odsłonił je gestem magika.

Tamara wpadła w panikę. Co zobaczy?

Drżąc z emocji podeszła do lustra. Ustawiała się tak, żeby widzieć się ze wszystkich stron. Skolnik stanął za nią, jego widoczne zza jej ramienia oko błyszczało radośnie.

Potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

Popatrzyła na nią szlachetna twarz o słowiańskich, wystających kościach policzkowych, prawie nieziemsko piękna. Błyszczące platynowe loczki miały biały odcień włosów anielskich. Idealna figura miała proporcje greckiej rzeźby wykutej z marmuru. Cienki nosek był doskonały. Wszystko w niej było doskonałe. Łuki brwi, zęby, skóra o przejrzystości bardzo delikatnego deserowego wina. Oczy o doskonałym kształcie, wspaniale obrysowane, podmalowane cieniami. Oczarowały ją samą.

- Poznajesz ją? - nachylił się do jej ucha Skolnik.

- Nnie... nie wiem - wyjąkała Tamara, dotykając lekko twarzy opuszkami palców, - To... to nie jest dawna Tamara Boralevi.

- Nie, nie jest - odpowiedział. - Nie ma już Tamary Boralevi. Nawet nazwisko przestaje istnieć. Od teraz będziesz znana tylko jako Tamara. Bez nazwiska. Po prostu Tamara. Na całym świecie wszyscy będą z tobą po imieniu.

- Nie... nie mogę uwierzyć, że to ja - zwróciła się do niego.

- To nie jesteś ty. Tamara, jaką znałaś, przestała istnieć. Kobieta, którą widzisz przed sobą, jest z krwi i kości, ale nie zrodziła się z kobiety. Miałem okazję zrobienia tego, o czym marzy wielu ludzi, ale nikomu dotychczas się nie udało.

Zabawiłem się w Pana Boga. Stworzono cię dla mnie. Stworzyłem ideał. Doskonałość. Tamara pokiwała głową. Poczowała gęsią skórę na ramionach.

- Tak, stworzył pan.

- Stworzyłeś - przypomniał jej. - Masz mi mówić po imieniu, O.T.

- Jestem piękna! - zapłakała. - Jestem naprawdę piękna! - Łzy popłynęły z jej oczu, mącąc wzrok i rozpuszczając tusz, który w czarnych smugach spływał po jej policzkach.

Louis Ziolkowski wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł ją.

- Piękna to za mało - powiedział miękko. - Myślę, że jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- A przy okazji - powiedział Skolnik, pozornie od niechcienia - uważaj na tę twarz. Jest to moja poważna inwestycja, ubezpieczyłem ją u Lloyda w Londynie na okrągły milion dolarów.

Gdy wyszedł wraz z Maxem, ona i Louis długo jeszcze patrzyli na drzwi.

Noc zapadła już dawno. Ostry alpejski wiatr kołatał w okna, daremnie szukając szpar, przez które mógłby przedostać się do wnętrza. Tamara, skulona pod leciutką, puchową kołdrą nasłuchiwała świstu wiatru. Gdzieś w holu zegar uderzył dwanaście razy.

Westchnęła i spojrzała na ciemny sufit. Już północ, a ona wciąż nie śpi. Dawno już starała się zasnąć, ale sen nie nadchodził. Tyle się wydarzyło, tak szybko. Od przyjazdu tutaj stała się kobietą, która przedtem nie istniała.

W jej głowie krążyły chaotyczne myśli. Gdzie teraz, gdy wygląda inaczej, powinna się inaczej zachowywać? Czy powinna być ważniejsza, żeby ją ludzie

inaczej traktowali? A jeśli tak, to jak na to reagować? Nie miała czasu, żeby się przyzwyczaić do nowej Tamary. Powstała właściwie z dnia na dzień.

Przewróciła ze złością poduszkę na chłodną stronę i znów zamknęła oczy, zdecydowana zasnąć i odpędzić demony, ale przewracała się z boku na bok. Zegar w holu wybił pół do pierwszej.

Zrezygnowana, siadła na łóżku, sięgnęła po szlafrok, wsunęła kapcie i wstała.

Przez chwilę stała niezdecydowana przy drzwiach, trzymając jedną rękę na klamce. Nagle prędko, nim się rozmyśli, otworzyła je. Spojrzała na długi, wyłożony sosnową boazerią hol. Był ciemny, tylko małe lampki gdzieś przy końcu oświetlały drogę. Było cicho, tylko tu i ówdzie czasem coś skrzypnęło, jak to w starych domach. Ze wszystkich kątów wзираły duchy, gotowe na nią skoczyć. Po drugiej stronie korytarza zobaczyła światło przechodzące przez szparę w drzwiach Louisa Ziolk. Przywoływało ją. Przez cały czas tych medycznych koszmarów miała jedno stałe i pewne oparcie, Louisa Ziolk. Zrobiła trzy kroki do przodu, wstrzymała oddech, delikatnie zapukała do drzwi.

Usłyszała skrzypienie materaca i odrzucanie pościeli, a później bose stopy na wyfroterowanej drewnianej podłodze. Louis otworzył drzwi. Ubrany był w brązową jedwabną piżamę.

Uśmiechnęła się przepaszająco, ściskając z przodu poły szlafroka.

- Nie mogłam zasnąć - tłumaczyła się.

- Ja też nie. - Otworzył szerzej drzwi. - Chcesz wejść?

Wsunęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi.

- Drzysz - powiedział. - Zimno ci?

Potrząsnęła głową. Szmaragdowe oczy były wilgotne jak dwa jeziora.

- Boję się.

- Czego? - Był zdziwiony.

- Siebie. - Zaśmiała się gorzko. - Nowej siebie.

- Miliony kobiet chciałyby być na twoim miejscu.

- Wiem. - Odwróciła się i powiedziała szeptem. - Przytul mnie.

Poczula wokół siebie jego silne ramiona. Powoli obróciła się w jego stronę i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Wiem, że jestem głupia, ale potrzebuję kogoś.

- Są chwile, kiedy każdy z nas kogoś potrzebuje - odpowiedział cicho.

Oczy jej błyszczały od łez, gdy objął ją mocniej i przytulił do siebie.

Czas przestał płynąć. Świat był cichym wymiarem, w którym byli jedynymi ludźmi na ziemi. Nawet uderzenia zegara w holu należały do jakiejś innej rzeczywistości.

Przyłgnęła do niego, jego usta dotknęły jej ust, jego język szukał jej języka. Ich uścisk stawał się coraz gorętszy, pocałunki coraz głębsze. Jego palce dotykały jej napiętego ciała, przesuwaly się wzdłuż pleców, aż po rozcięcie szlafroka. Wsunęły się do środka, odnalazły jedwabistą skórę, doskonale, krągłe piersi, wędrowały powoli po twardym brzuchu. Jęknęła i ścisnęła go mocniej, gdy jego palce natrafiły na miękką kępkę włosów. Przeszedł ją dreszcz. Muskał ją delikatnie jak piórkiem. Jej ciało wygięło się i krzyknęła. To było to - obietnica, namiętność. Druga strona śmierci. Przyczyna, dla której się urodziła. Była jak opętana. Zaczęła błądzić rękami, szukając przez piżamę, aż znalazła jego męskość. Czuła w rękach tę twardość i siłę. Pulsowanie. Była jednocześnie przerażona i pragnęła go.

- Chcę cię - szepnęła. - Louie, chcę cię. Potrzebuję cię. - Zaczęła go gwałtownie całować. - Proszę, potrzebuję tego. Och Boże, jak bardzo.

Odsunął się, zsunął z niej szlafrok i patrzył, jak spływa z jej ramion. Jakby odsunęła się kurtyna, odsłaniając bezcenny skarb. Nie miał pojęcia, że jej ciało to taka doskonałość. Krągłe piersi miały truskawkowe brodawki i sterczące sutki, talia była wąziutka, biodra zaokrąglone, a twardy brzuch unosił się i opadał z każdym oddechem.

W jego oczach płonęło pożądanie. Miała twarz anioła i ciało dziwki. I była jego. Mógł ją wziąć. Mógł kochać.

Nie spuszczać z niej wzroku, zdjął piżamę i stanął przed nią wyprostowany. Patrzyła i dech jej zapało. Wyglądał jak grecki bóg, bardziej jak idea mężczyzny niż człowiek z krwi i kości. Miał umięśnione barki, silne ramiona, szeroką klatkę piersiową, twardy brzuch. Był smukły. Mocny. Muskularny: Kręcone włoski pokrywały jego nogi i klatkę piersiową, łagodząc nieco alabastrową twardość tej rzeźby. Powoli opuściła wzrok. I patrzyła. Była jak urzeczona. U podbrzusza zobaczyła jego nabrzmiąły penis, sterczący wysoko, z obrzezaną różową główką, na której szczycie drżała błyszcząca kropelka.

Bez wysiłku wziął ją na ręce, ona objęła go za szyję, a on ułożył ją powoli na miękkim, puchowym łożu. Jednym ruchem znalazł się na niej. Patrzyła mu w oczy, nerwowo oblizując wargi, gdy rozsunął jej nogi. Ukląkł nad nią i pocałował to miejsce, w które po chwili trafił jego penis. Otworzyła usta, nie wydając żadnego dźwięku i zamknęła oczy. Maleńki ruch, minimalne wsunięcie w nią i wszystkie zakończenia nerwowe poruszyły się do życia. To była ekstaza.

Posuwał się powoli, centymetr po centymetrze. Głębiej i głębiej.

Krzyknęła rozczarowana, gdy natrafił na przeszkodę. Spojrzał na nią zdumiony.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - szepnął.

Zacisnęła dłonie na jego ramionach i popatrzyła mu głęboko w oczy.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - Głos jej trochę drżał. Znów nachylił głowę, pocałował pobudzony sutek i jednym gwałtownym ruchem rzucił się w nią. Przed jej oczami rozprysły się z bólu kawałeczki kalejdoskopu. Szarpnęła się i nagły krzyk zmienił się w jęk, gdy wsuwał się w nią coraz głębiej i głębiej. Wypełnił ją, a ona drżała, przez całe ciało przechodziły spazmy.

Powoli jego twarde pośladki odsunęły się, lecz zaraz wszedł w nią znów. Za każdym razem wchodził w nią głębiej. Uniosła nogi, ścisnęła jego pośladki, wpijała w niego palce, drapała paznokciami. Oddychała głęboko, a on zaczął wolno obracać biodrami. Miała ochotę głośno krzyknąć. Pieścił ją, dotykał

wszędzie, potęgując jej odczucia. Myślała, że oszaleje. On był w niej, ona w nim. On był nią, ona nim. Ich pot zmieszany w jeden. Ona nie była już Tamarą, on nie był Louistem. Byli jednym, byli dyszącym, jęczącym, dzikim spełnieniem.

To było życie. To było umieranie.

Zwijiała się, skręcała. Oddech jej zamierał. Przed oczami migwały jej pomarańczowe słońca, błyskały i świeciły, jak lawa z gorącego wulkanu. Nagle zrobiło się ciemno, a z jej wnętrza wydostał się krzyk. Głębiej wpiła paznokcie w jego ramiona, ścisnęła jego nogi, i wszystkie jej namiętności, skryte marzenia i nadzieje, cała kobiecość wybuchła w radosną symfonię, gdy jedna po drugiej przechodziły ją fale orgazmu. Bardzo powoli, jakby burza się wyczerpała, fale ustawały i uspokajały się.

Gdy ona była już na szczycie, on rzucał się z coraz większą pasją. Nagle Tamara poczuła, jak jego ciało zadrżało w jej ramionach, a on jęknął. Poczowała w sobie jego ruchy, a później gorącą wilgoć.

Powoli wysunął się i leżeli obok siebie, dysząc głęboko, nabierając głośno hausty górskiego powietrza.

- Boże - zachwycała się między oddechami. - To było... wspaniałe. - Obróciła się na bok i zapytała go. - Czy zawsze tak jest?

- Albo lepiej.

- Albo lepiej... Boże.

Oddech powoli wracał do normalnego rytmu. Ciągłe czuła wewnątrz delikatne drżenie. Rozmyślała nad tym cudownym aktem. Nie spodziewała się, że to będzie takie niebiańskie uczucie.

Louis ułożył się tuż przy niej.

- Jesteś cudowna - szepnął, bawiąc się jej rozrzuconymi na poduszce włosami.

Uśmiechnęła się, przeciągnęła i mruknęła jak zadowolona kotka, unosząc się w jego ramionach. Nigdy nie czuła się tak dobrze, taka spełniona, nie czuła się

kobietą. Teraz nareszcie wiedziała, do czego służy jej ciało. Odkryła tajemnicę. Przynajmniej na tę noc odgonił jej strachy.

Powieki jej opadły, a oddech stał się płytszy. Uniósł się na łokciu i patrzył na jej cudowne, nagie ciało. Ostrożnie wysunął spod niej kołdrę i okrył ją. Wydawało mu się, że się uśmiecha. Spała głęboko.

O ile to kochanie pomogło Tamarze pograżyć się w słodkim śnie, Louis dalej nie spał. Wcale zresztą nie chciał. Spędził noc patrząc na jej uśpioną postać, a serce miał przepelnione muzyką. Boże, jaka ona jest piękna. Pragnę jej tak jak nigdy żadnej kobiety, pomyślał z nagłym olśnieniem. Seks był dla niego zawsze ważną siłą napędową, aktem fizycznym. To jednak było czymś więcej, znacznie więcej. Zakochał się. Nigdy przedtem coś takiego mu się nie przydarzyło. Ku swemu zdumieniu czuł się lekko, jakby płynął na chmurce. Myślał już, że nie istnieje taka kobieta, z którą chciałby spędzić resztę życia, ale teraz leży tuż obok niego, takie pachnące ciało. I jakie doskonałe ciało, jaka piękna twarz. Była żywą, złotą boginią z filmowych snów. Tworzone przez niego filmy z biegiem czasu stawały się mu się coraz bliższe. Tak było i z Tamarą. Miał swój udział w stworzeniu jej takiej, jaka była obecnie. Nieprzeciętna piękność. Chwilami wydawało mu się niemożliwe, że to on ją odkrył. Była jego skarbem.

Ostrożnie, żeby jej nie obudzić, pochylił się i leciutko pocałował te cudownie wykrojone usta. Uśmiechnęła się, mruknęła coś przez sen, przytuliła się mocniej do niego i spała dalej, oddychając regularnie.

Cóż za czarodziejska moc stworzyła tak doskonałą istotę? - nie mógł wyjść z podziwu.

- Jesteś moja - szepnął tonem posiadacza. - Cała moja.

Jakby w odpowiedzi uśmiechnęła się we śnie, a jej białe włosy błyszczały na poduszce jak fosforyzujące blaski na spokojnym morzu.

Tamara, jak wiele innych narzeczonych, oczekiwała pierwszego spotkania z przyszłą teściową z takim samym entuzjazmem, jaki miała francuska arystokracja w XVIII wieku, prowadzona na gilotynę. Nie wiedząc, czego

można się spodziewać po Zeldzie Ziolk, ale obawiając się najgorszego i pamiętając, jak ważne jest pierwsze wrażenie, chciała pozyskać starszą panią swoją bezpretensjonalną osobowością. Nie było to łatwe zadanie dla kobiety z włosami utlenionymi na platynowo i z etykietką „najpiękniejszej kobiety na świecie”. Tamara była przekonana, że tym razem przeciętna uroda bardziej by jej sprzyjała. W końcu Zeldy była też kobietą i to ciesząc się statusem matki reżysera. Na pewno nie chce, żeby jej odebrać chwałę, więc Tamara musi być przygotowana na wszystko. Wraz z Inge musiały się zastanowić, jak ma się upodobnić do zwykłej dziewczyny z sąsiedztwa. Pierwszy krok - przeszukanie jej garderoby, zafundowanej przez IA - wyjaśnił natychmiast, że nie znajdzie nic odpowiedniego w tym morzu ekstrawaganckich atłasów, szyfonów i jedwabi, od jaskrawych po olśniewająco białe i brudnoróżowe.

- Nie mam się w co ubrać - lamentowała Tamara, odwieszając sukienki jedna po drugiej. Tupnęła ze złością.

- Och, Inge, co mam zrobić?

- Nie martw się, coś ci znajdziemy - uspokajała ją Inge. - Mamy pięć dni, tak?

- Chyba masz rację - powiedziała zrezygnowana Tamara.

- Dlaczego teściowe zawsze słyną ze złośliwości?

- Bo kochają swoich synów - odparła rozsądnie Inge, otwierając znów drzwi szafy, żeby uwolnić wystający kawałek szyfonu, przytrzaśnięty drzwiami. - Ja też nie byłabym wcale inna.

- Tak, ale ty nie jesteś jędza. I lubisz Louiego.

- Kto mówi, że jego matka nie będzie cię lubić?

- Och, słabe szanse, że będzie. - Tamara przygnębiona przycupnęła na łóżku.

Inge usiadła obok i dotknęła jej ramienia.

- Powiedz- dlaczego tak się martwisz?

- Bo... Kocham Louisa. - Tamara patrzyła na swe szczupłe* nerwowe palce. -

Nie chcę, żeby coś się nie udało.

Inge uśmiechnęła się pocieszająco.

- Więc się uda, na pewno. Uspokój się.
- Jak mam się uspokoić? - płakała Tamara. - Nie widzisz, że się denerwuję?
- Zjedz kanapkę.
- Utyję — odpowiedziała Tamara ponuro.
- Więc myśl o przyziemnych rzeczach.
- Przyjemnych rzeczach - poprawiła Tamara. Inge nie zareagowała.
- Gdybym ja była panią Ziolkę, byłabym szczęśliwa, że mój syn ma się z tobą ożenić.

- Ale nie jesteś - stwierdziła Tamara ze swym denerwującym poczuciem rzeczywistości. - Pomyśli, że jestem ulicznicą, albo jeszcze gorzej. No popatrz tylko na mnie! Ten kolor! - złapała pęk swych włosów i ciągnęła do bólu. - To jest dobre w filmie, ale w życiu czuję się jak idiotka!

- Nie martw się. Spróbuj zrobić sobie godzinkę albo dwie wolnego w tym tygodniu, pójdziemy na zakupy i na obiad. Znajdziemy coś do ubrania. Będzie fajnie.

- Fajnie! Nie znoszę zakupów - mruknęła.

- Od kiedy? - Inge spojrzała na nią zdumiona. - Ty przedtem lubisz.

- Lubiłam - przyznała Tamara z westchnieniem - kiedy robiłam zakupy dla siebie i nie musiałam zadowalać całego kraju albo... matki Louiego!

- Ach, to o to chodzi - zrozumiała Inge. w niedzielę, w dniu wizyty, Tamara umalowała się minimalnie, zaciesała włosy do tyłu i ubrała się w dopasowany tweedowy kostium, ze spódnicą prawie do kostek i pięknie skrojonym zielonym żakietem, który kupiły razem z Inge. Platynowe włosy wyglądały zupełnie nie na miejscu, ale Inge wpadła na pomysł i w ostatniej chwili zawiązała jej na szyi jedwabny szalik, dokładnie w kolorze włosów. Gdy usłyszała znajomy dźwięk klaksonu Duesenberga, Tamara złapała półmisek ze świeżo upieczonym strudlem jabłkowym, specjalnością Inge, przesłała jej w powietrzu pocałunek i wsunęła na nos okulary przeciwsłoneczne.

- Nie, nie okular zaprotestowała Inge, machając ręką. - Wyglądasz za bardzo jak gwiazda filmowa.

Tamara wręczyła jej okulary i bez namysłu porwała ekstrawagancki bukiet białych lilii z wazonu w holu. Z długich, zielonych łodyg kapąła woda.

- A to po co? - spytała Inge.

- Dam je pani Ziolkko.

- Bierzesz kwiaty dla kobiety?

- Dlaczego nie?

- Myślałam, że tylko mężczyźni przyniosły kwiaty - powiedziała Inge.

- Jestem załamana. - Tamara bardziej się skrzywiła, niż uśmiechnęła.

Jak zwykle, gdy odwiedzał matkę, Louis odprawił szofera i prowadził sam. Widząc ten samochód Tamara uśmiechnęła się, jak na widok maskotki. Duesenberg zawiózł ją po raz pierwszy do Oskara Skolnika wtedy, gdy zdecydowano, że zostanie gwiazdą. Może i teraz przyniesie jej szczęście?

Ułożyła swoje dary ofiarne na tylnym siedzeniu i siadła z przodu obok Louisa. Pocałował ją i ruszyli. Gdy zbliżali się do dzielnicy Pasadeny, gdzie mieszkała Zelda Ziolkko, zamiast wcześniej mijanych pięknych, dużych domów z rozległymi trawnikami pojawiły się małe domki jak z klocków, różniące się od siebie jedynie kolorem. Mimo wysiłków, żeby ubrać się skromnie, czuła się wystrojona i zupełnie nie na miejscu. Bardziej pasowałyby do najgorszych choćby lokatorów tych droższych rezydencji. Beznadzieja tych identycznych, niziutkich domków na działeczkach wielkości znaczka pocztowego, przygnębiała ją. Duesenberg wzbudzał nadmierne zainteresowanie, jak gdyby przyjechał tu z innego, bogatszego świata.

- No, jesteśmy - oświadczył Louis, zatrzymując się tuż przy krawężniku. - Nie ma jak u mamy - uśmiechnął się jakoś krzywo.

Tamara spojrzała na porządną, mały bungalow i zauważyła, że firanki w oknie poruszyły się. Otworzyła szybko puderniczkę i poprawiła włosy. Louis

wysiadł z samochodu i otworzył jej drzwiczki. Wyjęła strudel i kwiaty i poszła za nim wybetonowaną ścieżką.

Drzwi frontowe otworzyły się, nim do nich doszli, i wypadła z nich Zelda, wyciągając tłuste rączki. Wydawało się, że w powietrzu wisi tragedia, gdy popędziła prosto do Louisa, tocząc się najszybciej, jak mogła, na swych tłustych, opuchniętych nóżkach, z wysuniętymi do przodu obfitymi piersiami.

- Louie! - zawołała. - Louie, mój bubbe!e!

Gdy Tamara miała już zamknąć oczy, żeby nie patrzeć na tę kolizję, Zelda nagle zatrzymała się i wspięła na palce w tej samej chwili, gdy Louis się pochylił. Uniosła głowę i złożyła głośny pocałunek na jego ustach.

- Cześć, mamó - objął ją i pocałował w uróżowany policzek.

- „Cześć, mamó” - powtórzyła. - Czy to wszystko, co potrafisz powiedzieć? Cmoknięcie w policzek, czy tak się całuje matkę? Tak was uczą w Hollywood?

Oho, pomyślała Tamara. Nie będzie łatwo. Zobaczmy, jak Louis, bardzo zawstydzony, całuje matkę w usta.

- Tak lepiej - powiedziała Zelda, mrużąc oczy. - Tęskniłam za tobą, Louie. Powinieneś częściej odwiedzać swoją biedną, starą matkę. - Pogroziła mu palcem. - Wszyscy pytają, kiedy ten twój syn „niedobrego” przyjeżdża? Co mam powiedzieć? Że nie wiem? Jak ja wyglądam?

- Mamó - przerwał łagodnie. - chciałbym, żebyś poznała Tamarę.

Tamara wystąpiła do przodu i powiedziała nieśmiało:

- Dzień dobry pani. Cieszę się, że mogę panią w końcu poznać.

Oczy Zeldy zmierzyły ją od stóp do głów i z powrotem. Przez chwilę nic nie mówiła.

- Jesteś bardzo ładna... na swój sposób - powiedziała w końcu jakby z pretensją.

- Mamó - powiedział Louis, poirytowany - czy tak się wita przyszłą synową?

- Nu? - Zelda z rękami na biodrach spojrzała wojowniczo na syna. - No, więc jest ładna. Powiedziałam przecież, że jest ładna. Pewnie powiesz za chwilę swojej matce prosto w oczy, że kłamie?

Tamara widziała, że Louis z trudem opanowuje gniew i Współczuła mu serdecznie. Nic dziwnego, że częściej nie przyjeżdżał.

- Przywiozłam pani kwiaty - powiedziała radośnie, żeby wypełnić nieprzyjemną ciszę. Podała jej bukiet.

- Lilie! - Zelda spojrzała wrogo. - I taki wielki bukiet! Powinnaś oszczędzać pieniądze. Mój Louis nie potrzebuje takiej rozrzutnej. - Potrząsnęła liliami przed Tamarą. - Mam ci powiedzieć, jak trzeba się pilnować przed złodziejami w autobusie?

Tamara była mocno zmieszana, ale postanowiła się nie poddawać.

- I pomogłam upiec ten strudel z jabłkami. - Uśmiechając się, wręczyła zakryty półmisek jak nagrodę.

- Strudel! — prychnęła pani Ziolko, z której oczu posypały się odłamki lodu. - Chcesz strudel, to spróbuj mój strudel. Właśnie się piecze. Dwie godziny robiłam ciasto, żeby było dobre, i płatki rozpływały się w ustach. Jestem znana z moich strudli. - Uniósłszy brwi, Zelda Ziolko odwróciła się i pomaszerowała do domu. - Ha! - usłyszała Tamara jej mruczenie pod nosem. - Strudel mi przywozi. Strudel!

Louis uśmiechnął się przepaszająco i z rezygnacją wzruszył ramionami, otwierając Tamarze drzwi. Uśmiechnęła się do niego, chociaż wcale nie czuła radości. W oczach jej widać było złość i gotowała się w środku, ale na twarzy zachowała spokój. Nie zrobi tej diablicy przyjemności, żeby ją miała widzieć nieszczęśliwą.

Jest potworem, pomyślała zrezygnowana Tamara. Dobry Boże, jest jeszcze gorsza, niż sobie wyobrażałam.

Ściemniało się już, gdy kończyli jeść. Zelda zerwała się nagle i zapaliła światło. Mały żyrandol z kilkoma kryształkami rzucał oślepiające,

surrealistyczne światło sześciu sześćdziesięciowatowych żarówek i Tamara musiała zmrużyć oczy.

- Louie, ty idź do saloniku - zarządziła Zelda. - Posłuchaj radia, poczytaj gazetę. Tamara mi pomoże pozmywać.

Wymienili spojrzenia z Tamarą. Oczami i uśmiechem zdołała mu przekazać, że wszystko w porządku.

- Dobrze - powiedział, zwijając serwetkę i wstając. Podeszedł do Tamary i pocałował ją. Później zwrócił się do Zeldy:

- Bardzo dobry obiad, mammo.

- Jeżeli tak lubisz moją kuchnię, powinieneś częściej odwiedzać swoją biedną matkę-narzekała.

Pocałował ją w policzek i zniknął. Zamknęła za nim drzwi do kuchni, ale Tamara słyszała muzykę dochodzącą z pokoju. Rozpoznała symfonię. Mahler. Pogrzebowa i ponura, ale pasująca do tego smutnego domu. Zastanawiała się, jak Louie znosił takie częste wizyty.

Zelda zmywała, Tamara wycierała. Przez dłuższy czas pracowały w niemiłej ciszy. Tamara nie mogła pozbyć się wrażenia, że jej uczestnictwo w tym odwiecznym kobiecym rytuale ma głębszy sens. Czekala wiedząc, że Zelda odezwie się w odpowiednim czasie.

Nie musiała długo czekać.

- Więc chcesz wyjść za mojego Louiego - powiedziała w końcu Zelda. Tamara zastanawiała się, czy przyczyną westchnienia, jakie tym słowom towarzyszyło, były plany matrymonialne czy zaschnięta miska, którą szorowała.

- Oczywiście, to jasne, że chcę, żeby mój syn się ożenił. Jestem jego matką, chcę dla niego wszystkiego, co najlepsze. Która matka nie chce, ja się pytam?

Tamara milczała podejrzewając, że nie oczekuje od niej odpowiedzi.

- W końcu Louie ma trzydzieści lat. Czas już, żeby dał mi wnuki. - Zelda podejrzliwie łypnęła okiem na Tamarę. - A więc - czy lubisz dzieci?

Tamara szybko zmieniła tok myślenia, przestawiając się na ten nieoczekiwany temat. - Ja... ach, tak... oczywiście.

- Hmm. - Zelda zanurzyła miskę we wrzącej wodzie do płukania i podała ją Tamarze. - Małżeństwo to coś więcej niż zabawa w dom i robienie dzieci - ciągnęła, wkładając ścierkę do szklanki i kręcąc nią w środku. Później wyjęła ścierkę, zanurzyła szklankę w wodzie do płukania i popatrzyła pod światło, czy jest czysta. - Małżeństwo to tworzenie domu. Prowadzenie go. Wymaga poświęceń i to jest praca na cały etat. Louie mówi, że chcesz dalej grać. Więc jak sobie wyobrażasz - mieć dom, mieć dzieci i pracować w filmie? - spojrzała badawczo na Tamarę. - Pewnie możesz robić trzy razy tyle, co wszyscy inni?

Tamara czuła, jak płonie pod tym spojrzeniem, ale uparcie uniosła głowę.

- Louie i ja kochamy się - powiedziała odważnie.

- Naprawdę? - Zelda patrzyła wprost na nią. - A może tylko tak myślicie...

W oczach Tamary lśniła pewność.

- Wiem, że tak jest - odpowiedziała zdecydowanie.

- Jesteś taka młoda - syknęła Zelda niecierpliwie. - Powiedz mi, ile masz lat, dziecko.

- Osiemnaście. Oczy Zeldy płonęły.

- Raptem osiemnaście! Oj! I już wszystko wie! - Potrząsnęła głową i umyła kilka talerzy w brzemiennej ciszy. Nagle wyjęła ręce ze zmywaka i rzuciła się na Tamarę. - Zostaw go! - zażądała nagle, z szaleńczym błyskiem w oczach. - Louie ma dopiero trzydzieści lat. Już raz był żonaty. Nie pozwolę mu popełnić drugi raz takiego samego błędu. Błagam cię: zostaw go!

Tamara była tak zdumiona, że na moment zaniemówiła.

Zelda poczuła, że zdobyła przewagę i posunęła się dalej. Spojrzała przez ramię na drzwi, żeby się upewnić, że Louis nie wejdzie nie zauważony. Odezwała się z taką furją, że na Tamarę spadły kropelki jej śliny, gdy wyrzucała z siebie zdania.

- Wiem, czego chcesz! Jesteś taka sama jak te wszystkie kobiety, które rzucają się na niego. Louie jest słynnym reżyserem i myślisz, że ma mnóstwo pieniędzy, Myślisz, że zrobi z ciebie gwiazdę. - W oczach jej błyszczał dziki triumf.

- To nieprawda! - szepnęła z przekonaniem Tamara. - Ja go kocham! - Nagle zakręciło jej się w głowie i kuchnia zawirowała. Musiała się przytrzymać szafki, żeby odzyskać równowagę.

- Więc udowodnij mi to. Tamara otarła oczy.

- Jak? Rezygnując z niego? - Zaśmiała się gorzko i odwróciła od niej.

- Nie - powiedziała w końcu Zelda, biorąc Tamarę pod rękę, żeby ją obrócić do siebie. - Jest inny sposób. Dziewczyna uniosła pytająco brwi.

- Podpisując dokument, który przygotował mój adwokat. Tamara spojrzała na nią podejrzliwie.

- Jaki dokument?

- Coś w rodzaju kontraktu małżeńskiego, tyle że między tobą a mną, a nie tobą i Louisem. Jest bardzo prosty i stwierdza, że gdybyście się z jakiegokolwiek powodu rozwiedli albo - nie daj Boże - Louie umarłby przed tobą, nie masz żadnego prawa do jego majątku. W każdym razie, póki ja żyję.

- Innymi słowy, chce pani mieć pewność, że ja nie dostanę nic, a pani... wszystko.

- Ja tego nie powiedziałam, tylko ty. Ale w pewnym sensie masz rację. Chodzi o to, że podpisując ten dokument, udowodnisz, że nie wychodzisz za mojego Louiego dla jego pieniędzy czy wpływów.

- A on o tym wie?

- Nie! I nie musi wiedzieć - podkreśliła Zelda. - Po co go martwić, pytam się?

Tamara patrzyła z niedowierzaniem.

- Pani jest chora! - szepnęła.

- Naprawdę?

- Może się mylę. Może jest pani zachłanną przestępczynią. Przecież to szantaż.

Oczy Zeldy stały się lodowate.

- Teraz widzę, że mogłam się w ogóle nie przejmować tym dokumentem. Od początku miałam rację co do ciebie.

Tamara gapiała się na nią.

- Pani mówi poważnie?

- Oczywiście. Mam kontrakt tutaj.

Otworzyła szufladę i wyjęła dwustronicowy dokument przypięty do niebieskiej okładki. Rzuciła go Tamarze.

Tamara powoli zaczęła go czytać. Było w nim pełno „jednakzów”, „wówczasów” i innego prawniczego żargonu, który zawsze tworzy chłodny dystans w stosunku do emocji, leżących u podstaw. Mimo dziwnej natury kontraktu nie miała wątpliwości, że był nienaganny od strony prawnej i żaden sąd nie miałby zastrzeżeń. Była pewna, że Zeldą o to zadbała. Nie wyglądała na kobietę, która popełniłaby jakiś poważny błąd.

Głos Tamary był słaby i napięty.

- A jeżeli nie podpiszę?

- To nie dam mu błogosławieństwa, żeby się z tobą ożenił.

Wiem, że mój Louie jest uparty i może się z tobą ożenić, ale jak długo może trwać wasze szczęście, jeśli rodzona matka się go wyprze?

- Wszystko sobie pani przedtem ułożyła - powiedziała gorzko Tamara. - Poszła pani z tym do adwokata, zanim pani mnie poznała. Z góry pani zdecydowała mnie nie lubić - w jej oczach lśniły łzy.

- Czy ci się to podoba czy nie, nie masz z tym nic wspólnego. Louie jest moim jedynym dzieckiem i muszę go chronić za wszelką cenę. Prędzej umrę, niż pozwolę, żeby go wykorzystała jakaś kobieta.

- To jesteśmy dwie.

- Więc? - spojrzała na Tamarę. - Więc podpiszesz, tak? Tamara odpowiedziała z godnością:

- Tak, podpiszę. I nie musi się pani martwić. - Głos jej załamał się z wrażenia. - Nigdy mu o tym nie powiem. Nie chcę, żeby wiedział, że jego matka jest bez serca. Żaden syn nie powinien tego wiedzieć.

Na sekundę stalowe oczy Zeldy jakby zmiękły. Zaraz jednak znów stała się twarda i niezłomna, jak zawsze. Wyciągnęła pióro. Tamara chwyciła je i podpisała.

- W trzech egzemplarzach - powiedziała Zelda, podając dalsze kopie kontraktu.

- Proszę. - Tamara rzuciła wszystko na stół. - A teraz, jeśli pani pozwoli, czas najwyższy, żeby Louie zawiózł mnie do domu. - Usiłowała panować nad zdenerwowaniem. - Dziękuję za obiad.

Podeszła do drzwi, starając się opanować, i weszła do saloniku. Symfonia Mahlera była jeszcze głośniejsza i bardziej tragiczna. Przypominało jej to śpiew pogrzebowy, kiedy niewidzialne instrumenty towarzyszą samotnemu sopranowi, który nagle znika i wszystko pogrąża się w ciemności.

Osiemnastoletnia Tamara, nowe odkrycie International Artists i, według prasy, córka wspaniałej rosyjskiej aktorki i wpływowego księcia, niedoszła spadkobierczyni olbrzymiej fortuny, poślubiła Louisa Frederica Ziolkę, na planie „Podlotków” w niedzielę, 20 kwietnia, dzień po zakończeniu zdjęć do filmu. Dla Tamary uroczystość ta nie była właściwie ceremonią składania przysięgi, lecz sceną w szaleńczo zatłoczonym zoo. Zrobiło się z tego ogólnonarodowe przedstawienie, porównywalne ze ślubem królewskim. Uroczystość była świecka, a religijne były w niej splendor i uwielbienie hollywoodzkich admiratorów.

Oskar Skolnik, przedsiębiorca w każdym calu, wykorzystał okazję, żeby zrobić z tego najlepszą reklamę, jaką kiedykolwiek wymyślono. Włożył w tę uroczystość pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Prowadził pannę młodą, dumny jak

prawdziwy ojciec, do sali balowej zbudowanej dla filmu „Podlotki”, którą teraz udekorowano śnieżnobiałymi kwiatami.

Reporterzy z kolumn towarzyskich donosili, że aż po San Francisco na północy i granicę państwa na południu nie można było później znaleźć ani jednego białego kwiatka.

Flesze błyskały, kamery trzaskały. Tamara, w sukni od Jean Louis z olśniewającej koronki walensjańskiej z pięciometrowym trenem i w brylantowym diademie wypożyczonym od Tiffany'ego, przyjechała jak prawdziwa księżniczka w ukwieconym powozie, ciągnionym przez sześć białych koni. Jej przybycie ogłaszali na trąbkach paziowie w średniowiecznych strojach. Szesnaście druhen, gwiazdek Hollywood, sypało jej pod nogi białe orchidee.

Miała „coś starego” w postaci koronkowej chusteczki od Greta Garbo, „coś nowego” - perłowy naszyjnik od Oskara Skolnika, „coś pożyczzonego” - to tiara od Tiffany'ego, a „coś niebieskiego” stanowił pasek do podwiązek Mae West.

Trzymając mały bukiet, złożyła przysięgę, a jej niezwykle przystojny mąż — reżyser założył na jej palec pierścionek z brylantem z dwudziestokaratowego złota (również pożyczony). Tamara natychmiast stała się białym zjawiskiem w świadomości publiczności. Zdjęcie Louisa, odchylającego jej welon i całującego ją, zdobiło pierwsze strony wszystkich gazet, od wybrzeża do wybrzeża.

KRÓLEWSKA GWIAZDA POŚLUBIA REŻYSERA. ŚLUB ZA PIĘĆDZIESIĄT TYSIĘCY WSTRZĄSA KRAJEM ROSYJSKA KSIĘŻNICZKA MA GWIAZDY W OCZACH TAMARA: STRACIŁAM KRAJ, ALE ZNALAZŁAM MĘŻA HISTORIA TAMARY: GWIAZDA, DO KTÓREJ MÓWIĄ „WASZA WYSOKOŚĆ”

Wśród setek ludzi biorących udział w uroczystości, była zarówno elita Hollywood, jak i stadko przyszłych gwiazd. Potentaci z konkurencyjnych wytwórni zawarli z tej okazji rozejm, wspólnie plotkowali i wznosili owocowym ponczem toast za pannę młodą. Inge i Jewel, pociągając nosami ze

wzruszenia, siedziały w pierwszym rzędzie. Zelda Ziolkó starała się wyglądać jak naprawdę szczęśliwa i dumna matka pana młodego. Ten ślub, udzielany przez sędziego pokoju, był dla niej parodią zarówno religijności, jak i powagi przysięgi małżeńskiej. Ślub powinien być tradycyjnym rytuałem z rabinem, pod baldachimem, z pucharem wina, zapalonymi świecami i okrzykami Mazeltow!¹ oraz tradycyjnymi tańcami żydowskimi. W głębi serca bardzo jej pochlebiało, że tyle gwiazd przyszło na ślub jej syna, jednak ten spektakl był wstydlwym wydarzeniem, które postanowiła przetrwać w ponurej ciszy, a w każdym razie tak twierdziła.

Lily Pons, która zadebiutowała w tym roku w Ameryce, zaśpiewała dwie arie. Był również chór, trzydziestosiedmioosobowa orkiestra i fajerwerki o zmroku. Goście, którym podano osiem tysięcy ostryg, w każdej znaleźli najprawdziwszą perłę. Prasa, która jeszcze przed rozpoczęciem zdjęć do „Podlotków” zrobiła z niej nowo odkrytą rosyjską księżniczkę, teraz wznosiła ją na wyżyny, o jakich zawsze marzyła. Publiczność, zgnębiona kryzysem, uwielbiała ten film. Rozpacz i bieda były codziennością, a ludzie chcieli bogactwa i przepychu. Może Tamara miała zapoczątkować te szczęśliwsze czasy.

Nic więc dziwnego, że kiedy dwa miesiące później „Podlotki” zaczęto wyświetlać w całym kraju W kinach należących do IA, dochody wskazywały wyraźnie, że jest to najbardziej kasowy film, jaki dotychczas zrobiono.

Dla Tamary rok 1930 był wyjątkowo szczęśliwy. Tyle jej marzeń się spełniło. Miała przystojnego męża. Była największą gwiazdą Hollywood, miała mnóstwo pieniędzy, była zakochana.

Wydawało się, że nie może się zdarzyć nic złego.

Przez dłuższy czas nic złego się nie działo. Małżeństwo Tamary i Louisa układało się dobrze pod każdym względem, a ich życie było pełne uroku, choć

¹ * Mazel tow (hebr.) - dużo szczęścia

niezwykle ruchliwe i pracowite. Tamara znalazła się w takim wirze, że przypominała królową pszczół, wokół której niezmiennie coś się kręciło i bzyczało. Wciąż była do czegoś potrzebna i było jej z tym dobrze. Byli najbardziej znaną i poszukiwaną parą w Hollywood. Codziennie przychodziło tyle zaproszeń na różne imprezy, że musieli je starannie selekcjonować i wybierać dwa lub trzy najbardziej pożyteczne dla ich kariery. Ponieważ tygodniowo przychodziło ponad tysiąc listów od wielbicieli, Tamara musiała zatrudnić sekretarkę w osobie pani Lorny Nichols, uroczej, czterdziestotrzyletniej wdowy, która jej matkowała, strzegła prywatności, czuwała nad przepelnionym rozkładem zajęć państwa Ziolków.

Zdjęcia, poznawanie roli, lekcje dykcji, nauka w szkole aktorskiej i ta odrobina życia domowego, tym cenniejszego, że nie miała prawie czasu - to była tylko część zajęć Tamary. Gwiazda nie mogła mieć własnego życia. Należała do publiczności, która miała wymagania. Jej filmowi wielbiele ją stworzyli, ale i oni mogą ją porzucić dla kogoś innego. Były więc sesje zdjęciowe dla studia i reporterów, nie kończące się wywiady, premiery, na których należało się pokazać, i akcje charytatywne, które należało wspierać lub być ich gospodynią - wszystko to było niezbędne, żeby pozostawać wciąż na widoku. Jeśli się na coś uskarżała, to na to, że za mało czasu mieli dla siebie z Louisem. W sumie jednak życie królowej pszczół ją porwało i pławiła się w nim.

Konkurencyjne wytwórnie gotowe były za wypożyczenie jej płacić bająćskie sumy, ale Skolnik nie chciał o tym słyszeć, w każdym razie jeszcze nie. Upajał się wciąż tym, że nareszcie ma własną gwiazdę. Była to zresztą sprawa dobrego interesu, chciał więc ją wykorzystać, póki wszystko szło tak dobrze. Tamara - to były pewne pieniądze.

Po „Podlotkach” przyszła „Maria Antonina”, długi dramat historyczny, z olbrzymim budżetem, olśniewającymi kostiumami i bogatymi dekoracjami. W tym czasie dział lektur pracował jak szalony w poszukiwaniu nowych

scenariuszy, żeby zacząć następny film natychmiast po zakończeniu „Marii Antoniny”. W przyszłym roku Skolnik postanowił obsadzić Tamarę w czterech filmach, oczywiście w głównych rolach.

Mimo wygody i luksusu Tamarę męczyło już mieszkanie w bungalowie w Beverley Hills Hotel, który od czasu ślubu nazywali swym domem. Pewnego wieczoru, gdy siedzieli przy basenie sącząc jakieś szczególnie cenne wino, poruszyła temat własnego domu.

- A co ci się tu nie podoba? - Louis był nieco zdziwiony. - Wszystko, czego chcesz, wystarczy kiwnąć palcem. Nigdzie nie będziemy mieć takiej służby.

- Nie chodzi mi o obsługę - podkreśliła delikatnie. - Chcę żebyśmy mieli dom. Prawdziwy. Mieszkanie na walizkach to nie to samo.

Skinął głową w milczeniu. Musiał przyznać, że Tamara miała rację. Nie mogą wiecznie żyć w hotelu.

- Wybuduję go dla nas - powiedział. - Chciałem to zrobić, odkąd mój stary dom zjechał ze wzgórza.

- Ale to będzie długo trwało, nim będzie gotowy. A tymczasem Inge mieszka na drugim końcu miasta.

- Pytałem ją, czy nie chce się wprowadzić do domku obok nas, jak się zwolni, ale ona jest zadowolona ze swego mieszkania.

W to Tamara nie wątpiła. Po Zakładzie Pogrzebowym Patersona nawet najgorsza nora wydałaby się pałacem.

- Wiem o tym, ale mam wobec niej zobowiązania. Louie, ona jest moją jedyną rodziną. Powinniśmy mieszkać pod jednym dachem.

- Coś ci powiem, księżniczko. Jutro rano zadzwonię do agencji nieruchomości. Jak tylko znajdziemy coś, co ci się będzie podobać, wprowadzamy się. Objęła go i przytuliła głowę do jego piersi.

- Jesteś dla mnie za dobry - powiedziała uszczęśliwiona, dotykając włosków na jego piersi, wychodzących z rozpiętej koszuli.

- Masz rację, księżniczko - przyznał. - Masz rację.

Tydzień później podpisali umowę najmu dużego, dwupiętrowego, różowego domu na North Beverley Drive. Miał trzy skrzydła, połączone z głównym budynkiem, pokryty był pięknym dachem z klasycznej, pomarańczowej dachówki. Był umeblowany, miał przestronne pokoje. Z frontu była zamykana brama, a z tyłu - kort tenisowy i prostokątny, turkusowy basen kąpielowy. Dla Inge także znalazło się dużo miejsca. Wynajęli dom wraz ze służbą; meksykańskie małżeństwo dbało o dom, a Japończyk o ogród, co znacznie ułatwiło sprawę.

W sylwestra, nim zaczął się 1931 rok, Tamara podsumowała swoje życie i była bardzo szczęśliwa. Zupełnie nie myślała o tym, że los może zmienić nie tylko złe chwile na dobre, ale i odwrotnie. Życie było prawie doskonałe.

Myślę, że to błąd - Tamara nie ukrywała swojego niezadowolenia, odkładając papiery na stół konferencyjny.

- To jest za bardzo w stylu „Marii Antoniny”.

- Nie jest! - Richard Sonnenthał, młody, kędzierzawy wicedyrektor działu projektów bronił swojego pomysłu.

- „Sprawa państwowa” jest o madame Pompadour, i jak zauważyłaś, ma trochę komiczny wydźwięk.

Tamara wzniosła do nieba szmaragdowe oczy i jęknęła.

- Zaoszczędź mi szczegółów. „Maria Antonina” nie jest jeszcze skończona, a ty znów chcesz mnie wepchnąć w jakąś cholerną perukę? Jak to sobie wyobrażasz? Będziemy używać tych samych kostiumów, a może i dekoracji? Ja osobiście uważam, że należy ten pomysł odłożyć na półkę.

- Rozumiem, że masz lepszy? - spytał uszczypliwie. Uniosła głowę z całą godnością, na jaką mogła się zdobyć.

- Prawdę mówiąc, mam. Myślałam o czymś trochę bardziej wyrafinowanym. Lekkim i dowcipnym, współczesnym. Coś w rodzaju... stylowej komedii obyczajowej.

- Stylowa komedia obyczajowa! - westchnął Sonnenthal.

- Toma być coś wyrafinowanego! - powiedział sarkastycznie, rozkładając ręce w teatralnym geście, ukazującym bezradność.

- Słyszeliście panią wszyscy.

- Myślę, że Tamara ma słuszość - powiedział nieoczekiwanie Skolnik.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Zapomnieli prawie o jego obecności, bo przez pół godziny się nie odzywał. Siedział zadowolony w swoim fotelu, pozornie rozleniwiony, paląc fajkę, a wszyscy dokoła dyskutowali zawzięcie.

Wieczór był ciemny i chłodny. Burza mózgów zaczęła się o siódmej, ale Tamara z Louistem spóźnili się czterdzieści minut z powodu komplikacji na planie. Oprócz nich Skolnik zwołał też Sonnenthala, Claude'a de Chantilly Siciles, Rhodę Dorsey, Carol Anderegg i Bruce'a Ślesina. Tamara zauważyła z przyjemnością, że na ścianach, wśród innych plakatów, wisiały nie tylko „Podlotki”, ale i nie ukończona jeszcze „Maria Antonina”.

- No, zawsze możemy wrócić do „Joanny d'Arc” - mruknął Sonnenthal.

- „Joanna d'Arc”? - wrzasnął Skolnik i walnął pięścią w stół. Wszyscy podskoczyli. - Jezu, za co ja ci płacę? - spojrzał na Sonnenthala. - Czy ty jesteś ślepy? Przecież ona jest kobietą. Stuprocentową kobietą. Staramy się wykreować jej obraz olśniewającej kobiecości, a ty chcesz, żeby latała ostrzyżona na pazia i w zbroi? Chcesz mnie zrujnować?

Sonnenthal zaczerwienił się pod tym biczem słów i nerwowo uderzał ołówkiem o zęby.

Zapanowała długa, denerwująca cisza.

- Przypominam wam, jeśli zapomnieliście - ciągnął Skolnik, że jest to zebranie w trybie nagłym. Za tydzień kończą się zdjęcia do „Marii Antoniny”, a nikt jeszcze nie wystąpił z pomysłem dla Tamary. - Popatrzyl dookoła. - Nie za to wam płacę.

Przezornie milczeli, wiedząc, że na pewno jeszcze nie skończył.

- Może powinienem ułatwić wam zadanie - powiedział cicho. - Na razie latacie w kółeczko, goniąc ogon. - Popatrzył pytająco na Sonnenthala. - Jakie jest pochodzenie Tamary?

- Rosjanka. Księżniczka. - Sonnenthal rozejrzał się po wszystkich z uśmiechem w oczach.

- Bardzo dobrze, Richard - pochwalił go Skolnik ironicznie, tonem nauczyciela. - Radziłbym ci jednak zlikwidować ten uśmieszek, jakbyś dokonał Bóg wie jakiego odkrycia. Jeżeli ja powiedziałem, że jest księżniczką, to jest księżniczką. A jeśli się ze mną nie zgadzasz, to idź sprzątnąć swoje biurko. Mogę również dopilnować, żebyś nigdy nie dostał pracy w tym interesie. Czy to jasne?

- Tak jest - odpowiedział Sonnenthal, prawie fioletowy.

- Dobrze, że się rozumiemy. To samo odnosi się do wszystkich. A teraz, Richard, biorąc pod uwagę fakt, z którym się zgadzasz, że Tamara jest rosyjską księżniczką, w czym powinna zagrać?

- Ccoś rosyjskiego - powiedział niepewnie.

- O! - rozanielił się Skolnik. - A teraz rusz głową, za co ci tak dobrze płacę, i przypomnij sobie ze szkoły kilka tytułów.

- Katarzyna Wielka.

- Nie, nie, nie - Skolnik kręcił głową. - To nie jest tytuł, a poza tym to znów nas przybliży do madame Pompadour. Coś późniejszego, wprost z klasyki. Nie mamy czasu, musimy bazować na książce już napisanej.

- Wojna i pokój!— zawołała Carol Anderegg. Skolnik potrząsnął głową.

- Za długie i za bardzo rozbudowane. Sama scenografia zabrałaby nam z pół roku. I nie bardzo można z tego zrobić najwyżej dwugodzinny film.

Tamarze rozbliły nagle oczy i poczuła gęsią skórę na ramionach.

- Anna Karenina! - szepnęła. Uśmiechając się, Skolnik zrobił triumfalny gest.

- Otóż to, moi drodzy, podane jak na tacy! Przewiduję, że będzie to najlepszy film roku. - Uśmiech znikł z jego twarzy i znów stał się rzeczowy. - Richard,

niech twoi pisarze zabiorą się do roboty jutro z samego rana. Chcę mieć szkic scenariusza za pięć dni.

- Pięć dni...

- Pięć dni - powtórzył Skolnik. - Możesz zatrudnić wszystkich pisarzy prócz tych, którzy są zajęci poprawianiem scenariuszy będących w produkcji. Podziel książkę na fragmenty i rozdziel robotę.

Sonnenthal rozluźnił się nieco.

- No, tak jak to przedstawiłeś, to nie będzie aż takie trudne.

- Dobrze. - Skolnik zwrócił się do Carol Anderegg: - Carol, chcę, żeby Miles Gabriel grał hrabiego Wrońskiego. Publicz-

ność uwielbiała go razem z Tamarą w „Podlotkach”, więc niech historia się powtórzy. Czy skończył już zdjęcia do tego filmu wojennego?

- „Front”? - Carol zmarszczyła się. - Sprawdzę, ale wydaje mi się, że ma jeszcze dwa tygodnie do skończenia zdjęć.

- Więc sprawdź. Wiem, że mają opóźnienie i przekroczyli budżet, ale informuj mnie. Jeśli będzie trzeba, to zmień plan i najpierw niech kręcą te sceny z nim. Współpracuj z działem Richarda, żebyśmy wiedzieli, które postacie zostawiamy, które wyrzucamy, zacznij zbierać aktorów. Im prędzej będziemy wiedzieli, kto kogo gra, tym lepiej. Nie muszę chyba przypominać, że oczekuję, iż wszyscy przeczytacie Annę Kareninę - ciągnął Skolnik. - I to nie żaden bryk, tylko tak jak Tołstoj napisał. Na pewno jest w naszej bibliotece, a jutro poproszę pannę Martinko, żeby pożyczyła z innych bibliotek. Kto czytał, przeczyta jeszcze raz. Claude...

Kierownik artystyczny uniósł wzrok.

- Masz okazję zrobić cholernie dobrą robotę. Ma to być bardzo rosyjskie w charakterze i bardzo eleganckie. Chyba nie muszę dodawać, że kostiumy muszą być odpowiednie. Pociągnij za wszystkie sznurki.

- Jaki będzie budżet? - spytał Roger Callas, dyrektor generalny, jak zwykle praktyczny.

- Taki, jaki będzie potrzebny. Chcę mieć prowizoryczne zestawienia ze wszystkich działów na swoim biurku nie później niż za tydzień i wtedy będziemy coś wiedzieć. Bruce, ty już zacznij pracować nad reklamą. Powinniście się z Tamarą i opracować dokładniej jej życiorys w części rosyjskiej. Różne mocne kawałki. Publiczność musi marzyć o zobaczeniu tego filmu, tak ją trzeba rozgrzać. Trzeba zrobić reportaż z planu filmowego. - Przerwał. - Są jakieś pytania?

- Tak - powiedział Louis. - Kiedy zaczynamy?

- Za dwa tygodnie od dzisiaj. Tymczasem praca ma iść dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeśli idzie o następny film Tamary po „Annie”, to podoba mi się jej propozycja jakiejś komedii obyczajowej w dobrym stylu. W ten sposób uniknie zaszufładowania. Richard, skontaktuj się z Somersetem Manghamem i dowiedz, czy nie interesowałoby go napisanie scenariusza. Jeszcze jedno ostrzeżenie. Zapamiętajcie, że mamy do czynienia z Tolstojem, a nie lokalnym pisarczykiem. Nie chciałbym, żebyście go pokieroszowali.

Tamara uśmiechnęła się do siebie. To im nie groziło. Louis był zbyt dobrym reżyserem, a poza tym podobał jej się ten projekt. Jeśli podczas filmowania pojawią się jakieś problemy, co się zawsze zdarzało, będzie walczyła do upadłego, by Louis czy ona mogli coś ulepszyć.

- Na tym chyba zakończymy - powiedział Skolnik. - Jest późno, a wiem, że Tamara musi wcześniej wstać. Carol, niech mój szofer odwiezie ją do domu, a później wróci po mnie. Louie, chcę, żebyście ty i Bruce jeszcze chwilę zostali. Musimy coś omówić. Zebranie zakończone.

Z powodu nieludzkich godzin pracy Tamara doszła do perfekcji w wykorzystywaniu każdej chwili odpoczynku. Normalnie drzemała w drodze do pracy i z powrotem, ale teraz jej się to nie udało. Gdy biały Mercedes-Benz Skolnika sprawnie przejeżdżał przez opustoszałe ulice Hollywood, była zbyt przejęta, żeby zmrużyć oczy. Zebranie w biurze Skolnika było znacznie bardziej produktywne, niż się spodziewała, i odczuwała niesłychany przypływ energii.

Miała nadzieję zasnąć po powrocie do domu, ale teraz zwątpiła w to. Pewnie będzie musiała wziąć tabletkę nasenną, a może i dwie.

Uśmiechając się do siebie, nuciła melodię z „Podlotków”.

Czuła napływającą adrenalinę. Myśl o „Annie Kareninie” działała na nią jak narkotyk. Teraz wiem, co to znaczy być na szczycie świata, pomyślała.

Już teraz czuła, że sprawa nabiera rozpędu. Za pół roku, kiedy skończą film, jej rola zostanie uwieczniona dla potomności, a rolki z filmem przekazane do licznych kin International Artists - publiczność będzie oczarowana. Na pewno.

Cieszyła się, że była przy mizernych początkach powstania filmu.

Jaka szkoda, że musi najpierw skończyć „Marię Antoninę”.

„Anna Karenina” to coś więcej niż rola. To tak, jakby przeniosła się z powrotem w swoje wczesne dzieciństwo, tylko już jako kobieta.

Chcecie się czegoś napić? - spytał Skolnik, gdy reszta wyszła.

- Ja bym się napił. - Bruce Ślesin zareagował natychmiast. Skolnik spojrzał pytająco na Ziolkę.

- Czemu nie? - odpowiedział Louis mrugając, żeby odpędzić zmęczenie. - To był cholernie ciężki dzień.

Wstali z Tamarą o wpół do piątej, byli na planie o szóstej, pracowali trzynaście i pół godziny z krótką przerwą na obiad, uczestniczyli w zebraniu, a teraz było już po dziewiątej. Poza sobotą wieczór zwykle spali już o wpół do dziewiątej. Nie miał wyjścia, musiał się napić. W końcu Skolnik po coś ich poprosił.

- Chodźmy do mojego gabinetu - zaproponował O.T., wyprowadzając ich z sali konferencyjnej. Przed wyjściem sekretarka napełniła lodem srebrny kubek. Wrzucił teraz szczypcami po dwie kostki do szklanek i nalał z karafki Chiras Regal. - Siądźmy.

Zajął fotel koło kominka i rozpoczął rytuał napełniania fajki angielskim tytoniem, podczas gdy Ziolko i lesin usiedli naprzeciwko.

Gdy fajka zaczęła ćmić, Skolnik od razu wyjaśnił, co ma na myśli.

- Nagrody Akademii stają się coraz ważniejsze. Popatrzcie tylko na laureatów z dwóch poprzednich lat. Lionel Barrymore za „Wolną duszę”, Marie Dressier za „Min i Bill” i RKO za „Cimarron”. Gdy tylko zostały nominowane, zaczęły nowe życie. Publiczność waliła tłumami, żeby je zobaczyć. A kiedy wygrały... Nie muszę dodawać.

- Po co się pchać po nagrody? - spytał zaciekawiony Ślesin. - Przy „Podlotkach” mieliśmy przez sześć miesięcy największą kasę w historii tego interesu.

- To nie o to chodzi. - Skolnik był ponury. - Nagrody Akademii przyciągają uwagę publiczności.

- Co oznacza, że chcesz, aby „Anna Karenina” dostała nagrodę? - spytał Louis. - Po to jest ta rozmowa? Skolnik ssał fajkę.

- Oczywiście. „Anna Karenina” jest naszą szansą na nagrodę w przyszłym roku - przyznał, kiwając głową. - A ja jej bardzo chcę. Ale nie jedną. Cały komplet: dla najlepszego aktora, dla najlepszej aktorki i dla najlepszego filmu. Chcę, żeby moja wytwórnia zebrała trzy nagrody.

Louis gwizdnął.

- No, to niewiele! Jeszcze się tak nie zdarzyło, żeby jedna wytwórnia dostała dwie nagrody. Dlaczego uważasz, że możemy zakosić wszystkie trzy za jeden film?

- Z tobą jako reżyserem, Tamarą jako aktorką i Milesem jako aktorem - stworzymy dobrą drużynę. I nie zapominajcie, że Anna Karenina, to jedna z lepszych powieści, jakie napisano.

- W każdym razie jest to mało realne - ostrzegł Louis.

- Nie z mojej perspektywy - jęknął Skolnik. - Myślę, że te nagrody z biegiem lat stają się coraz bardziej polityczne.

- Nagrody daje się według zasług i doskonale o tym wiesz - zdenerwował się Louis. - Tegoroczny film i przedstawienie zasłużyły na nagrodę. Tak samo zeszłoroczne. I sprzed dwóch lat.

- Uspokój się. - Slesin postanowił interweniować. - O.T. nie chce nas podpuszczać. Może ma trochę racji.

- Tutaj mam. - Skolnik gestykułował fajką. - Od czasu, gdy przyznano pierwsze Nagrody Akademii za sezon 1927/28, wytwórnice mają to na uwadze robiąc filmy i trudno mieć o to pretensje. Wszyscy lubią dostawać nagrody. Ja bym bardzo lubił. - Skolnik westchnął. - To musi mieć klasę.

- I uważasz, że „Anna Karenina” będzie miała?

- Wiem, że tak. Chcę, żeby to był najlepszy film, jaki w ogóle zrobiono. Jeśli to nam się uda, a ich aktorstwo będzie na tym samym poziomie, jest szansa na wszystkie trzy nagrody. To tylko kwestia czasu, kiedy jeden film będzie tak wybitny, że zdobędzie wszystkie nagrody. Dlaczego nie my?

- Bo to jest maleńka społeczność. Wszyscy mamy przyjaciół w różnych wytwórniach. Ludzie lubią rozdzielać głosy na różne strony. - Louis łyknął swojej whisky.

Skolnik potrząsnął głową.

- Nie sądzę - powiedział powoli. - Ale nawet jeśli tak jest, możemy na nich wpływać, żeby tym razem zrobili inaczej.

- Co?! - Louis mało się nie udławił. - Chyba nie zamierzasz przekupywać ludzi i namawiać, żeby głosowali na ciebie?

- Oczywiście, że nie. Za kogo mnie masz. Proponuję coś prostego: będziemy wpływać na głosujących, ale nie na ich życie, i nie będziemy oszukiwać w głosowaniu.

- Jak chcesz to zrobić? - Ślesin zainteresował się tym naprawdę.

- Musimy to robić dyskretnie, siłą sugestii. Oczywiście, wszystko zależy od filmu. Musi być wybitny. W tym roku pojawi się kilka bardzo dobrych filmów. Jak zdobywają nagrody?

- Najpierw muszą być nominowane.

- A jak dostają nominacje?

- Poprzez widzów, oczywiście - uśmiechnął się Skolnik.

- A dlaczego je dostają?

- Dzięki wartościom filmu.

- No właśnie.

- Nie rozumiem.

- Bruce zrozumie. Bruce, co sprowadza ludzi do kina prócz tego, że chcą się rozerwać?

- Fabuła. Tytuł. Gwiazdy.

- Tak, tak, ale poza tym?

- Plotki, recenzje, reklama... - Spojrzał na Skolnika. – Reklama - szepnął.

- Otóż to - uśmiechnął się Skolnik. - Umiemy już zainteresować naszych widzów tak, żeby koniecznie chcieli pójść zobaczyć film. I możemy ich tak zachęcić, żeby „Anna Karenina” dostała nominację. To byłby pierwszy krok.

- Zrobimy kampanię o nagrodę - entuzjasmował się Ślesin.

- Od jutra zaczniemy przebąkiwać, że „Anna Karenina” to najlepszy film od czasów „Narodzin Narodu”. Jeśli ludzie będą słyszeć to dostatecznie często, to uwierzą. Wykorzystamy siłę sugestii. W ich podświadomości zasiejemy myśl, że „Anna Karenina” jest najwspanialsza.

- Spróbujemy - zdecydował Skolnik. - Czy możemy to zrobić tak, żeby w razie czego nie narażać tyłków?

- Oczywiście - uśmiechnął się Ślesin. - Na tym polega cała zabawa. To nie my będziemy opowiadać, jaki on wspaniały. To będą mówić inni ludzie, z innych wytwórni. My tylko szepniemy parę słów w zaufaniu, słówko tu, słówko tam, i w krótkim czasie całe miasto będzie huczało. A gdy nas poproszą o informację, będziemy bardzo skromni. Jeśli dobrze to rozegramy, nikt nie oprze się powtarzaniu tego, co posiejemy.

- Plotki! - oburzał się Louis. Patrzył na Slesina z niedowierzaniem. - Uważasz, że możemy zgarnąć nagrody Akademii dzięki plotkom? Skąd w ogóle wiesz, że te informacje się rozejdą?

- Oczywiście, że tak, gdyż liczę na ciemną stronę ludzkiej natury. Hasłem będzie „to tajemnica”. Nikt się temu nie oprze. - Zniżył głos, wpatrując się intensywnie w Louisa. - Może nie chcesz w to uwierzyć, ale niewielu jest ludzi w tym mieście, którzy naprawdę potrafią dochować tajemnicy.

Tamara, na szczęście, nie była świadoma tej akcji. Głowę miała zajęta innymi, bieżącymi sprawami, a Louis uznał, że najlepiej będzie o niczym jej nie mówić, żeby jej nie denerwować.

Rzuciła się z pasją na rolę Anny Kareniny. Piękna, wrażliwa i niepokorna postać była rolą jakby stworzoną dla niej, jakby Tolstoj ją miał na myśli, tworząc w 1875 roku swą tragiczną bohaterkę. Stylowe wnętrza pałaców, komplikacje i zawirowania miłosne prowadzące ku klęsce, stanowiły doskonałe elementy filmu. Reżyseria Louisa, świetna praca kamer i efekty światłocieni prezentowały urodę Tamary i jej zdolności, jak dobry dyrygent prezentuje orkiestrę. Jej twarz i ciało było jak plastyczne tworzywo, zdolne stworzyć pożądany efekt. W trakcie swojej kariery wcielała się w różne role, ale w tę weszła zupełnie i pozornie bez wysiłku. Nie wiedziała nawet, dlaczego. Może z powodu swego rosyjskiego pochodzenia? W każdym razie nie miała w tym udziału reżyseria, dekoracje ani tekst Tolstoja; nic nie mogło jej przenieść z Hollywood do dziewiętnastowiecznej Rosji. Nie potrafiła zapomnieć, gdzie jest. W trakcie zdjęć co pewien czas przydarzały im się jakieś niepowodzenia. Nie ogrzewane studio było ciemne i pełne przeciągów. W trakcie filmowania sceny, w której hrabia Wroński i Anna mieszkają w zapuszczonym włoskim pałacu, dach studia zaczął przeciekać, niszcząc dekoracje i dezorganizując pracę. Louis jednak kontynuował zdjęcia, wykorzystując to jako element scenografii. W efekcie nastrój sceny stworzyły właśnie zacieki, a nie ogólny widok zrujnowanego pałacu. Koszty były jednak poważne. Tamara przemokła i dostała ciężkiej grypy. Miała ponad 39 stopni gorączki i przez sześć dni leżała w łóżku. Gdy przedwcześnie wygramoliła się z niego i wróciła do pracy, Louis przyjrzał się jej wymęczonej twarzy i zaczął najpierw kręcić końcowe sceny, w których

występowała jako kobieta skrajnie udreńczona psychicznie. Przeszły one na dziesięciolecia do klasyki filmowej. Nikt nie wiedział, że Tamara naprawdę czuła się bardzo słabo i była wtedy wciąż chora. Nieszczęścia mnożyły się.

W piątym tygodniu na planie wybuchł pożar, a następnie w laboratorium wydarzył się wypadek, który zrujnował piętnaście minut ukończonego filmu.

Ale aktorzy są przede wszystkim aktorami, wyjątkowo odpornym gatunkiem. Przedstawienie musi trwać. I trwało. Mimo przeszkód w postaci deszczu, choroby i wypadków -film był jednym z najlepszych, jaki wyszedł z hollywoodzkiej fabryki.

Gdy zdjęcia zakończyły się już bez dalszych nieszczęść, wszyscy odczuli głęboką ulgę. W sumie filmowanie zajęło trzynaście tygodni, o sześć więcej, niż planowano. Obsada rozjechała się: Fay Bainter, Janet Gaynor, Dorothy Gish, Fredric March i Charles Laughton powrócili do wytwórni, z których ich wypożyczono. Tamara dostała jak zwykle tydzień wolnego, nim zaczęła pracę w „Razzmatazz”, błyskotliwej farsie o Manhattanie, komedii pomyłek z siostrami bliźniaczkami (grała obie: niewinną, skromną Sabrinę i wyrafinowaną Simone, gwiazdę music-hallu, która w długiej cygarniczce z kości słoniowej paliła papierosy Primrose. Jej partnerami byli Billie Burke i znów Miles Gabriel.

Gdy była przez tydzień pochłonięta „Razzmatazz”, tak dalece odeszła od „Anny Kareniny”, jakby nigdy nie grała w tym filmie. Nowy film był jej nowym życiem. Opuszczając co wieczór plan, zabierała z sobą część osobowości swoich bohaterek, traciła poczucie czasu i rzeczywistości, to, co przytrafiało się postaciom, które grała, przytrafiało się jej. Gdy pewnego poniedziałku Louis oznajmił jej, że na niedzielę zaproszeni są na oficjalną kolację do Cirós, nie zastanawiała się nad tym. W końcu kolacja to kolacja. Czemu nie mieliby zostać zaproszeni? Byli przecież parą dobrze znaną w Hollywood!

Restauracja była dziwacznie przystrojona. Czarny portier w bawełnianej szacie w paseczki, ukłoniwszy się głęboko, otworzył drzwiczki Duesenberga Tamarze, a szofer Louisowi.

Louis dołączył do niej na chodniku pod baldachimem, specjalnie ustawionym z jakiejś okazji, i wyprostował klapy. Uśmiechnął się do niej.

- Wyglądasz jak zwykle zjawiskowo - powiedział, biorąc ją pod rękę i prowadząc do drzwi.

- Co się tu dzieje? - spytała cicho. - Dlaczego ten portier jest tak śmiesznie ubrany?

- Pewnie to jakaś zabawa, stąd te paseczki. - Uśmiechnął się dobrodusznie. - Nie martw się, jego strój nie umywa się do twojego. Nigdy piękniej nie wyglądałaś. - Wysunął język i sapał jak pies. - Dalej, zadziwimy całe miasto. Rozbieraj się. Tak pięknie wyglądasz, że mam ochotę natychmiast cię pożreć.

Przysłoniła usta ręką, tłumiąc śmiech. Wyglądała wspaniale w srebrnym futerale, który opinał jej sylwetkę jak druga skóra. Miała gołe ramiona i bardzo śmiały dekolt z tyłu. Etola ze srebrnych lisów dodawała jej królewskiego szyku. W uszach błyszczały maleńkie brylanciki, które dostała na urodziny. Wyglądała na gwiazdę w każdym calu, od czubka platynowych włosów do nosków srebrnych sandałów na wysokich obcasach.

Gdy przekraczali próg restauracji, patrzyła na Louisa i podziwiała, jak przystojnie wygląda w świetnie skrojonym wieczorowym garniturze. Była dumna i szczęśliwa, że ma takiego męża. Żadna żona na całym świecie nie ma takiego skarbu.

Kiedy weszli do środka, zdziwiła się, że zawsze wytworny maitre ubrany był w czerwony fez, ale jak zwykle potraktował ich z honorami zarezerwowanymi dla wielkich gwiazd Hollywood.

- Panno Tamaro, panie Ziolkko - ukłonił się przesadnie. Tamara uśmiechnęła się promiennie.

- Dobry wieczór, Jacques.

- Proszę łaskawie pójść za mną. - Wskazał ręką kierunek i poprowadził ich.

Przeszli kawałeczek i Tamara stanęła zdumiona. Nie wierzyła własnym oczom, patrząc na dyskretnie oświetloną salę. Baldachim na zewnątrz, dziwny

strój portiera i fez Jacques'a były tylko zapowiedzią. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej cała restauracja zmieniła się w orientalny pałac w jakiejś oazie, wspaniała jak „Z tysiąca i jednej nocy”.

- Przecież to jest... jak harem! - wykrzyknęła zdziwiona - Jak z filmu Douglasa Fairbanka!

Louis zaśmiał się.

- Chodźmy! Maitre zaprowadzi nas do stolika.

Gdy zaczęli iść przez salę, orkiestra zagrała, a wszyscy przy stolikach zaczęli klaskać.

Tamara zmieszała się. Wciąż uśmiechając się czarująco, uszczypnęła Louisa w ramię.

- Coś się tu dzieje - szepnęła kącikiem ust.

Więcej nie zdążyła powiedzieć, gdyż doszli do stolika O.T. Siedział wepchnięty między dwie piękne bliźniaczki w identycznych białych, głęboko wyciętych sukniach, na ramiączkach z fałszywych szmaragdów. Sądząc ze sposobu, w jaki przytulały się do niego, były z nim w bardzo bliskich stosunkach. Normalnie był to stół ośmioosobowy, ale tym razem, sądząc po nakryciach, miało ich być pięć.

Tamara szukała w pamięci. Co to mogła być za okazja?

Skolnik wstał i pocałował ją w policzek.

- Kwitniesz - powiedział z uśmiechem. - Małżeństwo ci służy. Wszystkiego najlepszego z okazji pierwszej rocznicy.

Później uściskał rękę Louisa. Tamarę zamurowało.

- O Boże, więc to nasza rocznica? - powiedziała przerażona. Spojrzała na Louisa, który potwierdził. - Przepraszam bardzo, kochanie - powiedziała prędko.

- Byłam tak pochłonięta pracą... Nie zdawałam sobie sprawy, że to już rok minął... Przebaczysz mi?

- Może z czasem... - zażartował. - Ale będziesz musiała ciężko pracować, żeby odzyskać moje uczucia. - Oczy mu błyszczały wesoło.

- To naprawdę dziwne - zachichotała jedna z bliźniaczek.
- Zwykle to żony przypominają mężom o rocznicach.
- Tamaro, pozwól, że przedstawię ci bliźniaczki Karan
- powiedział O.T. siadając. - Po mojej lewej Karla, a po prawej Kitty.
- Znowu pomyliłeś, O.T. - powiedziała dziewczyna przedstawiona jako Kitty. Ze sposobu, w jaki wymówiła „znowu”, Tamara wywnioskowała, że jest z Waszyngtonu lub Oregonu, gdzieś z północno-wschodniego wybrzeża Pacyfiku.
- To ja jestem Karla, a ona Kitty.

- W każdym razie, bardzo mi jest miło - odezwała się Tamara.

- A to jest Louis Ziolk, mąż Tamary, jak się zapewne domyśliłyście.

Louis nachylił się kolejno nad dłonią każdej z nich, bliźniaczki zachichotały i Tamara odczuła irracjonalną zazdrość z powodu jego galanterii. Usiadła jednak i uśmiechnęła się do najbliższej bliźniaczki.

- Będziesz mi musiała wybaczyć, jeśli was pomyłę. To zdumiewające, wyglądacie identycznie. - Zwróciła się do męża. - Prawda, Louie?

- Rzeczywiście - zgodził się, przysuwając do niej bliżej swoje krzesło.

Prawie natychmiast pojawiły się kieliszki z szampanem. O.T. wznosił toast:

- Za wiele wspólnych lat!

- Chętnie za to wypiję - uśmiechnęła się Tamara i pocałowała Louisa. Stuknęli się kieliszkami.

Po kolacji przygaszono światła i wwieziono olbrzymi tort rocznicowy. Na jego szczycie błyskały zimne ognie.

O.T. wstał, stuknął widelcem o kieliszek i stopniowo w sali zapanowała cisza.

Głos miał dźwięczny i donośny.

- Nie będę długo przemawiał, bo na pewno wszyscy wolą tańczyć albo rozmawiać, ale wytrzymajcie chwilę. - Spojrzał po sali. - To bardzo szczególna i radosna chwila dla nas wszystkich, naszej filmowej rodziny. W ciągu tego roku

Tamara i Louis stali się Pierwszą Parą Hollywood i wiem, że wszyscy tu obecni życzą im jak najlepiej. Zresztą powinniście, bo dużo w nich zainwestowałem.

Rozległy się pojedyncze śmiechy i rzadkie oklaski. Uroczyście uniósł kieliszek.

- A więc, proszę państwa, proponuję toast Za najbardziej udanego reżysera i jego żonę. Za najpiękniejszą kobietę świata. Za ich szczęście! Brawa dla Tamary i Louisa Ziolk!

Rozległy się wołania: Brawo! Brawo! stukanie kieliszkami. Znakomici goście unieśli kieliszki i wszyscy zaczęli pić szampana. O.T. wskazał na Tamarę i Louisa, którzy Wstali i trzymając się za ręce jak szczęśliwe dzieci, uśmiechali się do wszystkich. Pierwsza odezwała się Tamara tak głośno, żeby ją było słychać w najodleglejszych zakątkach sali, następnie zabrał głos Louis. Uroczyście odkroili pierwsze kawałki tortu.

O.T. znowu wstał.

- Dla uczczenia tej uroczystości Tamara i Louis poprowadzą pierwszy taniec, a następny rezerwuję dla siebie. Nie codziennie udaje się szefowi wytwórni zatańczyć ze swoją ulubioną gwiazdą.

Tamara promieniała szczęściem, gdy wirowała z Louisem na parkiecie. Zgodnie z obietnicą po drugi taniec zgłosił się O.T. Była to Wolna melodia i Tamara podejrzewała, że O.T. specjalnie to zaaranżował.

Zesztywniała, gdy ją objął i trzymając dłoń na gołych plecach, przyciągnął do siebie. Starła się zachować dystans. To Louie i ja powinniśmy tańczyć, myślała.

- Jesteś napięta - zarzucił jej O.T., szepcząc do ucha. -Przecież nie gryzę. Nie musisz się tak odsuwać.

Zmniejszyła więc nieco odległość między nimi. Zrozumiała wtedy, jak bardzo się zmieniła w ciągu minionego roku. Nie była już taka młoda, niewinna i zagubiona. Rok życia na szczytach Hollywood nauczył ją więcej, niż by chciała. Młodość i uroda były nie tylko atutem na ekranie; wyzwalały w

mężczyznach najgorsze cechy. Niektórzy flirtowali niegroźnie, inni próbowali się o nią ocierać, niektórzy wręcz błagali, żeby się z nimi przespała. Trzeba przyznać, że O.T. zachowywał się zawsze jak dżentelmen, ale ona nigdy nie dawała mu powodów, żeby zachowywał się inaczej.

- Znow się odsuwasz, Tamaro - powiedział.

- To dlatego, że się do mnie przykleiłeś.

- Uważasz, że się do ciebie przystawiam?

- A jest tak? Mlasnął językiem.

- Masz nieczyste myśli.

- A ty się zachowujesz, jakbyś miał nieczyste zamiary.

- Lubię wierzyć, że nie ma w życiu rzeczy nieosiągalnych. A zwłaszcza interesujących, pięknych kobiet.

Popatrzyła mu w oczy.

- Do czego ci jestem potrzebna? Masz swoje bliźniaczki. Zaśmiał się.

- Te małe idiotki? Chcę ciebie.

- Jestem zamężna, O.T.

- Jestem tego boleśnie świadom.

- Nie mów tak! Przecież wiesz, że to moja rocznica.

- No, teraz widzę, że pod tą cudowną cielesną powłoką brak serca.

Pomogłem stworzyć tę urodę, ale zapomniałem zainteresować się sercem.

- Brzmi to tak, jakbym była robotem.

- Dlatego że jesteś zimna i pozbawiona uczuć.

- Jestem wierna i monogamiczna. To różnica. Przycisnął ją znowu.

- Ale musisz przyznać, że nic nie szkodzi spróbować.

- Wręcz przeciwnie. Uważam, że to bardzo szkodliwe. Skrzywił się.

- Daj spokój. Pożyj trochę - nalegał.

- To, co proponujesz, to nie życie. To oszustwo.

- Sama się oszukasz, jak mnie wypuścisz z rąk.

- Zaryzykuję.

Czuła, jak mimo ostrzeżeń przytula ją do siebie coraz mocniej. Czuła, że przycisnął do niej biodra. Jedna ręka rysowała palcem małe kółeczka na jej plecach. Wbrew sobie poczuła, że sutki jej twardnieją, a między udami robi się wilgotno. Ogarnęło ją zmieszanie. Jedna jej część chciała uciekać, druga - pragnęła jego dotyku. W jego oczach widać było perwersyjny triumf. Czuł, że nacisnął właściwe guziki.

Widziała w jego oczach to samo, gdy odwijał jej bandażę we Włoszech. Traktował ją jak coś, co sam stworzył, w co tchnął życie. Uważał ją za swą własną, prywatną Galateę.

Jego pieszczoty denerwowały ją coraz bardziej. Co będzie, jeśli ktoś to zobaczy, jeśli Louie zauważy?... Jak wyjaśni, że nie robiła nic, by go jakoś zachęcić?

Przeklinała swoją reakcję na męski dotyk. Było to jak uderzenie w twarz. Co się z nią dzieje?

Jego ręce ześlizgnęły się aż do jej opiętych srebrem pośladków, czuła jak obejmuje je dłońmi, wsuwa między nie palec...

Do diabła! Teraz była już naprawdę wściekła. Ignorowanie go ani żadne subtelne metody nie doprowadzą do niczego. Trzeba radykalnie.

Zacisnęła usta, uśmiechnęła się słodko i walnęła go kolaniem w jądra.

Tego się nie spodziewał. Wybałuszył oczy i z trudem powstrzymał krzyk. Zrobił się biały i zmieszany, jakby nie wiedział, co się stało.

- Jezuu! - westchnął w końcu.

- Och, przepraszam, O.T. Wzbudziłeś we mnie taką namiętność, że moje ciało oszalało!

Gładziła go lakierowanymi pazurkami.

- Musisz zrozumieć jedną rzecz, O.T. - powiedziała śmiertelnie poważnie. - Kocham mojego męża. Nic na świecie mnie z nim nie rozdzieli. Nic i nikt. Ani ty, ani nikt inny.

Popatrzył na nią z rosnącym szacunkiem.

- Szczęściarz z tego Louisa.

- A ja jestem szczęściara. Nie zapominam o tym nawet na chwilę. -
Uśmiechnęła się. - Co z tobą? Znowu pomyliłeś krok.

- Niech cię licho. - Zaciśnął zęby. - Przez tydzień będę śpiewał sopranem.

Potrząsnęła głową.

- Nigdy nie będziesz śpiewał sopranem, O.T. - stwierdziła zdecydowanie. -
Masz za duże jaja.

Wróciła do stolika.

Popatrzył na nią, kiwając głową.

Po powrocie dom wydawał jej się szczególnie miły i zaciszny. Palily się tylko światła w holu, reszta pogrążona była we śnie. Tamara chciała od razu wejść na górę do sypialni, ale Louis bez słowa skierował ją do salonu. Ku jej zdumieniu zapalił wszystkie lampy.

Zobaczyła go natychmiast. Wisiał na ścianie nad ostatnim stołem, a światło z kinkietu skąpało go w łagodnej poświacie. Był to cudowny, nieduży olej Matisse'a, który sugerował raczej, niż przedstawiał, martwą naturę na stole. Łzy zabłyśły jej w oczach i nie mogła nic powiedzieć. Louis wziął ją za rękę, splecił palce i stali tak razem, wpatrując się w obraz.

W końcu spojrzała na niego wzruszona.

- Podoba ci się? - spytał miękko.

Stanął na palcach i dotknęła ustami jego ust.

Kocham go - szepnęła - a ciebie jeszcze bardziej. Dzisiaj był drugi najpiękniejszy dzień w moim życiu. - - A jaki był pierwszy?

- Dzień naszego ślubu.

- Będzie wiele innych pięknych dni - obiecał.

I rzeczywiście było. Rozpoczął tradycję rodzinną. Następną rocznicę obchodzili w głównej sali balowej Beverly Hills Hotel, a później Louis podarował jej dużego Toulouse-Lautreca, obraz przedstawiający scenę z Moulin

Rouge. Po trzeciej rocznicy, wyprawionej w namiotach w ogrodzie O.T., Louis sprezentował jej pulsujący dziwnym, wewnętrznym blaskiem pejzaż van Gogha.

Gdy patrzyła na niego, przypominało jej się szaleństwo artysty i marzyła, żeby osiągnąć w aktorstwie to samo, co on w tym obrazie.

Ale mimo powiększającej się co roku kolekcji mały Matisse pozostał jej ulubionym obrazem, najpierwszym i najbardziej cenionym.

„Anna Karenina”, Tamara i Miles Gabriel zostali nominowani do Nagrody Akademii.

Aby uczcić nominację, Louis podarował Tamarze nowiutkiego białego Packarda z opuszczanym dachem, biało wykończonymi oponami i czerwoną maską.

- Będę ci kupował biały samochód z opuszczanym dachem za każdym razem, kiedy dostaniesz nominację - powiedział. - A kiedy wygrasz, awansujesz do Rollsa.

Ale „Anna Karenina” wyszła bez nagród. Plany Oskara Skolnika spełzyły na niczym. Pojawiło się w tym roku wiele wspaniałych filmów z wielkimi gwiazdami. „Grand Hotel” wyprodukowany w MGM dostał Oscara za najlepszy film, Helen Hays uznano za najlepszą aktorkę w „Grzechu Madelon Claudet”, jej debiutanckim filmie. Oscary dostali również Frederic March i Wallace Beery, pierwszy za „Doktora Jekylla i Mr Hyde'a”, drugi za „Faceta”. Walt Disney dostał nagrodę specjalną za stworzenie Mickey Mouse.

Oskar Skolnik wściekał się, Miles cierpiał. Tamara, szczęśliwa, że w ogóle była nominowana, przyjęła werdykt ze stoickim spokojem. Ważne było to, że widzowie wysoko ją oceniali, dając jej nominację, i że „Anna Karenina” była sukcesem i artystycznym, i kasowym. Film odniósł większy sukces niż „Maria Antonina”, lecz mniejszy niż „Podlotki”, które były rekordem kasowym po dziś dzień. Po nakręceniu zaledwie trzech filmów Tamara była jedną z najślawniejszych w tym mieście aktorek, a to się liczyło. Jej twarz pojawiała się na okładkach tyłu magazynów, że zwykła żartować:

- Mogłabym wytapetować nimi cały salon i jeszcze zostałyby na „piekielko”.

Nie była w stanie przeczytać wszystkich artykułów, jakie o niej pisano. Co tydzień dostawała około 5 tysięcy listów. Jej platynowe włosy były szalem. Gdy zmieniła uczesanie, obowiązkiem fryzjerów w całym kraju było kopiowanie jej fryzury. Ta wystrojona, obwieszona biżuterią syrena, która powodowała masowe ataki hysterii filmowej publiczności, musiała walczyć o chwilę prywatności.

Jeśli tylko jej obecność nie była gdzieś absolutnie niezbędna, Tamara wolała izolować się od publiczności. Zastanawiała się długo, nim wyszła z domu. Wszędzie prześladowali ją łowcy autografów, fotografowie i wielbiciele. Nie oszczędzano nawet jej domu. Ciekawscy jeździli tam i z powrotem, aby choć zerknąć. Wielbiciele posuwali się do tego, że dzwonili do domu i oferowali bezpłatne sprzątanie, byle tylko być bliżej swej ulubionej gwiazdy. Obserwowanie Tamary stało się narodową rozrywką. Była superstar, nim powstało w ogóle to słowo.

Jedną z nielicznych przyjemności, z których nie rezygnowała, było leniuchowanie. Te kilka godzin, jakie mogła co tydzień wygospodarować dla siebie, starała się spędzić w ogrodzie albo na basenie. Dzięki wysokiemu muirowi i żywopłotom czuła się tam bezpieczna. Pokochała ten wielki dom i piękne tereny wokół niego.

Najchętniej zamieszkałaby tu na zawsze i nigdy się nie wyprowadzała.

Louis zaskoczył ją swoją niespodzianką w słoneczne wtorkowe popołudnie, w maju 1932 roku. Był to wymarzony dzień dla artysty. Niebo było czyste, tylko na horyzoncie delikatna mgiełka łagodziła jaskrawy błękit, termometr wskazywał powyżej 20 stopni, a ogród kwitł. Motyle latały na tle krzewów, a pszczoły bzyczały, przenosząc się pracowicie z kwiatu na kwiat w poszukiwaniu cennego nektaru.

Tamara leżała na ratanowym fotelu pod swym ulubionym drzewem palisandru. Na stoliku obok niej stał dzbanek i pełna szklanka mrożonej herbaty.

Leżała zadowolona, czytając Dobrą Ziemię Pearl Buck, która ukazała się w zeszłym roku, ale nie miała dotychczas czasu jej przeczytać. Było to wspaniałe popołudnie i nareszcie mogła wypocząć. Dzisiaj o nic się nie martwiła. Inge siedziała w cieniu, bliżej basenu, z okularami na nosie i coś cerowała.

Przewracając stronę, Tamara usłyszała stuk obcasów na kamiennej ścieżce i wiedziała, że Louis wraca z tajemniczej wyprawy, na którą wybrał się przed dwiema godzinami.

- Jestem! - oznajmił niepotrzebnie, wyłaniając się zza krzewów. Ukłonił się przed nią uroczyście i wręczył jej lilię na długiej łądydze.

- Madame?

Wyjęła mu kwiat z palców i wdychała głęboko jego silny zapach. Zastanawiała się, co też jej przystojny mąż kombinuje. Oczy mu błyszczały i był podniecony.

- Hej - uśmiechnęła się leniwie. Wciąż wachając lilię rzuciła mu uwodzicielskie spojrzenie, dobrze znane z ekranu. - O co chodzi?

- Ubieraj się - ponaglał ją. - Jedziemy na przejażdżkę. Mam dla ciebie niespodziankę.

- Louis! - zaprotestowała, łądygą lilii zaznaczając stronę w książce i odkładając ją na trawę. - Tak tu spokojnie. Posłuchaj chwilę. Co słyhać? Ptaki? Świerszcze? Liście na wietrze? - Wyciągnęła do niego rękę. - Czy niespodzianka nie może zaczekać?

Cofnął się, wsadził ręce w kieszenie, usta wykrzywiło mu zniecierpliwienie.

Westchnęła i odwróciła od niego głowę. Zmartwiła go, ale jeśli ktoś tu mógł się czuć zmartwiony, to właśnie ona. Wiedział przecież, co dla niej znaczy ta chwila. W piątek skończyła kręcić „Razzmatazz” i miała zwyczajowy wolny tydzień między zdjęciami. Tym razem miały to być całe trzy tygodnie, dwadzieścia jeden cudownych dni, które wywalczyli z Louistem jako zasłużone wakacje. Chciała się nimi cieszyć w spokoju, nie występować publicznie, a tu Louis każe jej opuścić tę oazę. To niesprawiedliwe.

- Louis, tak mi dobrze - wyjaśniała cicho. - Inge też. Weź kąpielówki i chodź do nas. Pierwszy raz od roku udało mi się usiąść z książką. W każdym razie z taką, która nie łączy się z filmem.

- To jest dla mnie bardzo ważne - powiedział delikatnie. - To coś, co zrobiłem... dla nas.

- Przepraszam, kochanie - poddała się. - Masz rację, że uważasz mnie za starą jędzę. Oczywiście, chętnie: pojedę. - Wyjęła mu rękę z kieszeni i przytrzymała. - Powinnam się cieszyć z każdej okazji, gdy jesteśmy razem. A dokąd jedziemy?

Potrząsnął głową.

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Bo to niespodzianka? - zaśmiała się.

- Bo to niespodzianka.

I była rzeczywiście: dwanaście i pół akra ziemi na wzgórzu naprzeciwko Los Angeles, z widokiem na zachodnie wybrzeże i góry Santa Ana na wschodzie.

- Ale... tu nic nie ma! - powiedziała zdumiona Tamara, gdy wysiedli z samochodu i brnęli po kolana w jakichś zielskach.

- To właśnie jest piękne. - Louis był podekscytowany. - Nie widzisz? Dziewiczy teren! Jest nasz i możemy z nim zrobić, co nam się podoba. Tu zbudujemy nasz dom - oczy mu błyszczały. - Pomyśl tylko - to będzie nasz dom, a nie taki, w którym przedtem mieszkał ktoś inny. Będzie dokładnie taki, jaki zechcemy mieć. Czy to nie cudowne?

Rozejrzała się dokoła i pokiwała głową. Stali na płaskiej części wzgórza, reszta terenu schodziła łagodnie w dół, a dopiero poza granicami działki spadek robił się ostrzejszy. Tam właśnie znajdowało się kamieniste koryto, suche w tej chwili, dzięki czemu woda deszczowa miała którędy spływać. Spod stóp Tamary wyskoczył nagle przerażony zając i popędził w zarośla. Nad ich głowami krążył olbrzymi ptak. Widok był niezwykły. Gdy patrzyło się w trzy strony świata, miało się wrażenie przebywania w kompletnej głuszy - ani

jednego domu na horyzoncie. Jednak widoczne z czwartej strony Los Angeles upewniało, że nie straciło się zupełnie kontaktu z cywilizacją. Było tu wszystko, co najlepsze z obu światów. Gdyby nie brak drzew, pokochałaby to miejsce jeszcze bardziej.

- Niech zgadnę - powiedziała, kopiąc kamyczek w wyschniętym korycie strumienia. - Kupiłeś to już? - zerknęła na niego z ukosa. Ciepły wiaterek rozwiewał jej platynowe włosy, wychodzące spod nałożonego na bakier beretu.

- Tak, mam tu dowód kupna - Rozpromienił się, roześmiał od ucha do ucha i poklepał po kieszeni na piersiach.

- Wszystko podpisane i załatwione. Negocjacje trwały trzy tygodnie i trochę udało mi się utargować, ale niewiele, bo właściciele wcale nie musieli sprzedawać. Ale warte jest każdego grosza. Spójrz na to położenie. - Wskazał na rozpościerające się poniżej Los Angeles. - Jeśli miasto będzie się nadal rozwijać, ta działka będzie coraz cenniejsza. Za kilka lat będzie warta dwadzieścia razy tyle. Wartość ziemi wzrasta w szaleńczym tempie. Kryzys nie może trwać wiecznie.

- Pewnie masz rację. - Przerwała, obserwując badawczo teren. - Ale budowanie tutaj będzie drogie - głośno myślała.

- Trzeba zacząć od doprowadzenia drogi od tamtego zakrętu...

- Wiem o tym. I będziemy musieli postawić mur dokoła, żeby mieć spokój. Dom też nie będzie tani, ale oszalejesz, jak tylko go zobaczysz. Już na kalce wygląda wspaniale.

- Co? - obróciła się. W oczach rozbłysły srebrne ogniki.

- Chcesz mi powiedzieć, że kazałeś zaprojektować dom nie konsultując tego ze mną?

- No, tak. - Zrobiło mu się trochę głupio. - Lepiej niż ktokolwiek inny wiem, czego potrzebujesz i co lubisz. I wiem, co ja lubię. Proszę, nie denerwuj się. Wiem, że lubisz dom, który teraz wynajmujemy, ale gwarantuję ci, że ten pokochasz jeszcze bardziej. Będziesz miała ogród, jakiego jeszcze nie widziałaś.

Rajski Ogród albo Wiszące Ogrody będą przy nim jak łąka z zielskiem - uśmiechnął się.

- Zrobiłeś to wszystkim za moimi plecami - zarzuciła mu.

- Tamara, mówisz takim tonem, jakby to była jakaś antyczna tragedia.

- Może jest.

- Nie, nie jest. Chciałem tylko, żebyś miała niespodziankę, to wszystko. Dlatego zrobiłem to za twoimi plecami, że masz wciąż za mało czasu. Miałem ci to ułatwić. Ale jeśli nie chcesz, zapomnimy o tym domu i wystawimy działkę na sprzedaż. Jeżeli ma nas dzielić, to nie warto jej mieć. Nie chcę, żebyśmy walczyli.

- Ja też nie. - Tamara miękła od jego słów. - Przepraszam, że tak zareagowałam. To był... taki szok - zmusiła się do uśmiechu. - Głupio się zachowałam.

Uniosła głowę i spojrzała w jego błyszczące oczy. Czowała, jak zniewala ją jakąś hipnotyczną siłą, jak przyływ przyciągany przez księżyc. Ujął jej twarz w rękę i jeszcze trochę uniósł. Jego usta znalazły się na jej ustach. Były delikatne, wilgotne, obiecujące. Opadła z niej reszta złości. Chciała, żeby to trwało wiecznie.

Oderwała się w końcu od niego.

- Na razie dosyć - szepnęła ze śmiechem. - Nie wiadomo, co mogę zrobić, jeśli nie przestaniemy.

- Będziemy tu wracać... często.

- Tak.

Milcząc szli w stronę samochodu i trzymali się za ręce jak nastolatki. Zawsze po każdej kłótni byli znów młodymi kochankami, jakby z jakiegoś niezrozumiałego powodu złość stawała się namiętnością.

- I co dalej? - spytała, gdy doszli do samochodu. Oparł się o ciepłą maskę Duesenberga.

- Masz na myśli dom? Skinęła głową.

- Nie byłoby źle, gdybyśmy połączyli finanse. W tej chwili czekani przekazywane są automatycznie na nasze osobne konta. Byłoby znacznie łatwiej, gdybyśmy płacili za wszystko z jednego, wspólnego konta.

- To brzmi sensownie. Uśmiechnął się lekko.

- Tylko że jesteś moją żoną, a nie chciałbym używać na cokolwiek pieniędzy mojej żony.

- Ale, na miłość boską, dlaczego? Co w tym złego? Nabrał powietrza.

- Tak zostałem wychowany. Mężczyzna ma zarabiać.

- Ależ to niemądre. - Popatrzyła uważnie. - Ty naprawdę tak uważasz?

Skinął głową.

- Tak jak powiedziałem, czuję się z tym nieswojo. Jestem pewien, że to minie.

Była niepocieszona.

- Mam nadzieję.

- W każdym razie w tej chwili sprowadza się to do żywej gotówki. Zapłaciłem za działkę i architekta z mojego konta, ale nie mam tyle, żeby zapłacić za dom. Wspólne konto uprościłoby wiele rzeczy. Jeśli ci się ten pomysł podoba, bo mnie, szczerze mówiąc, nie bardzo, wypełniłem tu za ciebie upoważnienie notarialne. Jest tymczasowe i wystarczy tylko podpisać. W ten sposób, póki tego nie odwołasz, mogę odbierać twoje pieniądze bez problemu. Będę mógł przekazywać fundusze z obu naszych kont na jedno wspólne, wyłącznie na wydatki związane z budową domu, ale w zasadzie będziemy mieli osobne konta.

- A nie mogę po prostu podpisywać czeków w miarę potrzeby?

- Myślałem o tym, ale jeśli będę nagle potrzebował pieniędzy, a ty wyjedziesz w jakiś objazd reklamowy?

- Rozumiem. - Myślała przez chwilę. - Ile mniej więcej będzie kosztował ten dom?

Patrzył na nią badawczo.

- Dwieście tysięcy dolarów.

- Dwieście tysięcy! - wybuchnęła. Popatrzyła z niedowierzaniem. - A co my tu takiego budujemy? Wersal?

- Tylko nędzną kopię - usiłował żartować. - To wcale nie jest tak dużo, biorąc wszystko pod uwagę. Zwykły siedmio-pokojowy dom na Beverly Hills kosztuje pięć tysięcy.

- Jedna czterdziesta tego, co proponujesz.

- Wiem o tym, ale musisz wziąć pod uwagę, że to nie będzie przeciętny dom. Poza tym, ta działka jest zupełnie nie uzbrojona. Nie ma drogi, nie ma elektryczności. Musimy dokopać się do wody, założyć kanalizację, otoczyć murem...

- A ile kosztowała ta ziemia?

- Dwanaście tysięcy.

- Strasznie dużo! Wskazał ręką na wzgórze.

- Ale to nie bagatela - dwanaście i pół akra. Spojrzała na niego.

- Nie, na pewno nie - powiedziała ochryple. Popatrzył na nią zatroskany.

- No, co się dzieje? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

- Raczej widmo biedy - odpowiedziała ponuro.

- Księżniczko! Weź się w garść. Mówimy o domu, a nie jakiejś zabawce, jak samochód czy jacht. Domy się kupują i sprzedaje codziennie.

- Ale też codziennie zmieniają właścicieli. Przeczytaj sobie statystyki w gazetach.

- Czasami cię nie rozumiem. - Potrząsnął głową. - Wbiłaś sobie do głowy, że dom nas zrujnuje. Ilu znasz takich ludzi? Wymień chociaż jednego.

- Król Ludwik Bawarski. Roześmiał się głośno.

- Takich, których znasz osobiście. Bądź poważna.

- Jestem poważna! Louie, jeśli zaczniemy teraz od domu za dwieście tysięcy dolarów, skończymy jako bankruci!

- Nie, nie skończymy. Poza tym, przecież nie płaci się tego wszystkiego od razu. Nikt, do diabła, tak nie robi.

Wciąż miała ściągniętą twarz.

- Ale czy naprawdę stać nas na to? Przecież będziemy mieli więcej wydatków niż dochodów...

- Ja mam trzysta dolarów tygodniowo, ty tysiąc, mamy razem ponad pięć tysięcy miesięcznie. Oczywiście, że nas stać.

- To nie jest takie proste i doskonale o tym wiesz - zaprotestowała, prędko przeliczając. - Będziemy stapać po bardzo cienkim lodzie. Trzeba wziąć pod uwagę podatki.

- Zrobiłem to.

- A nasze wydatki są astronomiczne. Louie, nie możemy zbudować domu i koniec. Będziemy musieli go umeblować. Skąd na to wziąć pieniądze?

- Och, na miłość boską, księżniczko - powiedział, tracąc cierpliwość - jesteśmy bogaci. Bogaci! Czy nie możesz sobie tego wbić do głowy? Wciąż myślisz o sobie jako o tej panience, którą poznałem w kawiarni.

- Możliwe - przyznała. - Ale nie chciałabym już do tego wrócić.

- Nie wrócisz, wierz mi. Jeszcze pięć lat i będziesz renegotjować kontrakt. Teraz ty dyktujesz warunki. Pieniądze będą płynąć drzwiami i oknami.

- Aż tak?

- No, prawie.

- To dlaczego nie oszczędzamy więcej niż osiemset dolarów miesięcznie? Czasami nawet mniej. Wciąż mam wrażenie, jakbyśmy chodzili po linie.

- Żeby więcej zarabiać, trzeba więcej wydawać. Nie możemy zmniejszyć wydatków. To jest również to, co interesuje publiczność. Nie chcą, żeby gwiazda była taka jak dziewczyna z sąsiedztwa.

- A jeżeli - powiedziała znów nachmurzona - coś się stanie jednemu z nas i skończą się dochody?

- Zaufaj mi - powiedział miękko. - Przecież cię nie oszukuję.

Popatrzyła na niego i zobaczyła napięcie w jego oczach.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała. - Wiesz, że ci całkowicie ufam. -
Wzięła głęboki oddech. - Mówiłeś, że masz z sobą to upoważnienie notarialne.

- Tutaj. - Wyszukał je pośpiesznie w kieszeni.

- Masz pióro? - wyciągnęła rękę. Uśmiechając się, wyjął wieczne pióro i wręczył jej. Rozłożyła papier na masce samochodu i postawiła na dokumencie swój cenny autograf. Skrzywiła się na widok swego nazwiska. Podpis nie był równy i pewny, lecz niewyraźny i chwiejny. Jak podpis skapca, pomyślała, a w każdym razie kogoś, kto nie jest pewien tego, co robi.

Gdy ponad dwa lata później podliczono wydatki, całkowity koszt domu wyniósł 440 000 dolarów. Nie oni jednak byli jego właścicielami, lecz bank. Dwa tygodnie po ukończeniu budowy bank po raz drugi wziął go w zastaw za długi.

Znacznie później, gdy Tamara wspominała to wszystko, uświadomiła sobie, że moment, w którym podpisała upoważnienie, był punktem, od którego koło fortuny przestało się kręcić w ich stronę, problemy narastały, a dobre czasy minęły bezpowrotnie.

Dom był bez przerwy na pierwszym planie. Reklama, jaką dawał, warta była każdego wydanego centa, gdyby nie fakt, że to ona i Louis musieli płacić, a nie wytwórnia. Nie był to Wersal, ale nie był też skromny. Dziennikarze zwiedzali go całymi stadami, „ochali”, „achali” i wychodzili przejęci, żeby opisać czytelnikom. Dlaczego nie mieliby być pod wrażeniem? - dumiała Tamara. Ona była. Ale to nie był dom, tylko pałac ze snów, cacko z waty cukrowej. Nigdzie nie czuła się tak źle jak tutaj. Przez wiele miesięcy, gdy tylko wzięła do ręki gazetę, czytała coś na temat domu, który Louis na jej cześć nazwał Tamahawk.

Magazyn „Screen Story” poświęcił domowi artykuł rozrzucony na ośmiu stronach, ilustrowany siedmioma zdjęciami. Złośliwy tekst, napisany przez Marilee Rice, reporterkę, której wszyscy się bali, zatytułowany był „Dom jest

tam, gdzie jest zamek", a podtytuł: „Jedźcie, pijcie, Tamara, umieramy" nadawał ton całemu artykułowi.

Stop i... koniec! - zabrzmiał głos Louisa przez megafon.

Wszyscy na planie, od szefa fotografii po gońca, zaczęli spontanicznie klaskać. Tamara ukloniła się głęboko w podziękowaniu, a wiedeński kapelusz z kokardami i krótkimi piórami, jaki miała na głowie, spadł. Asystentki z garderoby zdrętwiały, ale Pearl zdołała go złapać, zanim wylądował na ziemi.

- Dzięki Bogu - odetchnęła Tamara, gdy młoda asystentka Pearl wyjęła jej z ręki wachlarz i zaczęła ją intensywnie wachlować. Bez tego ciężkiego kapelusza zrobiło jej się dziwnie słabo. Skóra na głowie pod ciasnymi loczkami była mokra i czuła spływające na plecy kropelki potu. - Chyba zemdleję - westchnęła. — Ile jest stopni?

- Mówili w radiu, że będzie powyżej trzydziestu - poinformowała Pearl.

- Tu chyba jest z pięćdziesiąt - jęczała Tamara. - Te zimowe ubrania są jak sauna! Prawdziwa baronówna Maria Vetzera nie musiała przynajmniej cierpieć kalifornijskich upałów.

- Prawdziwa baronówna Vetzera musiała znosić chłodne leśniczówki w zimie i została zastrzelona przez swego kochanka księcia, co chyba jest znacznie gorsze niż nasza pogoda - zauważyła Pearl.

- Rzeczywiście, to mi pociecha. - Tamara była poirytowana. Usiadła w reżyserskim fotelu, jedynym w Hollywood pokrytym białym jedwabiem. Musiała ostrożnie przy siąść na brzeżku ze względu na swój kostium.

- Po prostu patrzę optymistycznie - mruknęła Pearl, pocierając zapałkę o oparcie fotela Tamary i zapalając Lucky Strike'a.

- Zaoszczędź sobie tego optymizmu i proszę, nie używaj mojego fotela jako pudełka od zapałek - warknęła Tamara.

- Uch. - Pearl uniosła brwi. - Ależ dzisiaj jestem drażliwa! Tamara przymknęła oczy i pozwałała się dalej wachlować.

Louis podszedł do niej, wciąż z megafonem w ręku.

- To była wspaniała scena! - zawołał radośnie. Nachylił się i pocałował Tamarę w policzek. - Jeżeli nie będziesz uważała, księżniczko, to tym razem zdobędziesz Oscara.

Tamara otworzyła jedno oko i spojrzała na niego ze złością.

- Za co? - Wyciągnęła ręce, żeby dwie asystentki mogły odpiąć po osiemnaście perłowych guziczków na każdej z jej kozłowych rękawiczek. - Za wytrzymanie w tym kostiumie? Za najcięższe kapelusze? Najbardziej zdeformowaną figurę dzięki tej obrzydliwej konstrukcji z drutu? Wyglądam, jakbym była w ciąży, tylko z brzuchem z tyłu.

- Wyglądasz pięknie i wiesz o tym.

- Wyglądam jak jakiś cholerny wielbłąd! Popatrzył na nią zdumiony.

- Hej - powiedział łagodnie. - Rozluźnij się, dobrze? Wiem, że ten kostium nie jest najwygodniejszy...

- Żartujesz chyba.

- Idź się przebrać, a potem spotkamy się z Pearl w bufecie. Tamara potrząsnęła głową.

- Idźcie razem. Ja marzę o tym, żeby pójść do swojej garderoby, rozebrać się i poleżeć nago. Jedyne sposoby, żeby się ochłodzić.

- Poproszę, żeby ktoś ci przyniósł półmisek sałatek - zaproponowała Pearl.

- Nie, dziękuję - odmówiła zdecydowanie Tamara. Asystentki zdjęły jej rękawiczki i odprawiła je ruchem ręki.

- Teraz kilka litrów wody sodowej i wanna lodu będą znacznie lepsze niż całe jedzenie świata.

Przyłożyła do czoła wilgotny ręcznik.

- O, już lepiej - jęknęła z ulgą. - Przez ten makijaż moja skóra nie może oddychać. No, leczę. - Rzuciła ręcznik, wstała i zaczęła odpinać guziki niewygodnego, wysokiego kołnierzyka długiej, dwuwarstwowej sukni w śliwkowo-czarne paseczki.

- Do zobaczenia! - zawołała przez ramię.

Walczyła z guzikami w drodze do swej garderoby po drugiej stronie uliczki. Było południe, najgorętsza pora dnia. Nie mogąc się doczekać swych czterech elektrycznych wiatraczków, tak prędko wbiegła po schodkach, że omal nie zemdląła. Wpadła do pierwszego pokoju, niespodzianie zderzając się z Inge. Tamara spojrzała na nią i zbladła.

- Inge! - Głos jej się załamał. - Coś się stało?

- Nie - zapewniła ją.

- Powiedz mi! - nalegała Tamara.

- Nic do zmartwienia - powtarzała Inge. Coś w jej głosie się zmieniło. - W domu wszystko w porządku.

- Więc o co chodzi? - dopytywała się Tamara. - To nie w twoim zwyczaju, żeby tu przychodzić bez uprzedzenia. Przestraszyłaś mnie.

- Wiem. Przepraszam - wzrok Inge utkwiony był w Tamarze. - Czy masz parę minut?

- Mam godzinną przerwę obiadową. Czy jesteś głodna? Posłać po coś do jedzenia?

- Nie, dziękuję. - Inge przyglądała swoją bezkształtną, szarą sukienkę i usiadła dość sztywno na skraju białej kanapy.

Tamarę przeszył dreszcz niepewności.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - spytała.

- Przepraszam. - Inge spuściła wzrok i poklepała miejsce na kanapie obok siebie. - Siadaj i ja ci opowiem, dlaczego ja tu przychodzę. - Tamara siadła obok niej, a Inge nabrała tchu.

- Odkąd wyjeżdżamy z Niemiec, próbowałam cię wychować najlepiej, jak mogłam. Jak by ty moje własne dziecko, z mojej krwi i kości. Tak o tobie myślę, bo nie mam innej rodziny - zaczęła Inge, starannie dobierając słowa.

- Wiem o tym. - Tamara uśmiechnęła się serdecznie.

- Jesteśmy bardziej rodziną niż większość naprawdę spokrewnionych ludzi.

Inge skinęła głową.

- I myślę, że wiesz, że nigdy nie próbuję zajmować miejsca twojej matki. Staram się... trzymać zawsze twoje wspomnienie o niej, tak?

- Co chcesz mi powiedzieć? - zawołała Tamara. - Inge, nie strasz mnie!

Inge była zmartwiona.

- Proszę, Tamara, pozwól mi powiedzieć w mój sposób. To jest dla mnie bardzo... trudne.

- Przepraszam - powiedziała łagodnie Tamara.

- Przez te lata opowiedziałam ci o twojej matce i twoim dzieciństwie tyle, ile było... - Inge szukała słowa - ...właściwe. Oczywiście niektórych rzeczy nie zrobiłam. Nie dopilnowałam twojego wychowania religijnego, bo nie znam żydowskich zwyczajów. Zresztą było zamieszanie z twoim prawosławiem. Bardzo zamieszane. W każdym razie, nawet twoja matka... niech Bóg zachowa jej duszę, nie była... najlepsza, jeśli idzie o sprawy religii. A twój ojciec... nie mówiłam ci zbyt dużo o nim.

Inge złapała się za głowę, jakby ją nagle zaczęła boleć.

- Powinam ci wszystko powiedzieć dawno, teraz widzę. Tylko chcę cię oszczędzać. - Pociągnęła nosem. - Nie chcę cię krzywdzić. Musisz mi wierzyć.

- Oczywiście, że wierzę. - Tamara uśmiechnęła się.

- Pewnie niedługo i tak się dowiesz, więc lepiej dowiedz się ode mnie. Masz prawo wiedzieć. Tamara niecierpliwiła się.

- No, dalej...

- Tamara. - Inge wyprostowała się i położyła ręce na kolanach. - To dotyczy twojego ojca.

- Mojego ojca? Ja go prawie nie znałam! Najprawdopodobniej nie żyje.

- Nie. - Głos Inge zmienił się w szept. - On żyje.

- Żyje! - Oczy Tamary rozbłysły. - Gdzie? Skąd wiesz? Inge bez słowa rozwinęła gazetę, którą trzymała, i rozłożyła

na kolanach. Było to dzisiejsze wydanie jednej z gazet Los Angeles, „Herald Express”.

Tamara złapała ją i zaczęła łapczywie czytać. Gazeta szeleściła w drżących rękach. Przeczytała szeptem duży tytuł:

DELEGACJA PALESTYŃSKICH ŻYDÓW Z WIZYTĄ W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

Zastanawiała się, dlaczego Inge uznała to za takie ważne, że gnała z tym do studia, jakby się paliło. Inge wiedziała, że wprawdzie Tamara uznaje się za Żydówkę, jednak nie interesuje się religią. Oczy jej padły na rząddek mniejszych liter poniżej i podskoczyła, jakby uderzyła ją niewidzialna ręka. Tam, czarno na białym widziała nazwisko, którego nie mogła nie rozpoznać:

WYCOFAĆ BRYTYJCZYKÓW I STWORZYĆ ŻYDOWSKIE PAŃSTWO, NALEGA BORALEVI.

Boralevi.

Boralevi. Patrzyła na to nazwisko jak w transie. Czy to możliwe?

Przy artykule widziała małe zdjęcie mężczyzny. Skoczyła, na równe nogi, podbiegła do lustra i włączyła silne światło.

Szmaria Boralevi - głosił napis pod zdjęciem. Jego celem jest nowe państwo na Bliskim Wschodzie.

Tamara przybliżyła do oczu nieco zamazane zdjęcie i przyglądała się w milczeniu. Jakim przystojnym mężczyzną był ten Szmaria Boralevi. Sfotografowano go, gdy odwrócony był wprost do kamery. Było coś heroicznego w tej dumnej twarzy, szlachetnym nosie i dużych oczach, płonących intensywnym blaskiem. Efekt ten wzmacniały zmysłowe usta, burza gęstych, jasnych włosów i silny podbródek, skryty pod obfitą, jasną brodą. Tamara patrzyła na zdjęcie kilka minut, na próżno starając przypomnieć sobie coś, cokolwiek, co wiązałoby się ze Szmaria Boralevi, jakiego kiedyś ledwo знаła. Później szybko przeczytała cały artykuł.

SPECJALNIE DLA „HERALD EXPRESS” John Fogel

Sześciuosobowa delegacja żydowska, pod przewodnictwem Szmarii Boralevi, który ponagla Brytyjczyków, by oddali kontrolę mandatu

śródziemnomorskiego i zmienili Palestynę w państwo Żydów z całego świata, zatrzyma się w naszym mieście w trakcie podróży po kraju.

Boralevi, Żyd urodzony w Rosji, został poważnie okaleczony przez Ochronę, tajną carską policję. Wyemigrował do Ziemi Świętej w 1918 roku. W swym przemówieniu w Nowym Jorku powiedział, że będzie się starał osobiście wręczyć dokładny raport prezydentowi Rooseveltowi w czasie pobytu swej delegacji w Waszyngtonie. Do dzisiaj nie ma żadnej odpowiedzi z Białego Domu, czy dojdzie do spotkania delegacji z prezydentem.

Palestyna jest Ziemią Świętą dla chrześcijan - mówił Boralevi w pełnej synagodze na Manhattanie - ale wszyscy zapominają, że Mojżesz przyprowadził tam Izraelitów, żeby uwolnić ich spod władzy faraona. Teraz, poprzez siły wojskowej policji, Brytyjczycy nie dopuszczają prawowitych spadkobierców Mojżesza do Ziemi Obiecanej.

Stwierdził, że Mandat Brytyjski jest „jarzmem niewolnictwa i uciskiem, który znacznie przekroczył konieczność”. Twierdzi też, że w swej przybranej ojczyźnie jest wciąż ścigany:

„Jestem poszukiwany, wciąż zmieniam miejsce pobytu”, powiedział. „Od lat władze starają się mnie aresztować”. Zdaniem Brytyjczyków, Boralevi i grupa jego zwolenników są poszukiwani za szmuglowanie setek nielegalnych imigrantów do Palestyny, lądem i morzem. Ostatnio zarzucano mu zorganizowanie kilku lotów z Grecji i Cypru, które nocą przewoziły ludzi na opuszczone tereny Palestyny.

Problemy w Palestynie w ogóle, a z mandatem brytyjskim w szczególności, nie są nowością. Gdy wojna światowa zbliżała się do końca, dr Chaim Weitzman z Wielkiej Brytanii otrzymał słynną Deklarację Balfoura z 2 listopada 1917 roku, która zapewniała brytyjskie poparcie w uznaniu Palestyny „domem” światowych Żydów.

Jednak gdy rozpoczęła się Aliyah, czyli imigracja pionierskich Żydów do Palestyny, Brytyjczycy stanęli z jednej strony wobec znacznie większej fali

imigrantów, niż się spodziewali, a z drugiej - z rosnącymi niepokojami ze strony Arabów. Starcia między nowymi osadnikami a dawnymi mieszkańcami, Arabami, zmieniały się w krwawe walki z ofiarami z obu stron. Ulegając rosnącej presji Arabów, Brytyjczycy wyłączyli spod mandatu Transjordanie, tym samym zamykając część terenów przed imigracją żydowską. Starając się o bezstronność zarówno w stosunku do Arabów, jak i Żydów, Brytyjczycy uznali za konieczne, żeby kontrolować napływ imigrantów żydowskich. Zarządzenia, mające na celu zniechęcanie osadników żydowskich, ułatwiły drogę do podwyższenia podatków i zaostrzenia przepisów na terenach rolniczych.

„Najpierw rząd Wielkiej Brytanii chce nam pomóc w stworzeniu ojczyzny”, grzmiał Boralevi, „potem stara się uniemożliwić naszym ludziom dotarcie do niej, a jeśli im się uda dotrzeć, stworzenie sobie przyzwoitego życia jest prawie niemożliwe. Jeżeli ta kryminalna szarada potrwa dłużej, Wielka Brytania będzie w przyszłości odpowiedzialna za wiele spraw”.

Sir Colin Bentley Plimmer, najostrzejszy krytyk Deklaracji Balfoura, zwrócił się ostatnio w Londynie do grupy anty-syjonistów twierdząc: „Oni (syjoniści) nie chcą niczego innego, tylko wzniecić wojnę i oczyścić Palestynę z jej prawowitych mieszkańców, Arabów”.

Plimmer opisywał dalej Szmarę Boralevi jako „pospolitego przestępcę, który powinien być tak nazywany, a nie postrzegany jako bohater. Mamy niepodważalne dowody na to, że pan Boralevi i garstka jego rozbójników ma zamiar atakować i Arabów, i Brytyjczyków”. Plimmer mówi dalej, że ubolewa z powodu „fałszywej sympatii”, jaką pan Boralevi wzbudza u Żydów. „Pod pozorem zbierania pieniędzy na pomoc dla emigracji i tworzenie państwa żydowskiego szmugluje do Palestyny imigrantów i broń, przekraczając granice w jedną i drugą stronę. Należy go niezwłocznie powstrzymać”.

W czasie swego przemówienia w Nowym Jorku Boralevi nazwał oskarżenia Plimmera „niedorzecznymi”. „Jeżeli Plimmer nazywa mnie przestępcą, niech tak będzie. Ja będę dalej robił to, co robię. Przez całe wieki my, naród żydowski,

byliśmy atakowani, prześladowani, więzieni i zabijani. Nie chcę mieć na sumieniu tego, że niedostatecznie chroniliśmy nasze kobiety i dzieci. Jeśli nasz wróg jest uzbrojony, to i my musimy się uzbroić, żeby go odstraszyć. Jeżeli czeka nas walka, podejmiemy ją. Ja przeżyłem jeden pogrom. Nie mam zamiaru przeżyć drugiego, a jeśli będę musiał, nie poddam się bez walki".

Tamara powoli odwróciła się i spojrzała pytająco na Inge.

- To... to jest mój... ojciec? - szepnęła. - Jesteś absolutnie pewna?

- Tak - odpowiedziała zdecydowanie. Przytaknęła ruchem głowy. - To on. Poznają go ze zdjęcia nawet bez czytania nazwiska.

- Wydaje się to takie... dziwne, żeby odnaleźć go dzięki gazecie! Nie wierzyłam, że takie rzeczy zdarzają się w życiu. Myślałam, że tylko w filmie.

- Często prawdziwe życie jest dziwniejsze niż wymyślone - zgodziła się Inge.

Tamara nie mogła oderwać wzroku od fotografii. Tak, jej ojciec był bardzo przystojny, w taki prawdziwie biblijny sposób. Mogła łatwo zrozumieć, dlaczego jej matka tak się w nim zakochała. I ten przystojny mężczyzna był jej ojcem. Był dla niej obcy.

Myślisz, że będzie mu smakować? - denerwowała się Tamara, chodząc niespokojnie po pokoju. - Może je tylko koszerne?

- Będzie jadł - zapewniła ją Inge, nie podnosząc oczu znad igły.

- A jeśli nie przyjdzie? - spytała Tamara. Inge spojrzała zza okularów, poirytowana.

- Uspokój się - powiedziała ostro. - Zachowujesz się, jakbyś miała wskoczyć ze skóry.

Louis powiedział miękko;

- Spokojnie, księżniczko. Wyglądasz pięknie.

- Jak mogę się uspokoić? Czy masz pojęcie, kiedy go ostatnio widziałam? Inge mówi, że miałam cztery albo pięć lat. Gdyby nie zdjęcie w gazecie, nie wiedziałabym nawet, jak wygląda. Szkoda, że nie poszłam wysłuchać jego przemówienia. Byłoby teraz łatwiej.

- Wiesz, że to było niemożliwe - przypomniał Louis. - O.T. miał rację, że nie pozwolił ci pójść. Na pewno była prasa i ktoś z pewnością skojarzyłby was dwoje. Wytwórnia IA nie mogła sobie na to pozwolić. Przecież masz być córką rosyjskiego księcia, a nie uchodźcy walczącego o państwo Izrael. Jestem pewien, że twój ojciec to zrozumie.

Cała trójka podskoczyła, gdy zadzwonił telefon. Louis podniósł słuchawkę, powiedział coś cicho i odłożył.

- To przy bramie. Właśnie go wpuszczają.

Tamara przebiegła przez olbrzymi hol, gdzie wszystkie ściany wyłożone były lustrami, a na rzeźbionym, drewnianym stoliku stała wielka kamienna urna, wypełniona begoniami.

Dzwonek u drzwi zadzwonił tak nagle, że Tamara podskoczyła. Gdy usłyszała szybkie kroki pokojówki, zdenerwowała się i na paluszkach pobiegła z powrotem do salonu.

- Nie spodobam mu się! - Kręciła nerwowo obrączką na palcu. - Louie, nie powinnam go była tutaj zapraszać! To takie ostentacyjne!

- Teraz już za późno, żeby się o to martwić, myślę zresztą, że to wszystko jedno, gdzie się spotkacie.

Ścisnął ją za rękę. Spróbowała się uśmiechnąć.

Usłyszeli rozmowę dwóch osób, potem dotarł do nich dźwięk kroków Esperanzy - szybkich i równych, i innych - ciężkich i nierównomiernych, jakby ktoś kulał.

- Dziękuję, Esperanzo - zawołał Louis. - Możesz iść.

- Si, senior. - Służąca wtuliła brodę w piersi i odeszła. Louis przeszedł pokój długimi krokami, by powitać Szmarie

Boralevi.

- Jestem Louis Ziolko. - Wyciągnął do niego rękę. - Mąż Tamary.

Mężczyźni mocno uścisnęli sobie dłonie.

- Miło mi pana poznać - powiedział Szmaria po angielsku, ale z obcym akcentem.

Tamara stała jak wrośnięta w ziemię, z oczyma wbitymi w podłogę.

- Dalej - szepnęła Inge. - To twój ojciec! Idź do niego! Tamara nabrała powietrza i poczuła, że Inge lekko ją popycha. Wahając się, przeszła parę kroków i spojrzała w górę, gdy była w pół drogi. Zatrzymała się i patrzyła na niego, serce biło jej nierówno.

Spojrzała w oczy ojca i od razu wiedziała, co to za człowiek. Są mężczyźni, którzy pozostają chłopcami, tacy, którzy dorastają, i nieliczni, którzy uosabiają męskość i nieustępliwość. Szmaria Boralevi należał właśnie do tych nielicznych.

Inteligentne, jasnoniebieskie oczy były jednocześnie twarde i łagodne, a dzięki śladom blizn na twarzy nie był tak zwyczajnie przystojny. Gęste, kręcone włosy wyblakły w ciągu wielu lat spędzonych na słońcu. Wysokie kości policzkowe wyglądały jak wyrzeźbione przez zbuntowanego artystę, potężne ciało było muskularne. Miał gęste, złote rzęsy i zmysłowe usta, które łagodziły tę twarz twardego mężczyzny, jakim musiał być z konieczności.

Poczuła się przy nim od razu pewnie i bezpiecznie, jakby mógł powstrzymać całe zło świata.

Popatrzył na nią badawczo. W końcu pokiwał głową.

- Mój Boże, ależ ty jesteś piękna - powiedział głębokim, dźwięcznym głosem urodzonego mówcy. - Zupełnie jak twoja matka.

Uśmiechnęła się nerwowo i zmusiła do przejścia przez resztę pokoju. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak onieśmielona, nawet kiedy po raz pierwszy spotkała O.T. Skolnika.

- Cześć, tato - powiedziała, choć coś stanęło jej w gardle. Wyciągnęła do niego ręce, a on je przytrzymał. Wspięła się na palce i pocałowała go w oba policzki.

- Jak dobrze cię widzieć. Niech ci się przyjrzę. Zarumieniła się pod jego spojrzeniem i milczała.

- Nie było mi łatwo przyjść tutaj - powiedział, wciąż patrząc na nią, - Kiedy dostałem twój list, tak mi było wstyd, że cię zostawiłem, że postanowiłem nie przychodzić.

- A ja tak się denerwowałam - wyznała - że kiedy dostarczono ci list do hotelu, przez trzy dni nie wiedziałam, czy być tutaj, czy wyjechać i ukryć się. - Roześmiała się.

- Głupie, co?

- Nie, wręcz przeciwnie. Rozumiem to. - Głos mu się załamał ze wzruszenia.

- Nie powinienem był cię zostawić. - Oczy miał wilgotne.

- Ale przyszedłeś.

- Tak. I cieszę się. Uśmiechnęła się.

- Ja też.

Inge nadeszła powoli z salonu i przypatrywała się Szmarii przez okulary. Wciąż trzymał Tamarę za rękę.

- Dobrze pan wygląda - zauważyła miękko. - Czas jest dla pana łaskawy.

Puścił rękę Tamary i odwrócił się do Inge, marszcząc brwi i wyraźnie szukając w pamięci.

- Jestem Inge Meier - przypomniała mu, wyciągając rękę.

- Byłam nianią Daniłowów.

- A tak, pamiętam - powiedział, ujmując jej dłoń. - Tylko wyglądała pani inaczej.

- To było dwadzieścia lat temu. Byłam wtedy znacznie młodsza.

- I nie nosiła pani okularów. - Kiwnął głową. - Czy ten cały czas była pani z Tamarą?

Inge pokiwała głową.

- Myślałyśmy, że jesteśmy jedyną rodziną, jaką mamy. Razem uciekłyśmy z Rosji.

- A Senda? Dobrze się czuje? Oczy Ingi zasnuły się mgłą.

- Umarła, nim wyjechałyśmy z Europy.

Przez dłuższą chwilę stali w holu, czując się niezręcznie, przypatrując się sobie nawzajem. W końcu Louis klasnął w dłonie.

- Chodźmy do salonu - zaproponował. - Mamy dużo do opowiadania, a tam jest wygodniej.

Szmaria skinął głową i Tamara wzięła go pod rękę.

- To niezwykły dom - powiedział rozglądając się. Sam ten salon jest większy niż większość domów! Nie widziałem jeszcze czegoś takiego.

- My też nie - zażartowała Tamara niepewnie. Popatrzyła zatroskana. — Bardzo kulejesz.

- Straciłem nogę w Rosji. - Szmaria wzruszył ramionami. - Przyzwyczailem się.

- Och, jak mi przykro. Nie wiedziałam.

- To było bardzo dawno temu.

- Myślę, że trzeba uczcić taką okazję - oświadczył Louis, podchodząc do baru: - Szampana?

- Chętnie. - Szmaria ostrożnie usiadł na kanapie, a Tamara obok niego. Kryształowe kieliszki zadźwięczały gdzieś z tyłu, gdy Louis nalewał napoje.

- Gdy się urządziłem, napisałem wiele listów do ciebie i twojej matki, do Rosji - powiedział Szmaria Tamarze.

Zmarszczyła brwi.

- O ile wiem, nie dostałyśmy żadnego. Ale trudno się dziwić, biorąc pod uwagę to, co się działo. Byłam wtedy za mała, żeby coś pamiętać, ale z tego, co Inge mi opowiadała, w Rosji było bardzo niespokojnie. Wszystko się załamało... rząd, komunikacja, system pocztowy... wszystko. Okropnie dużo czasu zabrało nam dotarcie tutaj.

- Nie dlatego ich nie dostałyście - powiedział miękko. - Pisałem je, ale... nie wysłałem. Z jednej strony chciałem, ale z drugiej - nie. Byłem wtedy młody, butny, wszystko było dla mnie czarne lub białe. Wtedy, gdy zostawiłem twoją matkę i ciebie, miałem do niej pretensję i oskarżałem ją o wiele rzeczy, o które

prawdopodobnie nie miałem prawa jej oskarżać. - Wpatrzył się w nią intensywnie. - Jesteś bardzo do niej podobna, wiesz? Tylko jeszcze piękniejsza.

Tamara nagle odwróciła głowę.

- Przepraszam, nie chciałem się tak gapić. Dopóki nie dostałem twojego listu, nie miałem pojęcia, że wielka gwiazda filmowa Tamara to moja córka. - Uśmiechnął się przeproszająco. - Trochę potrwa, zanim się zdołam przyzwycząić.

Była zdumiona.

- Więc słyszałeś o mnie? Skinął głową.

- Jesteś znana nawet w Europie i Palestynie. We wszystkich dużych miastach są kina, a filmy amerykańskie są uznawane za najlepsze. Jednak w najśmielszych marzeniach nie przyszło mi do głowy, żeby skojarzyć tę gwiazdę filmową z moją córką. „Tamara” jest bardzo popularnym imieniem w Rosji. Pomyślałbym, że to absurdalny pomysł.

- Tak, wydawałoby się niemożliwe - zgodziła się Tamara. Louis wręczył wszystkim kieliszki.

- Wznoszę toast za stare znajomości, odnowione i te najnowsze.

- Chętnie za to wypiję - powiedziała Inge.

- Mazel tow! - dodał Szmaria. Tręcili się kieliszkami, kryształ zadźwięczał czysto.

- Wspaniałe. Nie słodkie, nie kwaśne... pyszne. Nieczęsto mam okazję pić szampana.

- To Dom Perignon - powiedział Louis - najlepszy. Na szczęście teraz, kiedy skończyła się prohibicja, znów go można kupić łatwiej i taniej.

- Jakby go to kiedyś powstrzymywało - zaśmiała się Tamara. Wyjaśniła Szmarii. - Nie uwierzyłbyś, jakie mieliśmy rachunki od naszego dostawcy alkoholu. Louis zawsze mówił, że po lekarzu to najważniejsza osoba w życiu.

W ciągu następnych godzin Tamara i Inge odpowiadały na pytania Szmarii dotyczące St. Petersburga, Niemiec i kina. Tamarę cieszyło zainteresowanie

ojca, więc opowiadała mu anegdoty. Pod tą imponującą powierzchownością Boralevi był wrażliwy i delikatny, bardzo ludzki. Nie mogła sobie wyobrazić, że to ten sam człowiek, który zostawił ją i matkę.

Jedli kolację na tarasie wielkości boiska, z widokiem na oświetlone Los Angeles. Siedząc na tym wzgórzu w ciepły wieczór, Szmarię miał wrażenie, że unosi się w przestrzeni. Przez cały posiłek trudno mu było oderwać oczy od córki. Błyszczące żółte płomyki świec w lampionie podkreślały jej czarowne rysy.

- Mówię cały czas o sobie - stwierdziła ożywiona Tamara, pochylając się w jego stronę. - Teraz ty musisz mi coś opowiedzieć. Jaki efekt miały twoje przemówienia? Chciałam posłuchać cię na żywo, ale było to niemożliwe. Więc chcę teraz o nich usłyszeć. Czy udało ci się zobaczyć z prezydentem, gdy byłeś w Waszyngtonie? — Utkwiła spojrzenie w ojcu, a jej oczy błyszczały w świetle świec niczym płynne srebro.

Potrząsnął głową.

- List, który chciałem wręczyć osobiście, musiałem dać pewnemu sympatyzującemu z nami biznesmenowi, który ma powiązania z Białym Domem. - Uśmiechnął się lekko. - Chciałbym podyskutować z prezydentem o naszych sprawach, ale... nie sądzę, żeby Żydzi byli teraz jego głównym problemem. Obawiam się, że nasza walka o niepodległość i wolność nie jest popierana ani uznana przez żaden rząd, z wyjątkiem Wielkiej Brytanii. A Brytania, niestety, traktuje nas bardziej jako kolonię niż kraj, który pragnie niepodległości. Brytania, nasz sojusznik, a jednocześnie największy wróg naszej wolności. Ironia losu, prawda? - Uśmiechnął się krzywo do Tamary. - Nie będę udawał, że nie rozczarował mnie prezydent Roosevelt. Spotkanie z nim mogłoby okazać się bardzo owocne. Ale nie możemy sobie pozwolić teraz na myślenie o tym, co by było gdyby....

Patrzyła na niego. Zamarła z łyżeczką w ręku.

- Nie rozumiem tego. Prezydent Roosevelt wydawał się popierać waszą sprawę. Ale jeśli nie można oczekiwać pomocy od niego, to kto jeszcze mógłby się tym zainteresować? Nie ma jeszcze jakichś innych źródeł, gdzie mógłbyś próbować?

Westchnął ciężko.

- Próbuję. Wierz mi, że próbuję. Dlatego tu jestem. Żeby pobudzić świadomość i zbierać fundusze. Ale nawet wielu Żydów uważa, że jestem za mało... jak to mówicie? Elastyczny? Wierzą, że wszystko można osiągnąć spokojnie i w aksamitnych rękawiczkach. - Smutno potrząsnął głową. - Tylko że w tym przypadku to nieprawda.

- A w Palestynie? Na pewno jesteś bohaterem wszystkich Żydów.

Machnął ręką.

- Obawiam się, że nie.

- Jak to możliwe? Po tym wszystkim, co usiłujesz zrobić?

- Ludzie, których reprezentuję, są mniejszością, nawet w Palestynie. Żydzi stanowią tam zaledwie jedną piątą ludności. Popiera mnie najwyżej jeden na dziesięciu, ale niewielu ma odwagę wystąpić publicznie, bo obawiają się represji Arabów albo tego, że Brytyjczycy użyją ich jako przynęty na mnie. - Uśmiechnął się. - Więc, jak widzisz, jest to bardzo skomplikowane.

- Ale udało ci się chyba zdobyć tutaj jakieś pieniądze i poparcie?

- Trochę, ale nie tyle, ile trzeba. Wszystkim podoba się idea stworzenia państwa żydowskiego, ale nikt nie chce bezpośrednio mieć do czynienia z tym, co jest niezbędne, czyli z naciskiem politycznym, pieniędzmi i bronią. - Dodał znużony: - Bez użycia siły nie powstało dotąd żadne państwo.

Tamara uśmiechnęła się.

- Więc naprawdę jesteś takim buntownikiem, jak piszą w gazetach?

Zaśmiał się.

- Jak w twoich filmach?

- No, coś w tym rodzaju. Westchnął.

- Żeby to było takie proste jak w kinie. Nienawidzę przemocy, ale tylko dzięki walce możemy przeżyć. Nie mówię, żeby iść i strzelać do Arabów, ale kiedy nas atakują, musimy móc się bronić. Nawet odpłacić. W dwudziestym dziewiątym roku była masakra Żydów. Nie możemy nigdy więcej do tego dopuścić.

- Ale co to znaczy, że jesteś poszukiwany? Czego ci Brytyjczycy od ciebie chcą? Przecież nie robisz nic złego?

- Według obowiązującego prawa brytyjskiego, tak - powiedział Szmara, uśmiechając się. - Jednak jestem przekonany, że mam do tego moralne prawo. - Widząc jej zdumione spojrzenie, dodał uspokajająco. - Wierz mi, wolę żyć w zgodzie ze swoim sumieniem, nawet jeśli wyznacza się cenę za moją głowę.

- Naprawdę? Wyznaczono cenę za twoją głowę? Zaśmiał się.

- Jeszcze nie, ale wkrótce może tak być.

Przy stole na chwilę zapanowała cisza, którą przerwał Louis.

- Ale wierzysz, że Palestyna ma szansę, żeby stać się państwem żydowskim?
- spytał nieco przyciszonym głosem.

- Że nie są to tylko jakieś mrzonki? Że to się naprawdę może stać?

- Musi - odparł Szmara poważnie. Bez tego Żydzi całego świata zginą. Sytuacja w Europie wskazuje, że musimy się nimi zająć. - Po chwili dodał ciszej. - Nim będzie za późno.

- Ale dlaczego? - spytała Inge. - Dlaczego teraz właśnie jest gorzej? Myślałam, że Żydzi zawsze mieli kłopoty.

Szmara popatrzył po kolei na każdego z nich.

- Chyba słyszeliście wszyscy o Adolfie Hitlerze?

- Charlie Chaplin - zaśmiała się Inge. - „Mały tramp"! On wygląda zupełnie jak Chaplin.

Louis i Tamara zaśmiali się wraz z nią.

- Nie śmieście się. - Szmara był poważny. - Nie ma nic śmiesznego w niemieckim fuhrerze. Może wam się wydawać śmieszny, ale lepiej by było,

gdyby ludzie na całym świecie traktowali go bardzo poważnie. Czy zdajecie sobie sprawę z tego, że ten człowiek może stanowić największe niebezpieczeństwo dwudziestego wieku?

- Ten kłown? - Inge popatrzyła na Szmarę. - Chyba sobie żartujesz!

- Mówię poważnie. Cały świat powinien zmienić o nim zdanie. Nie wolno go lekceważyć. Urząd objął w styczniu, a już teraz ma niemal absolutną władzę. Zdajecie sobie sprawę, co to znaczy? Kontroluje teraz w Niemczech wszystko.

- Oczy mu błyszczały. - Rozwiązał wszystkie partie opozycyjne. Zakazano strajków. Nawet religia i kultura są pod kontrolą rządu. A Żydzi znikają codziennie. Musimy się dowiedzieć, co się z nimi dzieje. Jeśli się go nie powstrzyma, nasz naród zginie.

Tamarę przeszedł dreszcz, jakby ktoś nożem przejechał jej po plecach. Głos jej drżał.

- On musi być szalony! - szepnęła.

- Nie sądzisz, że nadajesz mu zbyt wielkie znaczenie? - spytał Louis. - Widzisz megalomana w proporcjach, na jakie nie zasługuje.

- Nie - odpowiedział Szmaria zdecydowanie. - Uważam wręcz, że traktuję jego pogroźki jeszcze za mało poważnie. Z początku też nie chciałem wierzyć w to, co opowiadali imigranci z Niemiec, ale wszyscy mówili to samo. W Niemczech znikają całe żydowskie rodziny.

Louis milczał.

- Musicie przeczytać Mein Kampf, książkę Hitlera, w której przedstawia wszystkie swoje pomysły i urojenia - powiedział Szmaria. - Uważa, że rasa nordycka została powołana do tego, by oczyścić świat z Żydów. To jest najważniejszy powód do stworzenia państwa żydowskiego. Nasi ludzie będą wkrótce poszukiwać schronienia. Niemcy już nie są dla nich bezpieczne. Dzieją się tam jeszcze gorsze rzeczy niż kiedyś w Rosji. Hitler planuje ekspansję Niemiec, a wszędzie, gdzie tylko pojawią się naziści, Żydzi będą znikać. Świat czeka straszna wojna.

- Przerażasz mnie - szepnęła Tamara.

- I powinnaś się bać. Naprawdę, nie przesadzam. Hitler chce opanować świat i zniszczyć każdego, kto nie jest Nordykiem o niebieskich oczach i blond włosach. W każdym razie - Aryjczykiem.

- Ależ to... chore! Nikt tego nie może zrobić!

- Jeżeli ktoś może, to Hitler. I wierzcie mi, że będzie tego próbował.

Tamara nagle odsunęła się od stołu i wstała.

- Chłodno się zrobiło - powiedziała, rozcierając sobie ramiona. - Wejdźmy do środka napić się czegoś.

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, powiem dobranoc i wybiorę się spać - powiedziała Inge, patrząc na zegarek. - Już dawno na mnie pora. - Uśmiechnęła się do Szmarii i ujęła jego rękę. - Cieszę się, że przyszedłeś - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Jesteś miłym, odważnym człowiekiem. Senda cię kochała, wiesz. Wszystko, co robiła, to dlatego. Myślę, że gdyby żyła, byłaby z ciebie bardzo dumna.

- Ja też powinienem już iść - powiedział Szmara. - Jutro wracamy pociągiem do Nowego Jorku, a muszę się jeszcze spakować. - Zobaczył protest w oczach Tamary i uśmiechnął się. - Może mógłbym jeszcze chwilę zostać, ale nie chcę się narzucać.

- Zostań - uśmiechnęła się i ścisnęła go za ramię. - Wiesz, Inge miała rację.

Zdziwił się.

- W czym?

- Że jesteś bardzo miły. Ja też jestem z ciebie dumna. Był zażenowany, więc Louis spytał:

- Małą kawkę czy brandy?

- Brandy - odpowiedział prędko Szmara. - Tam, skąd przyjechałem, to rzadkość, więc użyję cywilizacji.

Louis nalał Napoleona w duże kieliszki i usiedli na białych, skórzanych fotelach ustawionych wokół ogromnego kominka z miedzianym okapem.

- Opowiedz mi o Palestynie - poprosiła Tamara, siadając blisko ognia. - Chcę zrozumieć, co w niej tak kochasz, że tyle chcesz zrobić i walczyć o nią, wszystko.

- Palestyna - powiedział miękko Szmaria, patrząc gdzieś w dal. - Tak, opowiem ci. To jest Ziemia Obiecana, a nawet więcej.

Tamara była oszołomiona, a i Louisa oczarowały opowieści Szmarii. Gdy mówił, siedzieli jak zahipnotyzowani, zapominając, gdzie są. Swymi słowami przeniósł ich o tysiące mil na wschód i w przeszłość; całe wieki od luksusowej posiadłości w Los Angeles do starożytnej ziemi Debory i Salomona, Jezobel i Eliasza.

- Nie miałam pojęcia, że to wszystko wciąż istnieje! - wykrzyknęła Tamara, gdy przestał mówić. - Myślałam zawsze, że piszą o tym w książkach historycznych i Biblii. A teraz jest takie realne.

- A więc zaczynasz rozumieć - powiedział Szmaria z satysfakcją, nim dalej ciągnął wysławianie swej przybranej ojczyzny.

Godziny mijały szybko i nagle zrobiło się tak późno, że musiał wyjść. Było grubo po północy.

- Obawiam się, że teraz naprawdę już muszę jechać. Zadzwoń tylko po taksówkę.

- Nie - powiedziała stanowczo Tamara. - Louis i ja odwieziemy cię do hotelu.

- Ale musisz być już zmęczona. Na pewno wcześniej wstajesz.

- Słuchaj, on ma rację - powiedział Louis. - Jutro o wpół do siódmej meldujesz się do charakteryzacji, co znaczy, że będziesz miała tylko cztery i pół godziny snu. Wiesz, że kamera wyłapie twoje podpuchnięte z niewyspania oczy. Ja muszę być na planie dopiero o ósmej. Ty idź spać, a ja zawiozę Szmarie do miasta. Tamara zawahała się.

- Proszę - powiedział Szmaria i uśmiechnął się lekko. - Lepiej się wtedy poczuje.

Po chwili zgodziła się.

- W takim przypadku nie mogę odmówić.

- Dobra - uśmiechnął się Szmara, a Tamara zdała sobie sprawę z tego, że po raz pierwszy jako dorosła kobieta miała okazję posłuchać ojca.

- Pójdę po samochód - powiedział Louis, kierując się do holu. - Kiedy zatrąbię, spotkamy się przed domem.

Kiedy zniknął, Tamara zwróciła się do ojca.

- Cieszę się, że się odnaleźliśmy po tylu latach - powiedziała ciepło. Spojrzała mu w oczy. - Żałuję tylko, że nie spędziliśmy razem więcej czasu.

- Ja też - odpowiedział. - Widzisz, jak łatwo człowiek robi się zachłanny. Powinienem być wdzięczny. Po tym, jak zostawiłem twoją matkę i ciebie, nie zasługuję na takie szczęście, żeby odnaleźć córkę.

- Jestem pewna, że to nie była wyłącznie twoja wina. Niemożliwe.

- Możliwe. Byłem wtedy zapalonym głupcem, gotowym zmieniać świat.

- Wciąż jesteś do tego gotów - zauważyła, ale nie roześmiał się.

- Czasem aż nie mogę uwierzyć, że tak się to wszystko ułożyło. Życie wcale nie jest takie złe.

- Nie ma sensu, żebyś się wciąż biczował za coś, co wydarzyło się tak dawno temu - powiedziała łagodnie. - Jesteś wspaniałym człowiekiem, nie marzyłam nawet o takim ojcu.

W jego oczach pojawiło się zdumienie.

- Zwróciłeś mi uwagę na to, jak samolubne życie prowadzę. Ty robisz tyle dla naszych ludzi, dla świata, a ja przez cały czas myślę tylko o sobie. Wstyd mi. Nie przypuszczałam, że wywrze to na mnie takie wrażenie. Żyjesz dla innych, a ja...

- Ty grasz w filmach. Przynosisz radość ludziom na całym świecie. To też jest cenne.

- Nie pocieszaj mnie. To nie to samo.... Wiem, że nie mogę wiele zrobić dla sprawy, o którą walczysz. Widzisz, mam związane ręce. O.T., szef wytwórni,

dostałby szalu, gdybym zabrała głos w sprawach politycznych. - Zaśmiała się, ale na jej twarzy nie było uśmiechu, tylko grymas. - Mój kontrakt zabrania mi publicznego pokazywania się i przemawiania w okolicznościach innych, niż przewiduje wytwórnia. I mówią, co mi wolno powiedzieć, a czego nie. Myślą, że jestem niemowlęciem. - Westchnęła. - Chciałabym jakoś pomóc, ale... na razie weź to.

Włożyła mu w dłoń różowy kawałek papieru.

- Co to jest?

- Och, taki drobiazg - machnęła ręką - żeby ci się ta cała wyprawa opłaciła. Wiem, że pieniądze nie zastąpią osobistego zaangażowania, ale widocznie są konieczne, skoro przyjechałeś zbierać fundusze.

- Nie musisz tego robić - powiedział cicho.

- Muszę. To jedyny sposób, w jaki mogę pomóc. Weź to, proszę - nalegała. - Nie ma żadnych preferencji. Wydaj, na co uważasz. Nie wiedziałam, jakie wpisać nazwisko, więc zostawiłem puste miejsce.

Powoli rozwinął czek i przeczytał.

- Dwadzieścia tysięcy dolarów! - Potrząsnął głową. - Nie ma mowy. Nie mogę tego przyjąć!

- Nie oczekuję tego! - Popatrzyła mu w oczy. - Nie daję tych pieniędzy dla ciebie, tylko dla sprawy, żeby pomóc w walce o państwo żydowskie. - Zacisnęła jego palce na czeku. - Przestań się tym martwić i przyjmij ten czek w takim duchu, w jakim ci go dałam.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że to największy datek, jaki dostaliśmy w trakcie całej tej wyprawy? Jesteś pewna, że cię na to stać?

- Rozejrzyj się dokoła - powiedziała lekko. - Jak to wszystko wygląda?

Cieszyła się, że nie odpowiedział. Te dwadzieścia tysięcy to było wszystko, co przez ostatnie pięć lat udało się jej zachować z astronomicznych honorariów, które znikaly, ledwo je dostawała. To był jej sekretny fundusz. Smętna resztką, jeśli weźmie się pod uwagę, że zarobiła ćwierć miliona dolarów.

Usłyszeli, jak Louis zatrafił, więc Szmaria pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Mówiłem ci, że masz bardzo miłego męża?

- Nie, ale nie musiałeś. Wiem o tym.

- Powiedz Inge, że miło było ją znów zobaczyć. Skinęła głową.

- Będę do ciebie często pisać.

- Niech cię poczta nie zadziwi. W Palestynie listy przesyłają z rzadka i idą długo - ostrzegł. - Czasami giną.

- Więc będę musiała przyjechać.

- Bardzo bym się ucieszył. Jeżeli przedtem napiszesz, a nie dostaniesz odpowiedzi, nie przejmuj się. Przyjeżdżaj i zatrzymaj się w Hotelu Rehot Dan w Tel Awiwie. Zarejestruj się pod nazwiskiem Sara Bernhardt.

- Sara Bernhardt! - zaśmiała się. - Chyba żartujesz!

Uśmiechnął się lekko.

- Będzie to nasz prywatny szyfr i nikt się nie domysli, że to wiadomość dla mnie. - Przygładził włosy. - Sara Bernhardt będzie naszym hasłem.

- Sara Bernhardt - potwierdziła poważnie.

- A kiedy się wprowadzisz, umieść ogłoszenie w gazetach w dziale „osobiste”, takiej treści: „Zgubiono paszport amerykański. Okolice Jerycho. Kontakt: Biuro Pielgrzymek Ziemia Święta”. Nic więcej. Czekać w hotelu, aż ktoś się z tobą skontaktuje. Bądź cierpliwa, bo może to potrwać kilka dni. Albo ja, albo ktoś z moich ludzi skontaktuje się z tobą.

- Brzmi to tajemniczo, prawie jak w szpiegowskim filmie. Jesteś pewien, że cały ten kamuflaż jest konieczny?

- Uwierz mi, to niezbędne.

- Zgubiono paszport amerykański. Okolice Jerycho - powtórzyła. Kontakt: Biuro Pielgrzymek Ziemia Święta. Zapamiętam.

- Dobrze, ale to wszystko jest napisane na kartce z adresem, którą ci zostawiłem.

Louis znów zatrąbił i Szmaria objął ją po raz ostatni, otaczając ciepłem ojcowskich ramion.

- Zobaczysz - obiecała z przekonaniem. - Odwiedzę cię w Palestynie. Może wcześniej, niż myślisz.

To señor Harriman, senora - zameldowała Esperanza od drzwi. - Pan z banku.

- No, to nie stój tak - powiedziała rozdrażniona Tamara - tylko go wpuść.

Esperanza zmierzyła ją ponurym wzrokiem.

- Si senora - powiedziała zrezygnowana i poczłapała z powrotem, wprowadziła Clifforda Harrimana do pokoju i zamknęła za nim drzwi.

- Pani Tamaro - powiedział Harriman, podchodząc do niej przez gruby, biały dywan. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

- Ależ skąd, panie Harriman. Miło pana widzieć - skłamała gładko, wyciągając do niego rękę. Jego dłoń była koścista i krucha. Miała wrażenie, że gdyby nieco mocniej ją ścisnęła, usłyszałyby gruchotanie kości. — Proszę, może pan siądzie. Czy mogę panu zaproponować coś do picia?

- Nie, nie, to nie jest konieczne. - Harriman potrząsnął głową, aż zadrżała mu grdyka. Tamara pomyślała, że wygląda jak wyjątkowo kościsty, oskubany i stary indyk. Nawet jego rzadkie białe włosy wyglądały jak resztki pierza. Jednak żaden indyk nie ubiera się w tak nienagannie skrojony szary garnitur z białą koszulą, kamizelką, ciemnym krawatem i najwidoczniej odziedziczonym, zabytkowym, złotym zegarkiem.

- Chciał się pan ze mną zobaczyć - powiedziała Tamara, siadając naprzeciwko niego. Siedziała wyprostowana, z rękami na kolanach, nie dając po sobie poznać, co ją gnębiło. Od dwóch dni, kiedy zadzwonił z prośbą o spotkanie, czuła, że coś jest nie w porządku. Dlaczego bankier chciałby z nią rozmawiać - tylko z nią? Rzadko kiedy miała z nim do czynienia. - Zwykle mój mąż zajmuje się naszymi finansami i właściwie to z nim powinien pan rozmawiać.

Harriman pokiwał smutno głową.

- Współpracuję z panem Ziolką od paru lat, ale uważam, że dla własnego dobra powinna pani osobiście zainteresować się swymi finansami. Nie jest tajemnicą, że pani dochody są znacznie większe, więc ma pani więcej do stracenia.

Patrzyła na niego zmieszana. Miał tik lewego oka i jego prawie przezroczysta powieka poruszała się jak skrzydło ptaka.

- Słucham? - powiedziała ostrożnie.

Harriman nie był osobnikiem, który międli słowa, na próżno. Chrząknął dyskretnie i przystąpił do rzeczy.

- My, to znaczy New West Bank, bardzo martwimy się pani dochodami, a raczej ich brakiem. Od końca ubiegłego roku na każdym konczie pani, a także pani męża, jest stale debet. Muszę również z bólem powiedzieć, że już drugi miesiąc z rzędu... państwa dług na hipotece... - znów chrząknął - nie został w pełni pokryty.

Popatrzyła na niego.

- To znaczy... że... czeki... Skinął głową.

- Myśmy je pokryli, ale nie zostały one przez państwa zapłacone.

- Nie miałam pojęcia - powiedziała, nerwowo sięgając do kryształowej szkatułki po papierosa.

Wzięła w drżące dłonie srebrną zapalniczkę i głęboko zaciągnęła się dymem. To prawda, dawno temu pozwoliła Louisowi zająć się ich wspólnymi finansami i chociaż ciągle brakowało im gotówki i żyli z dnia na dzień, nie miała pojęcia, że było aż tak źle. Może Harriman ma rację. Może czas, żeby się tym zainteresowała.

- Panie Harriman - powiedziała cicho - proszę mnie nie oszczędzać. Będę bardzo wdzięczna, jeśli pan wyłoży karty na stół.

Spojrzał na nią z szacunkiem.

- Bardzo dobrze, będę szczery - powiedział, a ona nastawiła się na najgorsze.
- Co miesiąc macie państwo dług trochę powyżej dwóch tysięcy dolarów. Według stanu na dzień wczorajszy byli państwo winni bankowi ponad sześćdziesiąt tysięcy dolarów. To obejmuje również pożyczki, ale nie zadłużenia z konta.

- Tak dużo! - wykrzyknęła.

- Tak dużo - potwierdził - a ponadto każdego dnia narastają odsetki.

- Ale jak to się mogło stać?

- Mam nadzieję, że nie uzna pani tego za zbyt dużą śmiałość, ale ma pani kosztowne gusta. Przez całe lata żyli państwo powyżej swych możliwości.

- Co pan radzi zrobić?

- Może, gdyby pani... - chrząknął delikatnie - nie wiem, jak to pani powiedzieć. Proszę mi wierzyć, że jest to dla mnie w najwyższym stopniu nieprzyjemne...

Uniosła głowę.

- Proszę mi wszystko powiedzieć.

- Pani główny problem wynika z upoważnienia notarialnego, jakie dała pani małżonkowi.

- Upoważnienie? Jakie upoważnienie? - szukała w pamięci. Olśniło ją. - Ależ to było kilka lat temu!

- Tak, ale jest wciąż aktualne. Gdyby jednak pani je wycofała, miałyby pani lepszą kontrolę swych dochodów, które są całkiem... spore.

- Ale jak to może pomóc? Chyba najlepszym wyjściem będzie po prostu drastyczne ograniczenie wydatków.

- Więc pani nie przeglądała swoich miesięcznych zestawień bankowych?

- Nniee... - powiedziała ostrożnie. - Mój mąż robił to wszystko. A powinnam?

Sięgnął po teczkę, położył na kolanach i otworzył. Wziął cienki plik spiętych dokumentów.

- Gdyby pani zechciała to przejrzeć. Po lewej stronie znajduje się numer czeku, dalej data wystawienia, potem nazwisko adresata i suma. Wszystkie czeki zostały zapłacone z pani bieżącego konta, z podpisem pani męża, co jest zupełnie legalne, gdyż on ma pani upoważnienie.

Podał jej dokumenty, a ona szybko przebiegła je wzrokiem. Setki dolarów, czasem tysiące, były przelewane wciąż na to samo konto.

- Nie... nie rozumiem. Mógłby mi pan to wyjaśnić? Skinął głową.

- Wszystkie były wystawione na Persiani Enterprises.

- Tak, widzę, ale co to jest Persiani Enterprises?

- Więc pani nie wie.

- Czego nie wiem? Proszę mi wyjaśnić.

- Persiani Enterprises to tutejsza firma budowlana, której właścicielem jest niejaki Carmine Persiani. Przybył do tego miasta z Nowego Jorku jakieś piętnaście lat temu.

- To muszą być jeszcze opłaty związane z budową tego domu.

- Nie. Widzę, że pani nic nie rozumie. Persiani Enterprises to znana przykrywka. Oczywiście, firma budowlana istnieje, nie ma wątpliwości, ale nie tam Carmine Persiani zarabia pieniądze. Firma służy tylko ukryciu nielegalnie zdobytych funduszy.

- Słucham?

- Mówiąc wprost, Persiani to podejrzany typ, prawdopodobnie należy do podziemia gospodarczego. Mówią, że prowadzi cały nielegalny hazard w mieście.

Patrzył, jak krew odpływa z jej twarzy.

- Hazard? Nie rozumiem. Louie się nie hazarduje.

- Więc jak pani wytłumaczy te czeki? - spytał cicho. Była zupełnie zdruzgotana.

Louis jest hazardzistą. Bez jej wiedzy przepuszczał wspólne ciężko zarobione pieniądze, pograżając ich coraz bardziej w długach. Ale kiedy? I gdzie?

Spróbowała zebrać siły i rozciągnąć usta w sztucznym uśmiechu. Wstała wystudiowanym, płynnym ruchem.

- Jestem panu wdzięczna za poinformowanie mnie, panie Harriman - powiedziała z godnością. - Rozumiem, że nie było to dla pana łatwe. - Wyciągnęła do niego rękę. - Jeżeli jeszcze coś...

Opuścił oczy.

- Jest jedna sprawa.... Siostra mojej żony... - wyjaśniał zawstydzony - przyjechała do nas z Pittsburga. Jest tu po raz pierwszy i pytała... czy znam jakieś gwiazdy filmowe. Czy mógłbym... prosić... o zdjęcie z autografem?

To było coś, do czego Tamara była przyzwyczajona. Przyzdobiła twarz w olśniewający uśmiech.

- Oczywiście, każę panu przesłać do banku zaraz rano.

- Na imię jej Charlotte. Gdyby pani mogła... napisać coś... dla Charlotte.

- Na pewno. Esperanza pana wyprowadzi.

Gdy tylko wyszedł, opadła na kanapę, oparła głowę na poduszkach i wpatrywała się w szklany sufit. Drżała, czuła się fizycznie i psychicznie osłabiona. Wiedziała, że nie ma innego wyjścia, tylko musi porozmawiać z Louisem na temat hazardu. Muszą coś z tym zrobić. Bóg jeden wie, gdzie jeszcze ma długi. Nie było żadnego powodu, żeby wciąż mieli kłopotu finansowe. Żadnego.

Przymknęła oczy. Żeby chociaż można było uniknąć nieprzyjemnej sceny, jaka się rozegra w związku z tym wszystkim. Ale nie można odkładać tej sprawy. Czy jej się podoba czy nie, musi ją podjąć.

Westchnęła ciężko.

Dlaczego, do licha, nie interesowała się ich finansami? Kiedy on miał czas na hazard? A przede wszystkim, dlaczego była tak ślepa?

Tyle pytań czekało odpowiedzi. Och, Louie, Louie, błagała w myśli. Udowodnij mi, że Clifford Harriman nie ma racji. Jednak zbyt wiele wskazywało na to, że jego podejrzenia są słuszne.

- Senora.

Tamara, zaskoczona, otworzyła oczy i spojrzała na stojącą znów w drzwiach Esperanzę. Poczła irracjonalną niechęć. Ta kobieta miała zdumiewającą zdolność przemykania się bez najmniejszego hałasu.

- Co znowu, Esperanza? - spytała znużona.

- Miss Rice. Ona tu z panią widzieć. Tamara siadła jak porażona prądem.

- O Boże! - wykrzyknęła, klepiąc się dłonią w czoło.

Zmartwiona wizytą Clifforda Harrimana, zapomniała zupełnie, że Marilee Rice, postrach gwiazd, ta sama, która napisała parę lat temu złośliwy artykuł o ich domu dla „Screen Story”, umówiona była tego popołudnia na wywiad przy herbacie. Nie miała nastroju, żeby stawić czoło Marilee. Na pewno nie teraz.

Jednak odwołanie wywiadu natychmiast wywołałoby plotki, a te zupełnie nie były jej potrzebne. Marilee Rice stała się znaczącą osobistością życia publicznego. Prócz tego, że przez ostatnich kilka lat jej artykuły pojawiały się w gazetach i magazynach w całym kraju, prowadziła też własny program w radiu. Badania opinii wskazywały, że tyle samo słuchaczy nastawiało radio na jej „Opowieści Hollywood”, co na „Rozmowy przy ognisku” Roosevelta. Marilee Rice była osobą, z którą należało się liczyć. Tamara nie mogła się wykręcić od tego wywiadu. I będzie musiała być bardzo czujna - plotka jest potężną bronią. Marilee jak rekin, wyczuwając krew, rzucała się na ofiarę.

- Daj mi minutkę - powiedziała do Esperanzy - a potem ją wprowadź.

Kochanie! - rozległ się wysoki, szczebiotliwy głos. Kobieta, do której należał, wkroczyła majestatycznie, głośno cmokając w okolicach policzków Tamary. - Doprawdy, wspaniale dzisiaj wyglądasz - mruzczała Marilee, podkreślając dzień dzisiejszy. Cofnęła się i uśmiechnęła, ukazując dwa rzędkie ostre rekinich ząbków.

Tamara przygotowała się do walki. Nienawidziła wywiadów. Nienawidziła Marilee. Ostrożnie! - ostrzegła się sama. Uspokój się i nie daj złapać na przynętę. Nic więcej, tylko takie babskie „tiu-tiu-tiu”.

- Ty też wyglądasz doskonale! - skłamała gładko, prowadząc gościa pod ramię na słoneczny taras.

Prawdę mówiąc, nie było możliwości, żeby Marilee mogła doskonale wyglądać. Miała figurę jak na rysunku dziecka: prostokąt, bez żadnych wcięć i wypukłości. Świetnie uszyta jedwabna sukienka w powiększone fiołki afrykańskie wisiała na niej jak na strachu na wróble. Była jednak ubrana starannie: na chudych stopach miała doskonale dobrane pantofle, a na głowie jeden ze swych słynnych kapeluszy. Twarz miała równie nieatrakcyjną - raczej męską, z długim, prostym nosem i wydatną szczęką. W ramach upiększania powieki pomalowała na fioletowo, a usta i paznokcie błyszczały jaskrawo. Wbrew oczekiwaniu, głos Marilee nie był męski, lecz wysoki, kobiecy, z przeciąganymi samogłoskami, specjalnością wykształconych pań z Południa.

Jej jasne oczka były sprytne i czujne, przewiercały rozmówcę na wylot.

Tamara przeprowadziła ją obok olbrzymiego basenu w kształcie pięcioramiennej gwiazdy do dwóch leżaków ustawionych pod niebieskim parasolem.

- Czy to nie bankier Clifford Harriman właśnie stąd odjechał? - spytała Marilee słodkim, niewinnym głosikiem.

Niech diabli wezmą tę babę.

- Tak — powiedziała Tamara - to był pan Harriman. Wyobraź sobie, że zadał sobie trud, żeby tu przyjechać z jakąś radą. Taki miły człowiek, prawda?

- To chyba na temat oszczędzania pieniędzy - zauważyła Marilee - bo ani Louis, ani ty nie potrzebujecie rad, jak je wydawać.

Tamara wiedziała, że w tym momencie należy się rozkosznie roześmiać.

- Tobie wybacza się najdziwniejsze teksty, Marilee.

- To dlatego, że wszyscy się mnie boją. - Marilee siadła, zdjęła buty i zaczęła grzebać w torbie w poszukiwaniu notesu i ołówka. Uniosła brwi. - A ty się mnie boisz, kochanie?

- spytała, wpatrując się w Tamare.

- Nie, nie boję się - odpowiedziała w zamyśleniu Tamara. -Ale cię szanuję.

- To często to samo. Ale, zanim zaczniemy... wiesz, że mój program radiowy bardzo się podoba?

Tamara przytaknęła.

- Czytałam gdzieś, że nawet prezydent go słucha.

- Och, takie plotki. - Marilee machnęła lekceważąco ręką.

- Nie posunęłabym się tak daleko, ale rzeczywiście jest popularny, z czego bardzo się cieszę. Jednak w słuchaniu znanej gwiazdy jest więcej magii niż w czytaniu o niej. W zeszłym tygodniu gościłam Elbę Canchester, a dwa tygodnie temu - Ruby Keeler. Nawet stepowała przed mikrofonem. Wielki sukces.

- Tak, tę słyszałam.

- To jest oczywiście na żywo, więc są pewne trudności organizacyjne. W każdym razie - Marilee rozpromieniła się - chciałabym w przyszłym tygodniu zaprosić ciebie, moja droga. Co ty na to?

- Mnie? - Tamara była zdumiona. - Musiałabym, oczywiście, spytać O.T., ale jeśli się zgodzi...

- Och, zgadza się, już go pytałam.

- Nic mi nie mówił.

Marilee była zachwycona; że ma przewagę. Spoważniała.

- Zgadza się ze mną, że czas już, aby kraj usłyszał wreszcie ciebie prawdziwą. To właściwie on do mnie zadzwonił w tej sprawie.

Tamara zamyśliła się.

- Co naprawdę chcesz mi powiedzieć?

- Kto, ja? - powiedziała niewinnie Marilee, kładąc rękę na sercu.

Esperanza przyczłapała do nich i stanęła obok parasola. Popatrzyła na Tamarę.

- Chcesz coś wypić? - spytała Tamara. - Ja piję mrożoną herbatę bez cukru.

Marilee wykrzywiła się.

- Jak możesz to pić? Ja bym chętnie wypić koktajl „mint julep”. To znaczy, jeżeli masz składniki.

- Oczywiście. A Roberto przyrządza genialne drinki. Tamara uśmiechnęła się do pokojówki.

- Esperanza, bądź uprzejma przynieść dla pani koktajl „mint julep”. A dla mnie mrożoną herbatę z cytryną na brzegu, jak zwykle.

- Si, senora - kiwnęła głową Esperanza. - Przyniosę niedługo. Senora?

- Słucham?

- Señor, on wrócić. Chce pani widzieć.

Tamara na moment przymknęła oczy. Najpierw musiała spotkać się z bankierem, później z Marilee, a teraz z Louisem. Sprzysięgli się chyba przeciwko niej. Uśmiechnęła się przepaszająco.

- Pójdę zobaczyć, czego Louis chce. Przepraszam cię bardzo. Wrócę za momencik.

- Nie śpiesz się - powiedziała Marilee wielkodusznie. - Mam czas. Zarezerwowałam na ciebie całe popołudnie.

Tamarze udało się nie okazać, co naprawdę czuje i pośpieszyła w głąb domu. Znalazła Louisa przed garażami, stojącego ze skrzyżowanymi rękami, uśmiechniętego tajemniczo, W dłoni trzymał pęk kluczyków. Powoli odwrócił głowę. Spojrzała w tym samym kierunku i krzyknęła ze zdumienia.

Na podjeździe stał nowy samochód - olbrzymi biały Packard, kabriolet o pięknej linii, wewnątrz wyłożony brązową, cielejącą skórą. Przewiązany był szeroką, białą, atlasową wstążką.

- Co to jest? - szepnęła Tamara.

- Prezent - powiedział Louis, uśmiechając się szeroko. Poczwała uniesienie.

- Oscar! - wykrzyknęła podskakując. - Nic nie mów! „Ogień i krew” został nominowany.

Wziął ją w ramiona i zakręcił nią w powietrzu.

- Mówią, że do trzech razy sztuka, księżniczko! Właśnie się dowiedziałem.

Postawił ją i wręczył kluczyki.

- Louie... - Odsunęła się od niego i zmarszczyła brwi. Spojrzał dziwnie.

- Nie podoba ci się samochód?

- Nie, nie, oczywiście, że podoba. Cudo!

- Więc o co chodzi? Spojrzała na niego błagalnie.

- Proszę, Louie, spróbuj zrozumieć. Nie czas teraz kupować nowy samochód.

- Taki sam dobry jak każdy inny. Poza tym, jak pamiętasz, mamy taką tradycję. Po każdej nominacji dostajesz kabriolet. A jak zdobędziesz Oscara, dostaniesz nowiutkiego Rollsa.

- Louie...

Coś w jej głosie go powstrzymało i jego uśmiech zgasł. Był wyraźnie rozczarowany, więc pieszczotliwie dotknęła jego policzka.

- To nie dlatego, że tego nie doceniam, Louie - powiedziała miękko. - Tylko... musimy się ograniczać. Właśnie się dowiedziałam, że nie ma innego wyjścia.

- Czego się dowiedziałas? - spytał bezbarwnym tonem. Widziała, że zaczyna być zły. Zawsze to poznawała, miał wtedy taki kamienny wyraz twarzy.

- Nie mogę teraz o tym rozmawiać, Marilee przeprowadza ze mną wywiad i muszę do niej wrócić. Potem porozmawiamy. Przy kolacji.

- Jesteś pewna, że go nie chcesz?

Przejechała palcami po zgrabnej karoserii. Metal był ciepły od słońca. Jak taka kupka złomu może kusić, pomyślała. Cofnęła rękę i rzuciła kluczyki Louisowi. Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie możemy - powiedziała cicho. - Zrozum. - Spróbowała się słabo uśmiechnąć. - Jestem ci wdzięczna, bo pamiętałeś, żeby go kupić. Ale nie możemy go zatrzymać.

Odwrócił się, ale ujęła go za ramię, żeby musiał na nią spojrzeć.

- Liczy się intencja, Louie. A teraz, proszę, zabierz go. - Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek, ale nie zmienił wyrazu twarzy.

- Jak chcesz - powiedział przez zaciśnięte zęby i rzucił kluczyki na siedzenie.

Tamara wzięła głęboki oddech.

- Wiem, że jesteś na mnie zły, ale gdyby okoliczności tego nie nakazywały, nie prosiłabym o to.

- Oczywiście, zawiozę go z powrotem. A co tam! - Zaczął odwiązywać wstążkę z samochodu. - Moja żona każe mi skakać, to skaczę.

Stała bez słowa, patrząc i nienawidząc siebie za to, że tak zepsuła mu przyjemność. Tak lubił dawać jej prezenty. Ale naprawdę nie było ich teraz stać na nowy samochód. Nie po tym, co jej powiedział Clifford Harriman. Chciała jeszcze coś powiedzieć, żeby ułagodzić gniew Louisa, ale nie było teraz na to czasu. Wieczorem wszystko się wyjaśni.

Weszła do domu i założyła ciemne okulary. Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyślała. Jakoś się osłoni, w końcu Marilee nie miała w oczach aparatu rentgenowskiego.

Wracając na taras usłyszała trzaśnięcie drzwiczek i pisk opon. Samochód wracał do salonu sprzedaży. Przez moment stała w cieniu lodzii, wdychając głęboko powietrze. Napęlić płuca i powoli wypuścić. Raz... dwa... trzy... Już. Udało jej się przybrać wyraz beztroski. Nieszczęsna scena była już poza nią. Mogła znów stawić czoło Marilee.

- W domu wszystko w porządku? - spytała dziennikarka Tamare, gdy ta usiadła.

- Tak, świetnie.

- Esperanza przyniosła nam napoje. Twój jest tu, koło leżaka. To całkiem miła dziewczyna, jak się przebić przez tę jej bierność. Porozmawialiśmy sobie miło.

Oho, pomyślała Tamara, a instynkt nakazał ostrożność.

- Dowiedziałas się czegoś ciekawego?

- Nie tyle, ile chciałabym - uśmiechnęła się Marilee.

Tamara sięgnęła po swoją szklankę i łyknęła. Herbata była zbyt mocna i zbyt gorzka, ale opanowała skrzywienie.

- Grasz ze mną, Marilee - powiedziała leniwym tonem, odstawiając szklankę.

- Dlaczego nie powiedziałaś nic o mojej nominacji?

- Słyszałaś?

- Louie właśnie mi powiedział - uśmiechnęła się słodko. - To dlatego chciałaś, żebym wystąpiła w twoim programie. Jako kandydatka do Oscara.

- No, tak - przyznała. - Ale mówiąc dokładniej, to dlatego O.T; chce, żebyś wystąpiła. Jest to doskonały sposób na reklamę filmu. A teraz... - Sprawdziła notatki, ustawiła swój zatruty ołówek i popatrzyła Tamarze wprost w oczy.

- „Ogień i krew” jest twoim pierwszym barwnym filmem. Jak ci się podobało, gdy zobaczyłaś się w kolorze po raz pierwszy?

Pytania następowały jedno po drugim:

- Wiem, że wszystkie twoje filmy reżyseruje mąż, ale gdyby go tu nie było, kogo byś wybrała?...

- Zawsze ubierasz się na biało lub w pastelowe kolory. Czy to twój własny styl, czy wytwórnia zdecydowała za ciebie?...

- Kogo wolisz całować, Clarka Gable czy Errola Flyn-na?...

- Czy uważasz, że Roosevelt dobrze rządzi tym krajem? Tamara słuchała i odpowiadała tak szczerze, jak pytania na to pozwalały. Obejmowały zakres od filmów do polityki w dziedzinie, w której O.T. ją od czasu do czasu podkszałcał, żeby reprezentowała bardzo umiarkowane poglądy, starając się nie zrażać do siebie zbyt wielu wielbicieli. Pytania płynęły nieprzerwanie i

kiedy Esperanza przyczłapała do nich tym swoim charakterystycznym, niespiesznym krokiem, Tamara wdzięczna była za przerwę.

Twarz Esperanzy była nieprzenikniona, jak zawsze.

— Tu policjant do pani, senora.

- Policjant? - Tamara zsunęła okulary przeciwsłoneczne i zmarszczyła brwi. - Powiedział, czego chce?

- Nie, senora - Esperanza wzruszyła ramionami. - Nic mi nie mówi.

- Lepiej pójdę do niego i dowiem się - powiedziała Tamara do Marilee. - Przepraszam, chyba jesteśmy dziś skazane na ciągłe przeszkody. Zaraz wrócę.

Marilee kiwnęła głową i patrzyła, jak Tamara spiesznie odchodzi. Chciała z powrotem usiąść, ale instynkt reporterski kazał jej wstać i dyskretnie iść za nią w pewnej odległości.

Tamara podeszła do przystojnego policjanta w mundurze, z granatową czapką w ręku.

- Pan chciał się ze mną widzieć?

- Tak jest. Jestem oficer West z Oddziału Policji w Los Angeles. Czy pani jest właścicielką białego Packarda, kabrioletu?

Serce zaczęło jej walić jak młotem, ale zmusiła się do spokoju.

- Nie... to znaczy... tak, chyba tak... Mąż właśnie mi go dzisiaj kupił, ale ja nie chciałam. Pojechał go oddać.

Twarz miał wciąż zwróconą w jej stronę, ale nie patrzył jej w oczy.

- Obawiam się, że miał wypadek. Złapała go za ramię.

- Nie! To niemożliwe!

- Przykro mi, proszę pani. Zgodnie z raportem naocznego świadka tuż przed zakrętem dał się słyszeć huk i kierowca stracił panowanie nad samochodem. Przerzuciło go na drugą stronę i... stoczył się do kanionu.

- Nie żyje! - krzyknęła, z oczami pełnymi strachu. - O, mój Boże! Nie żyje! - zatkała uszy rękami i krzyknęła.

Świat zaczął się rozsypywać, wymykać spod kontroli i rozpryskiwać na drobne kawałeczki. Wzniosła oczy w górę, zamrugła i zemdląła. Nim oficer West schwycił ją i ułożył na ziemi, Marilee Rice popędziła do swego samochodu. Umiała wykorzystać sensację.

Pogrzeb Louisa był wytworny. O.T. oddał do dyspozycji Tamary swoją limuzynę z szoferem i towarzyszył jej wraz z Inge do synagogi.

Po przybyciu na miejsce przeżyli szok. Chorobliwie ciekawscy gapie ustawili się po obu stronach ulicy, za barykadami w pośpiechu wzniesionymi przez policję. Zjawili się dziennikarze wraz z setkami wielbicieli, aby choć przez moment przyjrzeć się hollywoodzkim znakomitościom, żegnającym zmarłego. Atmosfera była niemal karnawałowa. Uliczny sprzedawca lodów robił szybki interes; tu i tam dało się zauważyć trzymane w ręku transparenty, czasem z niezbyt przyzwoitymi napisami. Jeden z nich głosił: „Kochamy Cię Tamaro i płaczemy wraz z Tobą”. Innym, z napisem: „A jak ja ci się podobam?” - powiewał zawzięcie jakiś młody człowiek. W chwili, gdy Tamara wysiadała z samochodu, słychać było, jak przez tłum przemknęło wyszeptane cicho jej imię. Błysnęły flesze i zaczęto nagrywać kronikę filmową.

Gapie skandowali: Ta-ma-ra, Ta-ma-ra.

Reporterzy przekrzykiwali się w zadawaniu pytań, a tłum, odparłszy barykadę, napierał, nawet kordon policji nie mógł go powstrzymać.

Na schodach synagogi dotarła do Tamary jakaś zwariowana kobieta, wymachując przed jej zawoalowaną twarzą zeszytem na autografy. Gdy policjant próbował odciągnąć ją do tyłu, O.T. i Inge szybko wepchnęli Tamare do wnętrza synagogi.

Wypełniona była do ostatniego miejsca. Filmowcy stanowili dość zwartą grupę, tak że O.T. znał w niej prawie wszystkich.

Wielu jego znajomych i przyjaciół zjawilo się, aby pożegnać zmarłego. Składano niezliczone wyrazy czci, pełne wykwintnych frazesów. Nabożeństwo

trwało na szczęście krótko, a mowa pożegnalna, wygłoszona przez O.T., była ciepła i podnosząca na duchu.

Wiek trumny pozostało zamknięte, więc Tamara nie mogła czerpać pociechy z widoku jej ukochanego, spoczywającego w pokoju, chociaż po kilku zabiegach kosmetycznych. Nie dane jej było ucałować jego lodowatych Ust, zanim odeśle go w ostatnią podróż. Nic nie mogło jej przynieść ulgi, nawet to, że śmierć męża nastąpiła szybko. Niewykluczone, iż Louis przez kilka straszliwych sekund miał świadomość, że samochód wpadł do kanionu, zanim rozbił się o jego dno. Mogła tylko mieć nadzieję, że umarł natychmiast. Jakakolwiek inna możliwość wydawała się zbyt koszmarna. Louis siedział za kierownicą i spłonął, gdy eksplodował zbiornik z benzyną.

Po pewnym czasie Tamara nie mogła pojąć, jak udało się jej przeżyć te najstraszniejsze chwile, jakie przytrafiły się jej w życiu.

Na szczęście później prawie wszystko zlało się w jej pamięci w jakiś niewyraźny obraz. Pozostawała jednak wciąż w stanie odrętwienia. Wszyscy jednak zauważyli, że była pełna godności i doskonałej samokontroli.

W rzeczywistości bliższa była śmierci niż życia. Po prostu pozwalała Inge prowadzić się wszędzie, jak ktoś, kto stracił poczucie rzeczywistości. Wystarczyło tylko stawiać nogi, jedna za drugą. To był jedyny wysiłek, jakiego od niej wtedy wymagano.

Na cmentarzu, w niewielkiej odległości od krypty Valentina, miało miejsce następne koszarne zdarzenie.

Gdy zaczęto spuszczać trumnę Louisa w dół, Zelda Ziolkowa wydała z siebie przeraźliwy okrzyk i rzuciła się na trumnę syna, przykrywając ją swym ciałem.

- Louie - zawodziła spazmatycznie, waląc pięściami o trumnę syna. - Louie... nie zostawiaj mnie tutaj, Louie!

Towarzyszący Zeldzie przyjaciele próbowali oderwać ją od trumny i jakoś udało się im odciągnąć ją do tyłu. Wtedy wskazała palcem na Tamarę.

- To ty, suko! - wrzasnęła jak szalona. - Ty go zabiłaś! Zabiłaś moje dziecko! Przeklinam cię, suko! Obyś nigdy nie zaznała spokoju!

Inge zajęła szybko miejsce między, Zeldą a Tamarą, a przyjaciele wepchnęli rozhisteryzowaną kobietę do czekającej limuzyny. Jej szloch i oskarżenia przerwały na chwilę ceremonię pełną dostojności i ciszy.

- Chodź, musimy już iść - rzekła w końcu Inge drżącym głosem, który zdradzał jej głęboki smutek. Dała znak dwóm robotnikom, stojącym dyskretnie w pewnej odległości od nich. Palili, opierając się o łopaty.

- Grabarze czekają - rzekła.

Łzy spływały z jej chabrowych oczu, gdy wzięła Tamarę pod rękę, starając się zwrócić ją w kierunku wyjścia.

- Już po wszystkim - dodała.

Tamara zadrżała lekko, welon przesunął się jej po twarzy.

- Nie, to jeszcze nie koniec - wyszeptała słabym, piskliwym głosem. - Wszędzie podąża za nami śmierć. Wraz z Louie umarła jakaś częśćka mnie samej.

Po powrocie do Tamahawk spostrzegli, że tam też nie będzie im dane zaznać spokoju. W salonie czekało na Tamarę dwóch mężczyzn. Wstali, gdy weszła.

- Czy pani Ziolkó? - zapytał wyższy z nich, wysuwając się do przodu.

Tamara podniosła wolno welon i zmarszczyła czoło, jej podkrążone oczy wyrażały całkowite zdziwienie.

- Kim jesteście? - zapytała ostrym głosem. - Kto was wpuścił? Proszę się natychmiast wynosić, zanim wezwę policję.

Mężczyzna był niewzruszony.

- Nazywam się David Fleischer, a to jest mój wspólnik, Alan Salzberg - odpowiedział. - Pracujemy dla firm Kasindorf, Steinberg Rinaldi i Fleischer. Jesteśmy adwokatami pani Zeldy Ziolkó.

- Co ona ma wspólnego z waszym wtargnięciem do mojego domu? - zapytała Tamara.

Fleischer podniósł w górę plik złożonych dokumentów.

- Przykro nam bardzo, pani Ziolko, lecz zmuszeni jesteśmy prosić panią o natychmiastowe opuszczenie tego domu - odrzekł.

- Co takiego? - Tamara ruszyła przed siebie i nieomal wpadła na niego, lecz Inge złapała ją za ramię i powstrzymała.

- Według wstępnej umowy - kontynuował - którą przygotowaliśmy, a pani podpisała, dobrowolnie zrezygnowała pani z praw do posiadłości pana Louisa Ziolko.

- Wynoście się stąd! - wyszeptała. - To jest mój dom i to ja płaciłam długi hipoteczne. Wynoście się, wynoście!

- Według aktu notarialnego zarówno dom, jak i cała posiadłość zapisane są na nazwisko pana Ziolko - dodał.

Następnie wysunął się do przodu i zamierzał wręczyć jej dokumenty. Tamara jednak odmówiła ich przyjęcia i nawet nie zareagowała, gdy spadły na podłogę.

- Podczas całej procedury zmuszeni jesteśmy nalegać, aby nie wynosiła pani stąd nic oprócz własnej garderoby - zakończył adwokat.

Tamara wyzwoliła się z uścisku Inge i złowieszczo wzniosła ręce ku górze.

- Wynoście się z mojego domu! - wrzasnęła, podchodząc do niego.

Obaj prawnicy odeszli szybkim krokiem.

Jak ktoś, kto nagle oślepl, Tamara chwiejnym krokiem podeszła do najbliższej kanapy, dotknęła jej i ułożyła się wygodnie. Miała silne dreszcze i czuła, jak szczękają jej zęby. Czy ten koszmar nigdy się nie skończy? Czy taki był spadek, który odziedziczyła po mężu?

Po chwili opuściła ręce, podniosła głowę i siedziała sztywno.

- Inge, zadzwoń do hotelu Beverly Hills - mówiła, drżąc na całym ciele. - Sprawdź, czy mają dla nas domek. Potem spakuj to, co nam będzie potrzebne. Na razie wystarczą nam dwie walizki.

Inge trwała stanowczo przy swoim zdaniu:

- Nie możesz pozwolić, aby tej wiedźmie się udało!

- Inge, proszę, zrób, jak mówię. - Tamara oddychała ciężko. - Nie chcę spędzić tutaj następnej nocy.

Rozejrzała się po pokoju i zadrżała.

- Tak naprawdę, to nigdy nie przepadałam za tym domem. Zbyt przypomina mauzoleum.

Już miały wychodzić, gdy Tamara jeszcze raz spojrzała na salon.

- Zapomnialiśmy o czymś - rzekła i jej smutek zamienił się w złość.

- Co? - chciała wiedzieć Inge.

- Chodź, potrzebuję twojej pomocy - kontynuowała Tamara i stukając mocno obcasami przeszła przez hol, aby usadowić się na jednej z długich, białych kanap, które stały wzdłuż ściany.

Zdjęła jeden but.

- Co robisz? - zapytała Inge zadziwiona.

Tamara spojrzała na trzymany w dłoni lśniący, czarny bucik i zaczęła się śmiać, chociaż nie odczuwała radości.

- Masz rację - odrzekła, nakładając but z powrotem. - To nie moje płamy, tylko Zeldy. Niech zapłaci rachunek za czyszczenie.

Stała na miękkich poduszkach i dała Inge znak, aby stanęła obok. Wciąż zdumiona Niemka uczyniła tak, jak jej kazano. Gdy Tamara schwyciła z jednej strony za wielką, połączoną ramę obrazu Toulouse-Lautreca, który wisiał nad kanapą, nikt nie musiał jej już nic więcej tłumaczyć. Schwyciła ją z drugiej strony i udało się im zdjąć obraz z haka i wynieść go do holu.

Ozdobnie rzeźbiona połączona rama ważyła dobre sześćdziesiąt funtów.

- Czy możemy to zrobić? - spytała Inge, zdradzając typową dla klasy średniej obawę przed sądami i prawnikami.

- Popatrz, jak ja to robię - odrzekła ponuro Tamara. - Jeśli Zeldą spróbuje mnie złapać w swoje łakome łapska, nie obejdzie się bez walki. Te obrazy są moje i mogę to udowodnić. Dostawałam od Louisa po jednym z okazji każdej

kolejnej rocznicy ślubu, razem sześć. We wszystkich gazetach pisano, że były to prezenty. Według mnie stanowi to dowód własności.

Po raz pierwszy w ciągu trzech dni Inge niemal uśmiechnęła się na widok ich obu, chodzących równym krokiem po pokoju i zdejmujących pozostałe pięć obrazów.

- Gotowe - rzekła Tamara, gdy oparły je o ściany holu. Strzepnęła kurz z dłoni.

- Patrzysz na pieniądze - dodała. - Louie zawsze mówił, że obrazy są równie dobre jak gotówka. A teraz sprowadź tutaj Esperanzę i szofera. Mogą nam pomóc załadować je do samochodu. Ale pamiętaj, abym nie zapomniała wezwać prawników. Wszystkie samochody, oprócz Dusenburga, są zapisane na moje nazwisko.

Dopiero później w limuzynie, w drodze do hotelu, zdała sobie sprawę, że prawnicy zwracali się do niej „pani Ziolko”. Po raz pierwszy od ślubu ktoś zwrócił się do niej nazwiskiem jej męża.

Oskar Skolnik był wściekły.

- Na emeryturę! - wrzasnął. - Co to znaczy, że masz zamiar odejść? - obdarzył ją nieżyczliwym spojrzeniem. - Jesteś u szczytu sławy. Do cholery, gwiazdy przecież nie odchodzą!

Siedzieli sami w jego salonie, wśród przyprawiającego o zawrót głowy luksusu.

W tym właśnie pokoju Tamara spotkała go po raz pierwszy siedem lat temu. Tym razem antyki, wspaniałe obrazy i połyskujące przedmioty nie robiły na niej wrażenia. Wzięła głęboki oddech i można było dostrzec, jak coraz bardziej zaciska zęby.

- Chcę się wycofać - powtórzyła zdecydowanie.

Rzucił się z powrotem na krzesło; palce obu jego dłoni wybijały ciche crescendo na skórzanych poręczach fotela. Przypatrywał się jej wypuszczając

dym z ładnie rzeźbionej fajki z kości słoniowej. Wyjmował ją z ust tylko wtedy, gdy coś mówił. Jego głos był cichy:

- Kogo starasz się nabrać? - Jego niebieskie oczy wpatrywały się w nią.

Tamara podniosła głowę.

- Nie staram się nikogo nabrać. Skończyłam z robieniem filmów. Mam dość Hollywood. Czy to ci nie wystarczy? - zapytała.

-Nie - odrzekł, pochylając się do przodu. - Bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego Morty Hirschbaum nie prowadził licytacji za ciebie. Jest twoim agentem.

- Nie rozumiem, co on ma z tym wspólnego - kontynuowała Tamara. - Nie staram się renegecować kontraktu. Chciałam tylko zawiadomić cię osobiście o moich planach.

O.T. nagle zaśmiał się.

- Teraz już rozumiem. To on podsunął ci ten pomysł. Sądził, że będzie miał mnie w ręku, gdy sprawi, że wejdiesz tu jak baletnica i przestraszysz mnie, zapowiadając swoje odejście. - Pokręcił przecząco głową. - Powiedz mu, że nic z tego. Jeśli chce negocjować, powinien przyjść tutaj sam, a nie wymagać, aby klienci robili za niego brudną robotę,

Tamara stawiała się coraz bardziej rozdrażniona.

- Mylisz się, O.T. - rzekła. - Morty nie ma z tym nic wspólnego. Nawet nie wie, że tutaj jestem.

- Nieźle, - Skinął z uznaniem głową. - A więc mam to sam zrobić - odparł, - Masz o wiele więcej sprytu, niż myślałem. Wiesz, gdybyś nie została aktorką, byłaby z ciebie doskonała agentka.

Przypatrywała mu się uważnie. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że nie zaakceptuje prawdy.

- A więc kto się za tym kryje - zapytał Skolnik. - Zanuck czy L.B? A może oboje? - Oczy błyszczały mu podejrzliwie.

- Co zaproponowali ci za odejście z IA?

- Czy posłuchasz mnie chociaż raz? - wrzasnęła nagle Tamara. Z przyjemnością zauważyła, że teraz coś do niego dotarło. Mrugnął dwa razy swymi błękitnymi oczami i zmarszczył nieco czoło.

- Dobrze - stwierdził. - Przestańmy kręcić się w kółko i skończmy z tym wreszcie.

Zamilkł. Po chwili wtrącił:

- Ile żądasz?

Wydawszy z siebie słaby okrzyk irytacji, Tamara chwyciła torebkę i wstała.

- Widzę, że traciłam czas - stwierdziła ze złością.

- Będiesz mógł przeczytać o wszystkim jutro rano w felietonie Marilee. - Zaczęła iść w kierunku drzwi wyjściowych.

- Poczekaj - krzyknął, podnosząc się nagle z krzesła. Dogonił ją i wziął pod ramię. - Po co się tak złościć? - spytał i obrócił ją ku sobie.

- Po prostu nie chcesz mnie wysłuchać - tłumaczyła Tamara.

Położył przyjacielsko dłonie na jej ramionach.

- Wal prosto z mostu - rzekł i uśmiechnął się dobrodusznie. Pozwoliła zaprowadzić się z powrotem na miejsce i usiadła.

- Teraz zacznijmy jeszcze raz od początku, dobrze? - poprosił ją.

Skinęła potakująco głową, założyła nogę na nogę i sięgnęła po papierosa. Podniósł ze stołu zapalniczkę i podał jej ogień.

Podziękowała mu i wypuściła z ust obłoczek dymu.

- Wiem, że mówię jak niegrzeczne dziecko. Byłeś dla mnie taki miły po śmierci Louisa. Doceniam to, że dałeś mi trzy tygodnie urlopu, abym mogła dojść do siebie. Wiem, ile musiało cię kosztować Wstrzymanie kręcenia scen ze mną, i pozostanę ci za to wdzięczna na zawsze.

Wzruszył ramionami.

- Mów dalej - rzekł.

- Od tego czasu skończyłam „Łatwe towarzystwo” i zrobiłam „Różne przyjemności”. Chyba nie muszę ci przypominać, że do końca kontraktu zostały

mi już tylko trzy tygodnie. Oboje dobrze wiemy, że to za krótko, aby nakręcić film.

- Tak, to prawda - pokiwał zachęcająco głową.

- Więc, proszę, wysłuchaj mnie - dodała spokojnie. - Nie prowadzę z tobą żadnych gier. Nie staram się wynegocjować lepszego kontraktu ani wyższych zarobków. Z całej rodziny pozostał mi tylko ojciec i chcę spędzić z nim jakiś czas w Palestynie. On i ja mamy całe życie do nadrobienia. Chcę także podróżować, zobaczyć świat.

- Wygląda na to, że myślisz o wakacjach - stwierdził. Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie chodzi mi o wakacje. Chcę odejść – powiedziała z uporem. - Wykorzystałam swój siedmioletni kontrakt i chcę teraz spędzić kilka lat jak zwykli ludzie.

- Tamaro, Tamaro - powtórzył. Jego uśmiech był zarazem karcący i smutny. - Czy nie zdajesz sobie sprawy, że jesteś zbyt utalentowana, aby żyć tak jak oni? Jesteś wspaniałą aktorką i wyjątkowo piękną kobietą. Gdziekolwiek pójdziesz i cokolwiek zrobisz, będziesz zawsze wybijała się z tłumu. Jesteś błogosławiona lub przeklęta - wybieraj. Zostałaś obdarzona boskim talentem. Szkoda byłoby go zmarnować.

- Jakkolwiek by było, chcę spróbować, O.T. - nalegała.

- Nie chcę starości z kryształowym żyrandolem i szafą pełną futer. Nie chciałabym stać się zgorzkniałą kobietą, która ma żal o wszystko, co ją w życiu ominęło.

- Oczywiście wciąż odczuwasz ból z powodu tego, co przydarzyło się Louisowi - rzekł delikatnie. - A może masz dość Hollywood, dlatego że w pewnym stopniu obwiniasz miasto lub przemysł filmowy za jego śmierć?

- Nie. Na początku też tak myślałam, ale to nie to - odparła.

- Nazwij mnie wstrętnym babskiem, ale jestem po prostu zmęczona rolą gwiazdy filmowej. Nie mogę tak dłużej.

- Będziesz za tym tęskniła - ostrzegł ją. - Każdy, kto raz był gwiazdą, pragnie nią pozostać. Przypatrz się tym wszystkim gwiazdom niemych filmów, które nie mogły dalej grać z powodu swoich głosów. Nie mogą znieść tego, że nie biorą już udziału w tym filmowym interesie. Oddałyby wszystko, do cholery, nawet swoje obie nogi, by móc powrócić na dawne miejsce.

- Ja nie - potrząsnęła przecząco głową. - Po prostu chcę, aby dano mi spokój. Trzymał fajkę i wydawało się, że dokładnie ją ogląda.

- Powiedz mi - rzekł wolno - czy rozmawiałaś z kimś jeszcze na temat tych planów? - Spojrzał na nią. - Z dziennikarzem, z kimś z radia? Może z jakimś przyjacielem? Zaprzeczyła i zgasiła papierosa w kryształowej popielniczce.

- Wie o tym tylko Inge - odpowiedziała - a ona potrafi trzymać język za zębami.

- W takim razie zrób sobie i mnie przysługę - zaproponował. - Jedną, jedyną; tylko o to proszę.

Spojrzała na niego pytająco.

- Nie ogłaszaj swojego odejścia. Formalnie czy nieformalnie. Nic nikomu nie mów. Po prostu wyjedź i baw się dobrze. Ze względów praktycznych będę udawał, że to urlop. Zafunduj sobie przyjemne wakacje. Potem, gdy zdecydujesz powrócić...

- Nie wrócę - przerwała mu. Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- W takim razie, jeśli zdecydowałabyś się powrócić - poprawił się - będziesz musiała tylko ponownie wynegocjować kontrakt. Nie spaliłabyś za sobą mostów, które mogą ci się jeszcze przydać.

Spojrzała na niego.

- O.T., czy nie możesz przyjąć tego, co powiedziałam, tak po prostu? - rzekła. - Jeżeli masz nadzieję, że wrócę, to tylko się oszukujesz. Nie chcę być Tamarą - gwiazdą filmową. Chcę być Tamarą Boralevi - kobietą.

- Pewnie teraz tak czujesz - odrzekł - ale co będzie za sześć miesięcy? Nie wiesz, w jakim będziesz wtedy stanie - może bardzo złym?

Przerwał, szukając bardziej dosadnych słów.

- Nie masz nic do stracenia, jeśli zrobisz to, o co cię proszę, lub wszystko, jeśli zrealizujesz swoje zamiary.

Tamara zastanawiała się przez chwilę:

- Być może masz rację - przyznała. - Zrobię tak, jak sobie życzysz.

- Dobrze - odpowiedział - więc przynajmniej to ustaliliśmy. - Uśmiechnął się. - Zazwyczaj mam rację, chociaż może wyrażam się strasznie pompatycznie. Jesteś młodą kobietą, Tamaro, a młodzi ludzie potrzebują zabawy. Ważne jest też, że jako aktorka potrzebujesz jakiegoś ujścia dla swojej twórczej energii. Wreszcie... możliwe, że nie ja, lecz ty masz rację. Kto wie? - wzruszył ramionami. - Czas pokaże.

- Zapewne, O.T. - przyznała z uśmiechem. - Wiesz, będę za tobą tęskniła.

- Nie tak bardzo, jak ja za tobą. - odrzekł. - Byłaś zawsze moją ulubioną aktorką, wiesz o tym.

- Dlaczego? Bo najwięcej na mnie zarobiłeś? - zapytała przebiegle.

- Częściowo, ale głównie dlatego, że masz w sobie coś... jakieś rzadko spotykane cechy... - Urwał nagle i zmienił temat. - Jak tam twoje kwestie finansowe? Odejścia nawet urlopy - uśmiechnął się - mogą być kosztowne.

- Ja... dam sobie radę - odrzekła Tamara. - Likwiduję właśnie swoje aktywa.

- A matka Louisa? Czy wciąż sprawia ci kłopoty? - zapytał niespodziewanie.

Patrzyła na niego ze zdziwieniem, zastanawiając się, skąd to wie.

- Nie, już wszystko załatwione - rzekła ponuro. Pokiwał głową.

- Szkoda, że dostała to wszystko - odparł. - Na przyszłość mam nadzieję, że zanim coś podpiszesz, zasięgniesz najpierw rady jakiegoś prawnika.

Wydawało się, że wszędzie ma informatorów.

- Czy zatem nic nie mogę dla ciebie zrobić? - zapytał.

- Właściwie możesz - odrzekła. - Twój przyjaciel, handlarz sztuką... - szukała w pamięci i zmarszczyła brwi. - Zapomniałam jak się nazywa!

- Bernard Katzenbach - odparł. Skinęła głową.

- Zamierzam skontaktować się z nim - rzekła.

- Był na aukcji w Chicago. Prowadził tam dla mnie licytację. Wydaje mi się, że ma wrócić dzisiaj późnym wieczorem lub jutro wczesnym rankiem.

- Powiedz mu — prosiła - że byłabym bardzo wdzięczna, gdyby do mnie zadzwonił. Chcę sprzedać obrazy.

- Toulouse-Lautreca, Gauguina i Renoira? - spytał. Skinęła twierdząco głową.

- Te i inne - odrzekła. - Nie mam z nich teraz pożytku, a pieniądze przydadzą mi się o wiele bardziej.

Przez chwilę wydawało się jej, że dostrzegła w jego oczach błysk zainteresowania. Wstrzymała oddech, mając nadzieję, że złoży ofertę kupna.

Oskar Skolnik był jednym z największych kolekcjonerów sztuki w kraju, a cudowne obrazy, które podarował jej Louis, stanowiłyby wspaniały dodatek do każdej kolekcji.

W końcu zgodził się.

- Jak tylko zobaczę się z Berniem, dopilnuję, aby zadzwonił do ciebie - rzekł.

- To na razie wszystko - stwierdziła Tamara. - Pójdę już lepiej do domu. Jutro muszę wstać wcześniej rano i zacząć opracowywać konkretny plan. Jeszcze sporo zostało mi do zrobienia.

- Kiedy zamierzasz wyjechać? - zapytał.

- Jak tylko sprzedam obrazy i kilka innych rzeczy - odrzekła.

- Tak szybko? - spytał zdziwiony.

- Zdecydowałam się, więc nie ma sensu odkładać tego na później.

Pokiwał głową i odprowadził ją do drzwi wyjściowych.

- Zawiadom mnie, jak będziesz wyjeżdżała, abym mógł się z tobą pożegnać - poprosił.

Ucałowała go w policzek, po czym bez słowa wyszła w pośpiechu, w nietypową o tej porze roku gorącą noc.

Po tygodniu Tamara znajdowała się w stanie fizycznego i psychicznego wyczerpania, lecz pomimo swej niedyspozycji była zadowolona, że sprawy miały się ku końcowi. Obrazy zostały sprzedane, chociaż cena zaproponowana przez Katzenbacha bardzo ją rozczarowała. Inge wróciła od kuśnierza z czekiem potwierdzonym na dziewięć tysięcy dolarów i od razu udała się do jubilera z pudełkiem pod pachą. Zaprzyjaźniony sprzedawca używanych samochodów pojechał do Tamahawk i zabrał osiem samochodów, które były zapisane na nazwisko Tamary.

Miała też w dłoni swój własny, potwierdzony czek. Gdy dodała pieniądze z konta do trzytygodniowych zarobków, które wciąż otrzymywała, a potem odjęła od tego to, co musiała zapłacić za wynajęcie domku, była zadowolona, bo okazało się, że zostanie nieco ponad 115 000 dolarów, jeśli Inge udałoby się sprzedać klejnoty za jedną trzecią ich wartości. I to po spłaceniu należności w banku. Nie było to wiele, biorąc pod uwagę jej odejście od filmu, a więc brak dochodów. Mimo wszystko nie była to jednak błaha suma. Starczy na długo, jeśli obie z Ingą będą nią zarządzały z rozwagą. Było to więcej niż potrzeba na początek nowego życia.

Porwała kartkę, na której robiła obliczenia, wrzuciła strzępy do kosza na śmieci i wstała zza małego biurka. Przez dłuższą chwilę rozglądała się po pokoju. Teraz, gdy nie było już obrazów, wydawał się jej pusty, bezbarwny i przygnębiający. Urządziła ten domek jak własny, czuło się tam przyjazną atmosferę. Teraz było to jeszcze jedno miejsce hotelowe. Obraz Matisse'a, jedyny, który pozostał, wyglądał samotnie i nie na swoim miejscu. Katzenbach nie chciał go.

Podeszła do wózczyka z alkoholami. Miała ochotę na coś mocnego. Może czysta szkocka? Podniosła butelkę i już prawie zaczynała nalewać, gdy nagle odstawiła ją z powrotem. Miała lepszy pomysł. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer obsługi pokoju.

Dopiero, gdy zamówiła dobrze zamrożonego szampana marki Krug z 1928 roku, poczuła się znacznie lepiej. Targowanie się wyczerpało ją, a rozgrzebywanie spraw finansowych napełniało wstrętem. Zbyt przypominało to jej rozpaczliwe miesiące, gdy zmuszone były mieszkać w Zakładzie Pogrzebowym Patersona. Teraz przynajmniej było już po wszystkim. To powód do świętowania. Poza tym obie z Inge zasłużyły na pożegnalne party, nawet gdyby miały bawić się same.

Czy istnieje lepszy sposób na rozpoczęcie nowego, skromniejszego rozdziału w życiu niż ta ostatnia butelka obrzydliwie drogiego szampana? - rozmyślała.

Następnego dnia, gdy Inge poszła dopilnować spraw związanych z pierwszym etapem ich podróży, Tamara pakowała się w pośpiechu. O.T. obserwował ją w milczeniu, paląc swą fajkę, z którą się nigdy nie rozstawał. Siedział gdzieś w kącie, aby jej nie przeszkadzać.

- Miałaś tydzień, aby wszystko przemyśleć. Czy nie mogę cię teraz odwieść od tego pomysłu? - zapytał. - Nawet za trzykrotnie wyższe zarobki i jednostronną zgodę na dokonanie zmiany w scenariuszu i całym przedsięwzięciu?

Odwróciła się i wpatrywała w niego. Była to propozycja absolutnie wyjątkowa, którą każda inna gwiazda przyjąłaby natychmiast, lecz ona potrząsnęła tylko przecząco głową, dalej porządkując swoje szuflady. Próbowała ograniczyć bagaże do tego, co niezbędne, a więc do czterech walizek i dwóch kufrów podróżnych. Na początku chciała wziąć tylko to, co najbardziej potrzebne, ale potem rozważa zwyciężyła.

Nie wiedziała, czego będzie potrzebowała najbardziej, i musiała od tej pory zwracać uwagę na pieniądze. Skoro nie będzie już mogła swobodnie kupować ubrań, a część z nich może potem oddać, sądziła, że uczyni najmądrzej, jeśli pozostawi ich sobie jak najwięcej.

- Nie, O.T. - rzekła zmęczona. - Czy możesz zrobić mi przysługę? Przestań próbować mnie przekonywać, abym została. Wydaje mi się, że już wcześniej to ustaliliśmy.

- Ostatnie podejście - zaproponował - ćwierć miliona dolarów za film. Czy zmienisz zdanie?

Wzięła głęboki oddech i ich oczy spotkały się. Odmowa przyjęcia takiej sumy była najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek uczyniła w życiu.

- O.T. - kontynuowała - sądzę, że wyraziłam się dość jasno, lecz nawet gdybym miała się powtarzać, powiem ci raz jeszcze: nie chodzi mi o pieniądze.

Rzuciła kilka sukien na łóżko.

- Spędziłam siedem lat w tym interesie i zrobiłam dla ciebie osiemnaście filmów. - Ciągnęła dalej. - Pozwalałam na modelowanie i dokonywanie zmian na swojej twarzy według twojej woli. Na planie i poza nim ubierałam się tak, jak chciałeś. Grałam w filmach, które chciałeś nakręcić. Grałam role na ekranie i poza nim. Przeżyłam jedną trzecią mojego życia jak cholerna złota rybka w akwarium, obawiając się nawet oddychać w niedozwolony sposób. Byłam własnością publiczną i należałam do każdego, tylko nie do samej siebie: Teraz najwyższy czas, abym stała się tym, kim jestem, jeśli mogę tę osobę jeszcze odnaleźć.

Przerwała i po chwili dodała delikatnie:

- Podjęłam decyzję, O.T. Jeśli zależy ci na mnie chociaż trochę, uszanujesz ją.

Pakowała się dalej w milczeniu. Odezwał się dopiero po chwili.

- Dobrze - rzekł w końcu - wygrałaś. Wbrew memu najgłębszemu przekonaniu, uszanuję twoją decyzję. Pamiętaj tylko, że jeśli kiedykolwiek zmienisz zdanie i zdecydujesz się kontynuować karierę, przyjdź najpierw do mnie. Mój dom pozostanie zawsze dla ciebie otwarty, chociaż nie mogę ci teraz powiedzieć, ile będziesz wtedy warta. Publiczność jest kapryśnym panem, jednego dnia przyjacielem, drugiego wrogiem. Znasz to powiedzenie? Co z

oczu, to z serca. W tym biznesie to sprawdza się bardziej niż w jakimkolwiek innym.

- Wiem. - Uśmiechnęła się. - Dzięki, O.T. To miło z twojej strony, że mnie zapraszasz, chociaż nie zamierzam wrócić.

Podeszła do szafki i podniosła małą, martwą naturę Matisse'a. Trzymała ją chwilę przed sobą.

- Nikt nie jest panem koloru tak jak Matisse. - O.T. rzekł z uznaniem, przypatrując się obrazowi przez jej ramię.

- Tak, prawda? - odrzekła.

- Sprzedałaś pozostałe? - spytał.

Zwróciła się ku niemu i skinęła twierdząco głową.

- Ten nie jest wart tyle, co tamte - kontynuowała. - W pewnym sensie jestem z tego zadowolona. Nie będę miała pokusy, aby go sprzedać. Zostawię go sobie na zawsze. To będzie coś, co kiedyś przekażę dzieciom. - Zaśmiała się i dodała:
- Jeśli kiedykolwiek będę je miała.

Skinął głową.

- Szkoda byłoby, gdybyś nie zostawiła ani jednego obrazu. Miałaś początek wspaniałej kolekcji - odrzekł.

Położyła obraz z powrotem, owinęła go ostrożnie kocem, następnie włożyła do jednej z walizek i wepchnęła obok kilka ubrań.

- Spójrz tylko - rzekła - cała walizka zarezerwowana dla jednego obrazu. To głupie, prawda?

- Przeciwnie - odpowiedział - mądre. To więcej niż obraz. To skarb.

Skinęła głową i uśmiechnęła się do dawnych wspomnień.

- To był prezent od Louisa z okazji naszej pierwszej rocznicy ślubu - odrzekła.

Wpatrywała się gdzieś daleko przed siebie.

- Wydaje się, jakby całe życie upłynęło od tamtego momentu, prawda? - spytała.

- Od tamtej nocy, gdy tańczyliśmy razem? - zapytał O.T.

- Tak, a ty wyraźnie próbowałeś mnie poderwać.

- Pamiętam tylko, jak uderzyłaś mnie kolanem w dół brzucha - dodał.

Zaśmiała się.

- Sam chciałeś. Lecz nikt nie zauważył. Przetrwaleś przez resztę wieczoru z szerokim uśmiechem na twarzy, jeśli dobrze pamiętam.

- To był grymas - odparł.

- Nie udałoby się nam - powiedziała delikatnie. – Wiesz o tym.

Uśmiechnął się smutno.

- Szkoda, że się nie udało. Byłaś taka kobieca. Wciąż jesteś - dodał.

- Tylko że byłam kobietą dla jednego mężczyzny - zakończyła.

Siedziała na skraju łóżka i chwilę milczała.

- Wiesz - rzekła, marszcząc czoło - odkąd zmarł Louis, życie nie było dla mnie tym samym, co przedtem. Czy uwierzysz, że od tamtego czasu nie spałam z żadnym mężczyzną?

Podniosła na niego wzrok.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że cały czas byłaś samotna? - zdziwił się.

- Tak, byłam - powiedziała cicho. - Nie dlatego, że nie mogłam mieć mężczyzn, których chciałam. W tym mieście jest teraz pełnia sezonu na wdowy. Po prostu... – Przerwała i spojrzała na swoje dłonie. - Po prostu nigdy nie miałam takiego pragnienia.

- Szkoda, że nie wiedziałem - odparł. Skrzywiła się.

- Dobrze, że nie wiedziałeś. Potrzebowałam czasu, aby znowu zacząć żyć.

- A teraz? - zapytał. Potrząsnęła przecząco głową.

- Czasami wydaje mi się, że moje ciało nie może już dłużej funkcjonować w ten sposób - dodała.

- Więc musisz je do tego zmusić. Nie możesz przeżyć reszty życia jak zakonnica. Jesteś namiętą kobietą i celibat ci nie służy. Będiesz zgorzkniała. Czas, żebyśmy to przerwali.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę, O.T. Nasze pójście do łóżka byłoby największym błędem. Muszę po prostu dać sobie trochę czasu, to wszystko.

- Dałaś już sobie półtora roku. Półtora roku, które powinno być najlepsze w twoim życiu. To za długo, żeby wieść takie niepełne życie.

- Nie rozumiesz. Ja potrzebuję miłości, a nie uprawiania seksu.

- Czasami ten akt może być równie ważny jak miłość. Musisz uwolnić się od tego, co cię łączy z przeszłością, a jest na to tylko jeden sposób.

Zaśmiała się.

- To jest najdziwniejsza metoda o jakiej słyszałam, żeby kogoś namówić na seks.

On się nie śmiał.

- Mówię poważnie - powiedział łagodnie. - Tylko w ten sposób możesz stać się wolna. Nie rozumiesz tego?

Patrzyła na niego w milczeniu. Poczowała w sobie jakieś dawno zapomniane drgnienie, coś się w niej poruszyło, jak delikatne skrzydełka kolibra. Powoli odzywały się zapomniane pragnienia. Nie spuszczała z niego wzroku, zmieszana.

Podszedł do niej, objął ramionami i przesunął językiem po jej ustach. Stała sztywno, niezdolna do żadnej reakcji, jak figura z lodu.

- Nie! - szepnęła. Odepchnęła go i odwróciła się. - Nie mogę. Po prostu nie mogę.

- Możesz - powiedział, biorąc ją pod brodę. - Musisz. Nie rozumiesz? Dopiero wtedy będziesz żyć naprawdę.

Kiwnęła niepewnie głową, a jego palce sięgnęły do jej bluzki i powoli ją rozpinały.

Pod wpływem jego dotyku jej oddech stał się szybki i urywany, ale tym razem nie odsunęła się ani go nie odepchnęła. Stała w napięciu, drżąca, a gdy

wreszcie była naga, on zaczął się prędko rozbierać, nie spuszczać z niej wzroku. Oddychała coraz szybciej. Czuła chłód na skórze.

- Popatrz na mnie - powiedział cicho, lecz rozkazująco. Gdy zobaczyła olbrzymi członek, miała ochotę uciec, ale przyrosła do podłogi.

Delikatnie, jakby była figurką ze szkła, uniósł ją i położył na łóżku. Odwróciła głowę na bok i zamknęła oczy.

- Nie, nie odwracaj się. Musisz być świadoma wszystkiego, co robimy.

Popatrzyła na jego ciało, gdy nachylił się nad nią. Miał napiętą skórę na twardych ramionach, nieprawdopodobnie wąską talię i silne uda. Umięśniona klatka piersiowa, pokryta czarnymi, kręconymi włoskami, przechodziła w równie muskularny, twardy brzuch. Przerazała ją moc, jaką miał nad nią.

Wszedł w nią powoli i ostrożnie. Jej ciało, odzwyczajone od takich doznań, zareagowało nagłym skurczem i chciało go wypchnąć, ale był cierpliwy i wytrzymały. Wkrótce wypełniła ją ciepła twardość. Bezwiednie jęknęła, a skóra parzyła ją, płonęła wbrew jej woli. Gdy zaczął rytmicznie poruszać biodrami, wszystkie zakończenia jej nerwów powróciły do życia, przesyłając cudowne fale od palców u nóg po czubek głowy. Było to jak odkrywanie zaginionego świata.

Tyle zgromadzonej napiętności wydostawało się z jej ciała, że czuła, jakby zrzucała z siebie starą skórę i wchodziła w nową.

Straciła poczucie czasu i miejsca, przyszłości i przeszłości. Przeszła przez zaczarowany próg, a potem niewidzialne drzwi i spadała, spadała, spadała gdzieś, bez końca. Przed jej oczyma pojawiły się wizje. Mężczyźni z różnych epok mieszały się, zlewali w jedno, gdy on wchodził w nią i wysuwał się i nagle - był to Louis - Louis, taki jak wtedy, gdy pierwszy raz kochali się w klinice we Włoszech.

- Louie - szepnęła, wpijając się paznokciami w ramiona G.T., aż krzyknął z bólu. - Wróciłeś do mnie Louiee!

I wtedy znikł równie nagle, jak się pojawił, a jego twarz i ciało były znów twarzą i ciałem O.T.

- Louie! - krzyknęła i łzy popłynęły po jej twarzy. - Nie zostawiaj mnie!
Louie! Wróć!

Wtedy przeszły przez nią potężne fale orgazmu, O.T. jęknął i ciała ich drgały w konwulsjach.

Nagle wszystko pogrążyło się w ciszy, jakby ktoś przekreślił główny wyłącznik, wyłączając świat. Słyszeć było tylko szybkie bicie ich serc, tykanie budzika na nocnym stoliku i jej cichnące pochlipywanie.

Minuty mijały i w końcu powrócili do realnego świata. O.T. poruszył się i wysunął z niej. Było po wszystkim.

Oparł się na łokciu i odgarnął jej z oczu wilgotne włosy.

- W porządku?

Pociągnęła nosem i kiwnęła głową.

- Przez chwilę mogłabym przysiąc, że Louie był tutaj - powiedziała drżącym głosem. - A potem znikł. - Popatrzyła na niego. - Tak po prostu.

- Teraz już znikł na dobre - odparł. - Jesteś wolna od niego. Pamięć już nie będzie cię powstrzymywać.

Przytaknęła.

- Dziwne. Pragnąłem cię od lat, a kochaliśmy się tylko po to, żeby odgonić przeszłość.

- Czy to było... tak, jak się spodziewałeś?

- To było dobre. Do diabła, bardzo dobre. Ale nie to, czego się spodziewałem. Myślałem, że będziesz już na zawsze nieuchwytna. I wiesz co?

Tamara pokręciła głową.

- W pewnym sensie wciąż jesteś. Wiem, że to się już nie powtórzy. Ale... cieszę się, że to zrobiliśmy.

Pocałowała go niewinnie w policzek.

- Ja też. Myślałam, że już jestem skończona, jeśli idzie o seks.

- Dopiero zaczęłaś. Masz przed sobą całe życie, kochanie. Uścisnęła jego rękę.

- Dziękuję ci, O.T., że zwróciłeś mi moją kobiecość.

- Nie sądzę, żebyś ją straciła. Może była po prostu... uśpiona.

- Może...

Siadł, przeciągnął się i sięgnął po ubranie.

- Lepiej już pójdę, bo nie skończysz się pakować. - Spuścił nogi z łóżka i zaczął się ubierać.

Ona zrobiła to samo.

- Muszę prędko skończyć, bo nie zmrużę oka. Wyjeżdżamy wcześniej rano. Inge wyszła teraz załatwiać miejsca sypialne w pociągu do Nowego Jorku.

- Dlaczego nie samolot? To mniej męczące i znacznie szybsze.

- Ale i znacznie droższe. Poza tym, nie śpieszy mi się. - Uśmiechnęła się. - Mam nieograniczoną ilość czasu, a pociąg jedzie tylko pięć dni.

- A jak będziesz w Nowym Jorku?

- Zatrzymamy się mniej więcej na tydzień i kupimy bilet na najbliższy parowiec do Europy. Później pewnie przesiądziemy się na inne statki jeszcze ze dwa razy. Wiesz, Palestyna nie leży na skrzyżowaniu szlaków handlowych.

- Domyślam się. Jako prezent pożegnalny chcę opłacić twoją podróż...

- O.T...

Uniósł rękę, żeby uciszyć jej protesty.

- Nie, chcę to zrobić. Nie mogę znieść myśli, że będziesz podróżowała czwartą klasą gdzieś pod pokładem.

Zaśmiała się.

- Nie planujemy aż takich oszczędności. Poza tym, jesteśmy dwie. Inge i ja będziemy podróżować razem. Nie stać mnie, żeby kupić jej droższe bilety, ani nie mogę oczekiwać, że ty to też zapłacisz.

- Oczywiście, że zapłacę. To moje pieniądze i mogę z nimi robić, co mi się podoba. To jedna z miłszych rzeczy, kiedy jest się bogatym. Nie myślisz chyba, że mógłbym spokojnie siedzieć i patrzeć, jak moja największa gwiazda podróżuje klasą gorszą niż pierwsza? Westchnęła pogodnie.

- W porządku, wygraleś. Zawsze potrafisz znaleźć dobry argument, muszę ci to przyznać.

- Dobrze. Dopilnuję, żeby dostarczono ci bilety jutro rano. I wykorzystasz je, to ustalone. - Przerwał. - Nie złość się na mnie, ale one będą otwarte.

Chciała protestować, ale ją uciszył.

- Jeśli nie wrócisz, możesz je sprzedać po roku, bez zobowiązań. Zgoda? - Wyciągnął rękę.

Uśmiechnęła się. Nie chce się poddać.

- Zgoda - odpowiedziała i uścisnęła jego dłoń.

- Jeżeli utkniesz w jakimś Timbuktu lub będziesz czegokolwiek potrzebowała, dzwoń do mnie. Obiecujesz?

- Obiecuję. Od razu. - Odprowadziła go do drzwi.

- Powodzenia - powiedział. - Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa.

Przed nimi rozciąga się zatoka, szerokim łukiem sięgająca od Hajfy do Akko - opowiadał kapitan Dusty Goodhew Tamarze i Inge.

Stali w trójkę na mostku dziesięcotonowego parowca „Lerwick” i chociaż nie słyszało się tu huku dochodzącego z maszynowni, wibrowanie pokładu pod nogami było wyczuwalne.

Kapitan ciągnął dalej:

- Jest to głęboka, naturalna zatoka, jedna z najwspanialszych na całym Bliskim Wschodzie. Została pogłębiona w Hajfie przez rząd Jej Królewskiej Mości, żeby przyjmować duże jednostki, takie jak ta.

Płynęli wprost na wschodzące słońce i Tamara mrużyła oczy przed oślepiającym blaskiem. Najpierw wydawało się, że słońce wstaje wprost z morza, ale gdy weszło nieco wyżej, zauważyła ciemny skrawek odległego lądu rysujący się pod tą jasnością jak wąska, ciemnofioletowa wstążka.

W końcu pojawił się ten odległy, oczekiwany ląd, który dotychczas wydawał jej się jakimś mglistym wyobrażeniem, Był to najbardziej wysunięty na wschód stały ląd nad Morzem Śródziemnym. Poświęciła na tę podróż sześć tygodni,

przebyła kilkanaście tysięcy kilometrów w powietrzu i na morzu. I jeszcze nie dotarła na tyle blisko, żeby coś zobaczyć.

Kapitan Goodhew wręczył jej lornetkę.

- Jak pani ją nastawi i spojrzy w prawo, to powinna pani zobaczyć port w Hajfie i miasto z boku, za wzgórzem - wskazał spracowanym palcem. Jego głos przerwał jej marzenia.

- Dziękuję, kapitanie. - Zawiesiła na szyi skórzany rzemyk od lornetki i przyłożyła ją do oczu. Z początku wszystko było zamazane, ale gdy udało jej się wyregulować soczewki, obraz nabrał ostrości.

Widok zapał jej dech. Wzgórze było niesłychanie strome, zielone i usiane domkami.

- Jeśli przyjrzy się pani dokładniej - mówił kapitan Goodhew - zauważy pani, że Hajfa składa się właściwie z trzech części. Port i główna część miasta są niżej, część środkowa nazywa się Hadarha-Carmel, a szczyt to jest ha-Carmel. Widzi pani?

Skinęła głową. Przesuwając lornetkę w dół, zobaczyła panoramę urokliwego portu. Była rozczarowana, gdyż wyglądał jak każdy inny na Morzu Śródziemnym, do których przybijali w ciągu ostatnich tygodni. Wszystkie wyglądały tak samo, łącznie z armią robotników krzątających się jak mrówki w monotonnym rytuale ładowania i rozładowywania. Między parowcami i dwoma małymi statkami pasażerskimi zauważyła flotę Jej Królewskiej Mości z brytyjską flagą. Nad portem, zwabione nadpływającymi statkami rybackimi, latały mewy.

Inge, stojąca za Tamarą, zaczęła sapać niecierpliwie, więc Tamara niechętnie podała jej lornetkę. Oparła się o barierkę, uniosła głowę i przymknęła oczy. Wdychała głęboko powietrze.

A więc to prawda, co mówili marynarze. Można wyczuć ląd z morza.

Kapitan Goodhew przerwał jej rozmyślenia.

- Zostaje pani w Hajfie?

- Na razie nie. Jak tylko przybijemy, pojedziemy prosto do Tel Awiwu.

- Ma tam pani przyjaciół?

- Kogoś... znajomego. Uśmiechnął się.

- Najlepszy sposób na zwiedzanie tych terenów. Tylko niech pani uważa. Tu jest znacznie niebezpieczniej niż w Europie czy Ameryce. Staramy się, ale nie można jeszcze powiedzieć, żebyśmy byli cywilizowani.

- Wezmę to pod uwagę - powiedziała zadowolona, że musiał wejść do środka. Był dla niej bardzo miły i zastanawiała się, jak by zareagował, gdyby wiedział, że jest córką największej zmory brytyjskiego mandatu, słynnego żydowskiego bojownika, Szmarii Boralevi. Czy palnąłby jej kazanie? Umył ręce? Zawiadomił władze?

Jedno wiedziała na pewno: musi być bardzo ostrożna. Jedno niebacznie wypowiedziane słowo i mogą ją śledzić. Nie wątpiła ani przez chwilę, że władze brytyjskie będą chciały wykorzystać ją do schwytania jej ojca. Czowała rosnący dreszcz strachu, w miarę jak zbliżał się ląd i mogła już rozróżnić pojedyncze domki na zielonym stromym zboczu.

A więc dotarłam, myślała. Nie jestem już Tamarą, legendą ekranu. Jestem zwykłą Tamarą Boralevi. Nie mam się za czym ukryć. Jestem zwyczajną kobietą, która umiera ze strachu przed przyszłością. Będę mogła sprawdzić, czy wybrałam słusznie, czy był to mój największy błąd w życiu. Oddychała głęboko, starając się uspokoić.

Przyszedł kapitan, więc odwróciła się do niego. Oczy błyszczały jej z niecierpliwości. Palestyna, nareszcie, w końcu!

- Gdzie przycumujemy? - spytała.

- Tam, po prawej - wskazał kapitan Goodhew. - Najgłębiej. Znów było pogłębione w zeszłym roku.

- Patrzcie! Płynie do nas łódka - zawołała Inge.

- To jeden z pilotów portowych i brytyjski agent celny. Pomogą nam przybić w porcie i załatwić formalności. Nadałem przez radio, że mam panią na

pokładzie, i pozwolą pani zejść już tutaj. Będzie pani na łądzie przed wszystkimi i uniknie Części formalności. Spakowane?

- Tak, nasze walizki są w kabinie, gotowe.

- Dobrze.

Kapitan wszedł do sterówki, a po chwili pojawił się znów, uśmiechnięty.

- Załatwiłem, żeby przenieśli pani bagaż na pokład. A teraz, proszę mi wybaczyć, ale muszę przejąć ster od pierwszego oficera. - Wyciągnął rękę. — Było mi bardzo miło gościć panią na pokładzie.

Tamara uśmiechnęła się ciepło i uścisnęła jego dłoń.

- To była bardzo przyjemna podróż, panie kapitanie. Dziękuję.

Jeszcze jeden uścisk dłoni i kapitan odszedł, a one pośpieszyły do swej kabiny - dwa pokłady niżej. Tamara nuciła jakąś melodię. Gdyby nie upał, który już zaczynał dawać znać o sobie, i mało eleganckie otoczenie na starym statku, mógłby to być jacht marzeń, płynący gdzieś między oceanem a niebem.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwa - powiedziała uradowana Inge. - Dawno nie śpiewałaś.

- To dlatego, że w końcu spełnia się jedno z moich marzeń. Wyobraź sobie, Inge, już prawie jesteśmy!

- Ja, tak to wygląda.

Zabrały torebki i kapelusze i rozejrzały się, czy coś nie Zostało. Tamara usiadła przed lustrem i przekrzywiła zawadiacko kapelusz na jedno oko. Uśmiechnęła się do siebie. Kapelusz doskonale pasował do jej jedwabnej sukienki w duże, czerwone grochy na białym tle. Wyglądała sztywnie i wesoło. Pasował też do jej nastroju.

Wyszły z powrotem na pokład, gdzie intendent wręczył im paszporty, które zgodnie z przepisami musiały mu oddać wchodząc na statek.

Tamara otworzyła torebkę, wyjęła z niej sto dolarów i wcisnęła mu do ręki.

- Może będzie pan uprzejmy rozdzielić to między załogę, jak należy, w dowód wdzięczności?

- Z przyjemnością, miss Tamara. - Ukłonił się wytwornie. - Czy mogę podziękować za przyjemną podróż?

Silnik zwolnił obroty, przypłynął pilot, rzucono cumy i obniżono trap. Pilot i dwaj celnicy w mundurach, w szortach o zaprasowanych kantach i w podkolanówkach, wdrapali się na statek. Zniesiono bagaż, a następnie ostrożnie zeszły Tamara i Inge. Gdy usiadły w łodzi, odwiązano cumy i silniki odżyły. Łódź gnała do przodu z uniesionym dziobem, rozpryskując chłodną wodę.

Odległość malała, a napięcie Tamary rosło. Jej nowo odkryte korzenie... jej odziedziczona po przodkach wiara... nie mogła już powstrzymać wzruszenia: zbliżała się do Ziemi Obiecanej. Jeszcze niecały kilometr i postawi nogę na ziemi Palestyny.

Małe biuro odpraw paszportowo-celnych było duszne, mimo otwartych okien i leniwie pracującego wentylatora.

Brygadier George Edward Diggins przypatrywał im się podejrzliwie zza biurka, a jego palce wertowały ich paszporty, jakby to była talia kart. Wyraz twarzy miał taki sam jak wszyscy urzędnicy w portach, w których zatrzymywał się „Lerwick”, tyle że ten był Brytyjczykiem, a Brytyjczycy znani są z dokładności. Jego asystent, sierżant Carne, stał przy drzwiach.

Jakbyśmy byli przestępcami gotowymi do ucieczki, pomyślała Tamara.

Brygadier dokładnie oglądał jej zdjęcie w paszporcie, później zerkał na nią, a Tamara patrzyła mu prosto w oczy. Cieszyła się, że kapelusz skrywa jej choć jedno oko, czuła się mniej bezbronna. Nie zagadywała ani nie śpieszyła się z żadnymi informacjami. Urzędnicy paszportowi i celni są jak policjanci i im zostawia się odpytywanie.

Przyglądała się Digginsowi, który studiował jej zdjęcie. Był szczupłym, jasnowłosym Anglikiem o jasnych, wypłowiałych na słońcu włosach, dziobatej twarzy, szparami między pożółkłymi zębami i cieniutkim wąsikiem. Gdy go tylko zobaczyła, wiedziała, że będą kłopoty. Był strasznie ważny, taki typ

urodzonego wojskowego, który wszystkich cywilów, niezależnie od ich pozycji, traktuje jak kogoś znacznie niższego gatunku.

Zaczęło ją to złościć.

- Miałam wrażenie, że zostałam dowieziona na ląd motorówką, żeby przyspieszyć zwykłe formalności - powiedziała, opierając ręce na poręczach fotela.

- Czasami tak bywa - mówił specjalnie wolno, przewracając strony w paszporcie - ale często bywa inaczej.

- Na przykład kiedy?

- Mogą być pytania, zanim pozwolimy niektórym przybyszom pozostać. - Odchylił krzesło i oparł się, patrząc na nią kamiennym wzrokiem. - Przyjechała tu pani z biletem w jedną stronę. Czy to znaczy, że zamierza pani emigrować?

- Jestem gościem. Może pan nie zauważył, ale mam również z sobą inny bilet, powrotny. Zmieniłam plany i popłynęłam „Lerwickiem” tylko dlatego, że był to pierwszy statek przypluwający tu z Marsylii.

- Gość. - Pokiwał głową. - Pielgrzymująca? Turystka?

- Turystka.

- A pani cel? Zaśmiała się cicho.

- No jak to? Tutaj, oczywiście. Palestyna. Czy to nie jasne?

- A konkretnie - mówił cicho. Wzruszyła ramionami.

- Jest dużo do zwiedzania. Postanowiłam rozpocząć od Tel Awiwu.

- To dziwny wybór. Większość ludzi jedzie najpierw do Jerozolimy. Dlaczego do Tel Awiwu?

- A dlaczego nie? Słyszałam, że na wybrzeżu jest chłodniej, a poza tym, jest dogodnie położony. Mogę pojechać stamtąd na północ do Tyberiady, na wschód do Jerozolimy i nad Morze Martwe... Wygodniej.

- Rozumiem. Ma pani zarezerwowany hotel? Potrząsnęła głową.

W jego oczach rozbłysło zainteresowanie.

- Więc będzie pani u przyjaciół?

- Nie. - Była coraz bardziej zdenerwowana. - Dlaczego pan mi zadaje te wszystkie pytania?

- Więc gdzie ma pani zamiar się zatrzymać?

- Chciałam spróbować w Rehot Dan Hotel. Polecano mi go.

- Rehot Dan? To nie jest miejsce, w którym spodziewałbym się tak dostojnego gościa jak pani - skrzywił się.

- A czego pan by się spodziewał? - Popatrzyła mu w oczy, jakby go próbując.

- A... ehm... cel pani wizyty?

- Właśnie taki - odpowiedziała spokojnie. - Wizyta. Popukał palcami w zniszczony blat biurka.

- A jak długo ma pani zamiar zostać? Wzruszyła ramionami.

- To zależy od tego, jak nam się będzie podobało. Kilka dni... kilka tygodni... może nawet kilka miesięcy. To są moje pierwsze wakacje od paru lat i mam zamiar w pełni je wykorzystać.

- Rozumiem. Tu napisano, że nazywa się pani Tamara Boralevi - powiedział łagodnie. Uniósł jej paszport i pomachał nim.

- To moje panieńskie nazwisko. Zawodowo jestem znana jako Tamara, ale ponieważ nawet gwiazdy filmowe nie mogą się obyć bez nazwiska w dokumentach, więc wróciłam do panieńskiego po śmierci męża.

- Normalnie gwiazdę taką jak pani przepuścilibyśmy prędko bez żadnego problemu, ale takie nazwisko... zmienia sprawę, nieprawdaż?

Tamara patrzyła na niego obojętnie, założywszy nogę na nogę. Czekwała cierpliwie.

- Muszę się upewnić - powiedział ostro Diggins - czy jest pani krewną niejakiego Szmarii Boralevi.

Tamara z trudem opanowała panikę, ale nie mogła powstrzymać gorącego rumieńca, jaki zalał jej twarz.

- Boże, jak tu gorąco - mruknęła. Wzięła jakiś papier z biurka Digginśa i zaczęła się nim wachlować. - Czy możemy to zakończyć, nim zemdleję z gorąca?

- Szklanekę wody. - Diggins pstryknął palcami i sierżant ruszył się natychmiast. Podał jedną szklanekę Tamarze, jedną Inge.

Tamara piła powoli, a Diggins ciągnął dalej.

- To bardzo niebezpieczny kraj. Arabowie są bardzo wrogo nastawieni do napływających uchodźców żydowskich, więc usilnie się staramy zachować tu pozory spokoju. Proszę mi wierzyć, panno... Boralevi, nie chcielibyśmy mieć wojny w Palestynie.

- Ja też nie. Ale co to ma wspólnego ze mną? - Myśli jej wirowały. Powinna była przewidzieć coś takiego. Go za głupota. Trzeba było przyjąć nazwisko męża. Teraz może ich doprowadzić wprost do ojca.

- Nazywa się pani tak samo jak znany szmugler broni na tym terytorium - ciągnął brygadier. - My uważamy, że im mniej broni znajduje się w rękach ludności cywilnej, tym większe szanse na pokój w Palestynie.

- Bardzo szlachetne, ale, z całym szacunkiem, nie rozumiem tego wszystkiego. Co moje nazwisko ma wspólnego z tym przesłuchaniem? Nie jestem szmuglerem broni.

- Nie mówiłem, że pani jest - odpowiedział cierpliwie. - Pytamy panią tylko o związek z człowiekiem, który jest poszukiwany za przemoc i transport broni. To bardzo poważne zarzuty.

- Panie brygadierze - zaczęła z emfazą - przeszukał pan dokładnie moje bagaże i nie znalazł pan nawet pistoletu. Naprawdę nie mogę tutaj siedzieć i tolerować pańskich zarzutów.

- Droga pani, niczego pani nie zarzucamy. Proszę zrozumieć naszą sytuację. Nazwisko Boralevi jest jak czerwona chorągiewka. Kiedy się pojawia, musimy być czujni. Nie ma tu żadnych wyjątków.

- Więc może coś panu o sobie opowiem. Moją matkę ledwo pamiętam, mojego ojca wcale. Jako sierota, byłam wychowywana przez pannę Meier. - Wskazała na Inge. - Większość swojego życia mieszkałam w Stanach Zjednoczonych, a ostatnie siedem lat spędziłam na robieniu filmów. Nie mam żadnej rodziny. To jest moja pierwsza i niewątpliwie ostatnia wizyta w Palestynie. Nie mam pojęcia, co się tu dzieje. Nie wiem prawie nic o Bliskim Wschodzie, ale muszę powiedzieć, że coraz mniej mi się to podoba. Jeśli nie jestem tu mile widziana z powodu swojego nazwiska, to może zechce mi pan pomóc w zorganizowaniu podróży do Grecji, albo dokąd tam płynie najbliższy statek.

- Nie chciałem sugerować...

- Proszę - przerwała mu. - Niech mi pan tego oszczędzi. Nie mam ochoty zostawać tu, gdzie mnie nie chcą. - Wykorzystując cały swój talent, uniosła głowę, żeby móc skupić na nim wzrok i zagrać jak przed kamerą. - Chciałabym pana również poinformować, ale to już poufnie - zniżyła głos - że kiedy kilka miesięcy temu byłam w Londynie, wasz król poprosił mnie, żebym wracając wstąpiła i przekazała mu swoje zdanie na temat Palestyny. Obawiam się, że teraz niewiele będę miała do powiedzenia prócz tego, że zostałam zastraszona i upokorzona przez jednego z jego wiernych poddanych.

Wpatrywał się w nią, gdy wstała.

- Choć, Inge. Zostawiamy ten ogień piekielny i zapytamy, czy kapitan Goodhew zechce nas przyjąć z powrotem na pokład „Lerwicka”. - Odwróciła się i skierowała do drzwi, a Inge, patrząc z niedowierzaniem, zmieszana, ruszyła za nią.

Diggins patrzył studiując ruchy Tamary, by przekonać się, czy blefuje. Na pewno. A może nie?

Wkrótce dojdzie do drzwi. Powstrzymał okrzyk gniewu, skoczył na równe nogi i stanął przed nią przy drzwiach.

- Poproszę, panno Boralevi, niech pani się tak nnnie śpieszy - jękał, zagradzając jej drogę swym ciałem. - Nie chciałem pani obrazić. Musiałem zadać te pytania. - Odchrząknął. - Szkoda byłoby tak szybko wyjeżdżać ze złym wrażeniem, nieprawdaż? - Usiłował się uśmiechnąć, ale bez rezultatu.

Patrzyła na niego, jakby podejmując decyzję. Widziała kropelki nerwowego potu na jego czole i plamy pod pachami. Zrobiło się jej wstyd. Jak łatwo przychodziły jej zręczne kłamstwa i udawanie - to musi być pozostałość Hollywood. Ale musi chronić ojca. Za wszelką cenę.

W końcu uniosła głowę i na jej ustach pojawił się lodowaty uśmiech.

- Dobrze, rozumiem, że możemy iść? Szybko skinął głową.

- I nie zapomnijcie paszportów. Tu nie Ameryka. Trzeba mieć cały czas przy sobie jakiś dowód tożsamości.

Szybko wzięła od niego paszporty i wsunęła do torebki.

- Jestem pewien; miss Boralevi, że nasz komisarz okręgowy, sir William Hippisley, będzie zachwycony, mogąc panią poznać. On i lady Juliet w każde sobotnie popołudnie urządzają otwarte przyjęcia dla gości anglojęzycznych.

- To bardzo miło, ale ja chcę tu podróżować incognito. Nawet nie chcę się rejestrować w hotelu pod swoim własnym nazwiskiem. Byłabym wdzięczna, gdybym mogła zachować prywatność.

Wzruszył ramionami.

- Jak pani sobie życzy, ale sir William i lady Juliet będą zawiedzeni, delikatnie mówiąc.

- Ja również, ale nie chcę być traktowana w czasie swego pobytu tutaj jak gwiazda filmowa. Chciałabym się wmieszać w tłum i prowadzić życie zwyczajnej turystki. Miłego dnia, panie brygadierze.

- Miłego dnia, panno Boralevi - Diggins odwrócił się i zawołał sierżanta Carne. - Sierzancie! - warknął; - Dopilnuj, żeby bagaże panny Boralevi zanesiono do któregoś z naszych samochodów. Proszę ją zawieźć, dokąd zechce, na koszt departamentu. I przyłóż się do tego, człowieku.

- Tak jest! - Sierżant stanął sztywno i zasalutował. Później zrobił zręczny piruet i odmaszerował.

- To naprawdę nie było konieczne. Tel Awiw jest zbyt daleko, żebym mogła przyjąć taką ofertę.

- Drobiazg.

W głowie zadzwoniły jej dzwonki alarmowe. Nalegając na to, że któryś z jego ludzi ją podwiezie, zyskiwał przewagę i będzie mógł kontrolować każdy jej krok. Musi mu jakoś odmówić i wydostać się z jego szponów, bo inaczej trafią do jej ojca.

- Naprawdę nie mogę tego przyjąć. Z pewnością pańscy ludzie mają ważniejsze sprawy niż eskortowanie mnie do hotelu.

- Wręcz przeciwnie, nie mogę sobie wyobrazić żadnego, który odmówiłby spełnienia tak przyjemnego obowiązku.

- Potrzebuję tylko pomocy w wynajęciu samochodu - protestowała. - Gdyby pan zechciał...

- Nawet nie chcę o tym słyszeć. Proszę przyjąć tę ofertę jako sposób przeprosin...

Zrobiło się jej niedobrze. Została przechytrzona i teraz musi się jakoś wycofać.

- Jak mogę odmówić?

- To taki drobiazg, żeby wynagrodzić pani to zdenerwowanie. - Uśmiechnął się lekko, ale jego zmrużone oczy lustrowały ją bacznie. - Biorąc pod uwagę fakt, że pozwoliłem pani wjechać do tego kraju, czuję się odpowiedzialny za pani bezpieczeństwo. Nie będzie pani miała nic przeciwko temu, że od czasu do czasu sprawdzę, jak się pani powodzi? Żeby się upewnić, czy nic się pani nie stało? Spojrzała zdumiona.

- A któż mógłby mi zrobić jakąś krzywdę?

- Kto to wie. To dziwny kraj, w którym przemoc jest sposobem na życie.

- Pan mi nie ufa, prawda? - zmusiła się do słabego uśmiechu.

- Wręcz przeciwnie. Po prostu nie chcę, żeby coś się pani stało. Zwłaszcza że król, pani przyjaciel, mógłby uznać, że jestem osobiście odpowiedzialny.

Skinęła głową.

- Dziękuję - powiedziała krótko. - Jestem pewna, że panna Meier i ja będziemy spokojnie spały wiedząc, że jesteśmy pod pana opieką. - Wyciągnęła swą szczupłą, białą rękę, a on ją uścisnął. Otworzył jej drzwi, a Tamara przekraczając próg, zawahała się. - Panie brygadierze...

Spojrzał pytająco.

- Ten... Simon Boralevi...

- Szmaria Boralevi - poprawił.

- Wszystko jedno. - Machnęła ręką. - Czy on wciąż działa?

- Obawiam się, że tak.

- Więc chyba dobrze pan zrobi podwajając wysiłki, żeby go schwytać - oświadczyła uroczyście.

- Właśnie to robię. - Uśmiechnął się krzywo, a ona mimo żaru poczuła arktyczny chłód.

Nie podobała jej się zabawa w kotka i myszkę, zwłaszcza że myszką był jej ojciec, a ona miała służyć jako przynęta. Będzie musiała bardzo uważać. Było to coś zupełnie innego niż robienie filmów.

Dwie godziny przed zachodem słońca. Środa. Minęło trzynaście dni od czasu, gdy zamieściła ogłoszenia w „Davar” i „Haaretz”, dwóch dziennikach wychodzących w Tel Awiwie. Obie z Inge siedziały na tyłach hotelu pod daszkiem osłoniętym winoroślą. Na talerzach miały jeszcze resztę kolacji. Temperatura spadła, wiał łagodny wietrzyk, szeleszcząc liśćmi nad ich głowami i kraciastymi obrusami. Tamara siedziała w milczeniu, stukając paznokciem po zębach i wpatrując się w fale, rozbijające się o brzeg. Była zatopiona w myślach, miliony kilometrów stąd.

Inge już miała nabrać na widelec zapiekankę z porów i ziemniaków, gdy zauważyła jej nieobecne spojrzenie. Przysunęła się do Tamary i powiedziała, uśmiechając się łagodnie:

- Niedługo da ci znać. Wiem, że tak będzie.

-Już prawie dwa tygodnie. Coś się stało, bo przecież inaczej już dawno by się ze mną skontaktował.

- Może gdzieś wyjechał. Albo jest bardzo zajęty. Może nawet jeszcze nie przeczytał twojego ogłoszenia. Musisz być cierpliwa. Może problem w tym, że czekasz na to zbyt niecierpliwie.

- Jak to?

- Im dłużej tu siedzimy, nic nie robimy, tylko czekamy na niego, tym bardziej czas nam się dłuży - powiedziała Inge filozoficznie. - Jest tyle rzeczy do zobaczenia i do zrobienia. Nie mówię, że czekanie jest złe, ale jak będziesz się koncentrować tylko na tym, to oszalejesz.

- Ale przecież zwiedzałyśmy - zaprotestowała Tamara. - Pojechałyśmy do Tyberiady, widziałyśmy Jezioro Galilejskie, byłyśmy w Jerozolimie...

- O to mi właśnie chodzi! Dwie wycieczki w ciągu dwóch tygodni! Ty to nazywasz zwiedzaniem?

- Wiem, że jest dużo więcej do zobaczenia, ale czy naprawdę sądzisz, że będę się włóczyła po jakichś ruinach i kościołach, kiedy umieram z niecierpliwości czekając na wiadomość od ojca?

- Lepsze to niż chodzić po ścianach.

- Jeszcze nie chodzę po ścianach. Jestem tylko trochę... zniecierpliwiona. - Schwyciła swój kieliszek z winem i wychyliła jednym haustem.

Inge zmrużyła oczy.

- Gdybyś była kotem, chodziłabyś tam i z powrotem po dachu. - Twarz jej złagodniała i przechyliła głowę. - Tamara, wiesz, że chcę tylko tego, co dla ciebie najlepsze. Chcę, żeby ci było łatwiej.

Tamara oparła łokieć na stole i położyła brodę na ręce. Spojrzała na Inge i powiedziała powoli:

- Zaczynam nie znosić tego miejsca. Jest okropne, nudne i brudne. Nie wyobrażam sobie, że ktoś chce tu żyć. Jeśli o mnie idzie, Arabowie mogą je sobie zatrzymać.

Inge była zdumiona.

- To dlatego, że nie dajesz mi szansy. Mnie się raczej podoba.

- Kto cię o to pyta - syknęła Tamara głosem ostrym jak ostrze szabli. - Dlaczego nie możesz się po prostu zamknąć?

Inge patrzyła z niedowierzaniem. Odezwała się w końcu głosem suchym i obcym.

- Tamara, nie bądź taka.

- Jaka?

Inge nachyliła się przez stół i machnęła widelcem w powietrze.

- Wiesz, jaka. Jak rozpuszczony dzieciak. To nie przystoi. Ostatni raz tak się zachowywałaś, jak miałaś dwa czy trzy lata, w Pałacu Daniłowów. Nigdy nie zapomnę, jaka byłaś wściekła, kiedy już nie mogłaś się bawić w dzieciennym pokoju w pałacu, tylko musiałaś się zadowolić kilkoma swoimi zabawkami. Dałam ci wtedy w pupę.

Tamara spojrzała zdumiona.

- Naprawdę? Nie pamiętam, żebyś mi kiedyś dała lanie.

- Naprawdę - potwierdziła Inge. - I znów na to sobie zasłużyłaś.

Nagle Tamara poczuła się okropnie. Było jej przykro, że tak się odezwała, że wyładowała złość na Inge. Inge jej matkowała, dbała o nią, dla niej zaczynała wciąż gdzieś żyć od nowa.

- Przepraszam, Inge. Nie chciałam być taka wstrętna. Nie wiem, co mnie napadło. - Potrząsnęła głową. - Mam już nerwy tak roztrzęsione, że nie zdawałam sobie sprawy, jaka się stałam niemożliwa.

- Więc teraz, kiedy już wiesz, zrób z tym coś. I ufaj mi. - Inge pogroziła palcem. - Wczoraj moje uszy dzwoniły, a to znaczy, że ktoś myślał i rozmawiał o nas i ktoś się pojawi. Mam rację, zobaczysz.

W tej chwili jakiś cień przesłonił im słońce.

- Czy to możliwe, że dzwoniło pani w uszach, ponieważ ja się wybierałem panie odwiedzić? - odezwał się po angielsku jedwabisty głos.

Tamara spojrzała, zaskoczona. Pojawił się tak bezszelestnie, że ani Inge, ani ona nie zauważyły go. Nie spodziewała się, że brygadier Diggins spełni swoją groźbę.

Z jego wyrazu twarzy nie można było się zorientować, czy usłyszał coś ważnego. Stuknął obcasami, po czym uklonił się lekko.

- Dobry wieczór paniom - powiedział grzecznie. - Mam nadzieję, że się panie dobrze bawią?

Ustawił się bardzo sprytnie, zauważyła Tamara, tak że słońce świeciło za nim, jego twarz ocieniał daszek czapki, natomiast jej, skąpana w słońcu, ukazywała wszystkie uczucia. Nie należy go nie doceniać. Jest bardzo przebiegły.

Unosząc brwi, powiedziała:

- O, pan brygadier Diggins! Jak miło pana widzieć.

- Obdarzyła go swym najpiękniejszym fałszywym uśmiechem.

- Nareszcie ktoś, kto mówi po angielsku. Mówiłam właśnie panie Meier, że ten bełkot hebrajski i arabski doprowadza mnie do szaleństwa. - Wskazała na puste krzesło. - Wypije pan z nami kieliszek wina?

- Przepraszam, ale nie mogę zostać. Właśnie przejeżdżałem, gdy uświadomiłem sobie, jak bardzo zaniedbuję swoje obowiązki.

- Obowiązki? Chyba nie rozumiem.

- Nie sprawdzałem pani tak często, jak obiecywałem. Pomyślała: Czy tylko wyobrażałam sobie, że ktoś nas stale szpieguje?

- Jest pan zajęтым człowiekiem. Trudno, żeby był pan wszędzie.

Zwrócił się do Inge.

- A jak pani się tu podoba? Uśmiechnęła się blado.

- Raczej mi się podoba. Bardziej niż Tamarze. Ponownie zwrócił się do Tamary.

- Więc musi być jakiś powód, skoro pani zostaje, mimo że nie jest pani taka zachwycona. Dla pani Meier?

Tamara wytrzymała jego spojrzenie, wiedząc, że gdyby spuściła wzrok, nie wzbudzałaby jego zaufania.

- Tak i nie - powiedziała powoli. - Wie pan, byłam przez długi czas tak przepracowana, a później jeszcze ta podróż... byłam zupełnie wykończona. Myślę, że przeżywam jakby okres rekonwalescencji. Mam nadzieję, że morze i słońce postawią mnie na nogi.

- Aha. To wyjaśnia, dlaczego pani nie wyjeżdża stąd częściej.

A więc ma ludzi, którzy je szpiegują.

- Wdzięczna jestem, że chociaż nie może pan być przy nas osobiście przez cały czas, jesteśmy naprawdę pod pana ochroną

- powiedziała oschle.

- Jak sobie przypominam, powiedziałem pani przy wjeździe, że jest pani bardzo ważnym gościem.

Czy kpi sobie ze mnie? - pomyślała.

- Widzę, że naprawdę mam szczęście. Dokądkolwiek jadę, mam anioła stróża. W Hollywood bardzo o mnie dbał szef wytwórni, a tutaj mam pana. Czegóż więcej można chcieć?

- Ostrożności - zasugerował. - Dotychczas, mimo ryzyka, nic się pani nie przydarzyło. Mam nadzieję, że i dalej tak będzie. - Dotknął błyszczącego daszka czapki i ukłonił się.

- No, naprawdę muszę już iść. Mam nadzieję, że zobaczymy się wkrótce.

Tamara skłoniła głowę.

- Z pewnością.

- I czy mogę zaproponować, żeby pani trochę więcej zwiedzała? Byłoby szkoda, gdyby pani nie poznała Palestyny. To jest niespokojny, ale piękny kraj. Żegnam panie. - Odwrócił się i odmaszerował.

Patrzyły, jak znika za rogiem hotelu. Tamara wzięła łyżeczkę i bawiła się nią. Inge ma rację. Powinny częściej jeździć na wycieczki. Nagłe pojawienie się Digginsa oznaczało, że niezbyt przekonująco odgrywały role turystek. Jeśli chce ich odwieść od ojca, powinna zabrać się do tej roli z większą pasją. A poza tym, może rzeczywiście czas będzie szybciej płynął? Wszystko było lepsze od tego niekończącego się czekania. Zresztą, jeśli będą się bardziej kręciły, utrudnią życie Digginsowi. Poczowała, że Inge dotyka jej ramienia, i spojrzała na nią.

- Dobrze się czujesz?

- Tak - zapewniła ją Tamara - tylko nie chcę już nic jeść. Jeśli mamy zacząć od jutra zwiedzanie, to chodźmy wcześniej spać.

Ten dźwięk.

Jak kamyczek rzucony w spokojny staw, od którego rozchodzą się fale, schodzące w dół, coraz niżej, aż do głębi jej snu. Leżała nieruchomo na boku, z jedną ręką płasko na poduszce, pod prawym policzkiem. Zmarszczyła czoło nasłuchując.

Znów rozległ się ten dźwięk.

Otworzyła oczy, ale instynktownie, wyczuwając niebezpieczeństwo, przymknęła je, patrząc przez przymknięte powieki i powstrzymała się przed poruszeniem. Opanował ją paraliżujący strach. Nie mogła oddychać, jakby czyjeś ręce zacisnęły się na jej gardle. Udało jej się pokonać strach na tyle, żeby się nie udusić.

Skrzyyyyp.

To gdzieś za mną, pomyślała. Serce podskoczyło jej do gardła. To nie sen. To było bardzo prawdziwe skrzypienie podłogi i płytki ludzki oddech. Ktoś się do niej zakradał.

Gdy kolejny raz usłyszała ten dźwięk, był już znacznie bliżej. Wtedy właśnie powiał wiatr. Dmuchał w firanki, które wzduły się i przybliżyły do niej jak dwa białe duchy. Omal nie zemdląła ze strachu.

Starła się oddychać wolniej, żeby w ciszy łatwiej zlokalizować tego kogoś, kto był z nią w pokoju. W ten sposób będzie wiedziała, w którą stronę uciekać.

Musi uciec. To kwestia instynktu samozachowawczego. Im szybciej opuści ten pokój, tym lepiej. Przynajmniej nie musiała biec daleko. Pokój Inge był tuż po drugiej stronie holu. Załedwie dwadzieścia kroków.

Przygryzła wargę. Za długo czekała. Głęboko odetchnęła, żeby się uspokoić, odrzuciła przykrycie i wyskoczyła nagle z łóżka.

Gdy tylko lewą stopą dotknęła podłogi, przełożyła na nią cały ciężar ciała i wykonała piruet. Nie zwracając na nic uwagi rzuciła się wprost do drzwi i wpadła w ramiona jakiejś ciemnej postaci.

Zaczęła krzyczeć, ale natychmiast szorstka ręka zatkała jej usta. Wykręcała się na wszystkie strony. Przez chwilę walczyła, wpijając się paznokciami w jego ramię, ale na próżno. Był za silny. Opuściła ręce, zrezygnowana.

- Wezmę rękę, jeżeli obiecasz, że nie będziesz krzyczała - szepnął głos z obcym akcentem. Wzdrygnęła się. Czowała jego pot, a każde wypowiedane przez niego słowo było ciepłym oddechem na jej szyi.

- Rozumiesz? Jeden dźwięk i będę cię musiał zakneblować, tak? - Jego angielski był płynny, ale jak to w przypadku osób wielojęzycznych, za każdym razem kończył zdanie twierdzące pytaniem.

Na moment oczy jej rozbłysły na takie wyzwanie, ale zgasły. Skinęła głową.

Wziął rękę, ale trzymał ją tuż przed jej ustami. Jej oczy przyzwyczały się już do ciemności, dostrzegła więc, że ma więcej niż metr osiemdziesiąt wzrostu. Nie mogła przyjrzeć się jego twarzy, tonęła w cieniu.

Kim był?

Nim zebrała się na odwagę, by spytać, sam odpowiedział na jej pytanie.

- Nazywam się Dani ben Yaacov. Przesłano mnie, żebym cię zabrał do twojego ojca.

Kiedy był już pewien, że nie będzie krzyczała, podszedł bezszelestnie do okna, zamknął drewniane okiennice i zasunął zasłony. Na moment w pokoju zapanowała kompletna ciemność, lecz po chwili zapalił górne światło.

Zorientowała się natychmiast, że ubrana jest tylko w przezroczystą nocną koszulkę, a w rękach wciąż trzyma koc, który z siebie zerwała, chcąc uciekać. Wciąż jeszcze dyszała z przerażenia, rozczochrane włosy zwisały wokół twarzy. W żyłach wciąż czuła napływ adrenaliny, mogła mocować się z gigantami.

Bez ostrzeżenia rzuciła się na niego jak czarownica.

- Jak śmiałeś! - syczała wściekle. Machnęła ręką w powietrzu. - Wkradać się do mego pokoju bez ostrzeżenia, kiedy śpię. Wystraszyłeś mnie śmiertelnie! Myślałam, że to ktoś przychodzi, żeby mnie...

- Zgwałcić. - Jej zdenerwowanie wydało mu się zabawne. - Może innym razem, kiedy nie będziemy się tak śpieszyć.

- Ty... chytry wiewęzu - wyjąkała. - Ty tchórzliwy, podły, nędzny, wredny...

- Ach, jakie urozmaicone przymiotniki. Doskonale władasz językiem. Twój ojciec miał rację: jesteś świetną aktorką.

Zarumieniła się pod jego badawczym spojrzeniem.

- To wszystko, co masz na swoje usprawiedliwienie? Przestraszyłam się jak nigdy w życiu, a...

- Wyglądasz pięknie, kiedy się złości. Naprawdę, bardzo ci z tym do twarzy. Masz bardziej szmaragdowe oczy i piegi na nosie ci ciemnieją.

- P-piegi - zdołała wykrztusić.

Dlaczego tak się w niego wpatruję? Nie mogę od niego oderwać oczu, zastanowiła się.

Cokolwiek to było, coś w nim zupełnie ją rozbroiło. Jego szczery uśmiech, w którym odsłaniał wszystkie zęby, a na brodzie i policzkach ukazywały się dołki? A może ten koci błysk w brązowych oczach, które wpatrywały się w nią tak

przenikliwie, jakby chciały dotrzeć do jej duszy? Czują, że jakaś wszechmocna siła rzuciła urok i zawładnęła jej emocjami.

Nie było w nim nic sztucznego, był zupełnie naturalny, taki, jakimi chcieliby się wydawać idole filmowi. Mógł mieć dwadzieścia osiem lat. Miał opaloną, kościstą twarz, silną szczękę, gęste, ciemne, kręcone włosy. Jego usta były zmysłowe, ale okrutne, i tylko dzięki temu, że jego nos nie był tak zupełnie klasyczny i rozpoczynał się już prawie od brwi - nie można go było nazwać absolutnie przystojnym. Mimo jego pewności siebie i humoru tryskającego z olbrzymich oczu, malował się w ich głębi jakiś smutek. Czują, że aby poznać go naprawdę, należałoby odkrywać cierpliwie, jedna po drugiej, jego zewnętrzne warstwy.

Była zauroczona. Było w nim coś, co poruszało w niej wszystkie struny, powodowało, że przeszywały ją dreszcze i budziła się namiętność, jakiej nie czuła nawet wtedy, gdy poznała Louisa.

Próbowała oderwać od niego oczy, ale bez skutku. Był równie oszołomiony jej obecnością, jak ona jego. Mimo pozornej obojętności czuł, że życie ich obojga jakoś się zmieniło.

- Nie mamy chwili do stracenia. Im prędzej się ubierzesz, tym prędzej wyruszymy.

Trzymała przed sobą koc, zdając sobie sprawę, że jest głupio wstydliwa. Nic nie zmieniało faktu, że miała na sobie tylko cienką koszulkę. Udało jej się zebrać siły i odezwać:

- Musisz gdzieś zaczekać, jeśli mam się ubrać. Potrząsnął głową.

- Już przyjście tutaj było dużym ryzykiem. Moje stanie na korytarzu wzbudziłoby zainteresowanie, tak?

Przebiegły był, na wszystko miał odpowiedź.

- Łazienka! - Go, do diabła z jej głosem; Ostry, przenikliwy. - Drugie drzwi na lewo! Zamkniesz się i nikt cię tam nie zobaczy.

Uśmiechnął się szerzej, ale nie drgnął.

- Będę gotowa za pięć minut. No, idź! Zatknał kciuki za pasek.

- Myślę, że chcesz się mnie pozbyć. Boisz się mnie, tak? Czy jesteś po prostu wstydliva?

- Bardzo wstydliva. Jak tylko będę gotowa, przejdę przez korytarz i powiem mojej przyjaciółce Inge, że wyjeżdżam. Potem zastukam do drzwi łazienki i pójdziemy, - Policzyła w myślach i na „trzy” udało jej się oderwać od niego wzrok. Odwróciła się, podchodząc do szafy. - A w ogóle, to dokąd jedziemy?

- Niedaleko stąd, do kibucu Ein Shmona. Ale proszę, nie mów swojej przyjaciółce. Im mniej ludzi wie...

- Tym bezpieczniej dla mojego ojca. Jak długo mnie nie będzie?

- Dzień lub dwa. Najwyżej trzy.

- Co mam zabrać?

- Małą torbę z najpotrzebniejszymi rzeczami. I ubierz się wygodnie. To dzika okolica.

Kiwnęła głową, na wszelki wypadek nie patrząc mu w oczy.

- A teraz idź. - Otworzyła drzwi.

Przez chwilę nie ruszał się, czekając, czy go wyrzuci. Zaczerwieniła się, ale też nie drgnęła. W końcu przesłał jej w powietrzu całusa i wyszedł na korytarz.

Zamknęła za nim drzwi i oparła się o nie. Czuła się jednocześnie niepewna, zdumiona, osłabiona i podniecona.

Potrząsnęła głową, starając się pozbyć jego obrazu, ale coś jej mówiło, że będzie on powracał, choćby się nie wiem jak starała, by go wymazać lub od niego uciec.

Zbliżamy się do Ein Shmona - powiedział w końcu Dani, gdy po męczącej, całonocnej jeździe wspięli się na wyjątkowo strome wzgórze. Tamara wychyliła się do przodu, żeby jak najprędzej zobaczyć osadę, którą jej ojciec pomógł stworzyć. Wyobrażała ją sobie zakurzoną, samotną, trochę jak miasteczka na pograniczu w westernach.

Wtedy wąska droga zakręciła jeszcze raz i wyjechali wreszcie z gór. Wzgórza poniżej kończyły się płaską, kamienną pustynią.

- Tam! - zawołał Dani i wzrok Tamary powędrował za jego palcem. Wszelkie jej wątpliwości zostały rozwiane. To nie było miasteczko z pogranicza, jakie sobie wyobrażała. Widziane ze wzgórz, Ein Shmona było idealnym okręgiem, z połyskującymi dachami domów w środku i bujnymi polami w różnych odcieniach zieleni, rozchodzącymi się na zewnątrz, zupełnie jak kawałki tortu.

To niemożliwe, powiedziała sobie. To wbrew prawom natury. Jak w środku pustyni może istnieć taki wielki ośrodek rolniczy z bujną roślinnością? To złudzenie albo wyobraźnia. Lecz gdy podjechali bliżej, zdała sobie sprawę, że Szmara Boralevi miał rację: rzeczywiście w pustynię tchnięto życie. Rozkwitała.

Wysadził ją koło domu jej ojca. Położony był na skraju, koło pól sałaty i fasolki. Zauważyła, że domy stały rzadziej niż w środku koła. Zapewne ten dom, jak i kilka innych na obwodzie koła, stanowiły pierwszą linię obrony. Im bliżej środka kibucu, tym większa ochrona przeciwko atakom Arabów. Tam właśnie mieściły się: szkoła, przedszkole, świetlica, gabinet lekarski i obory.

Dom był bezpretensjonalny, z płaskim dachem, z biało-różowych, grubo ciosanych bloków. Drzwi były grube i ciężkie. Dani otworzył, lecz sam nie wszedł.

- Zaczekaj w środku - powiedział, podając jej torbę. - Twój ojciec powinien niedługo przyjść.

Mimo upału wewnątrz domu panował miły chłód. Grube, kamienne mury stanowiły dobrą izolację. Słońce przedostawało się tylko wąskimi szparkami w zamkniętych drewnianych okiennicach.

A więc tu mieszkał jej ojciec.

Zawahała się na ułamek sekundy, ale zaczęła się rozglądać. Od czasu, gdy go spotkała w Kalifornii, zastanawiała się, jak jej ojciec żyje: wygodnie czy po

spartańsku, jakie kolory lubi, jakie książki czyta, z czego czerpie siłę i co mu sprawia przyjemność. Był dla niej wciąż tajemnicą, a jak można lepiej poznać człowieka niż badając jego siedzibę?

Były tam dwa pokoje: ten, do którego weszła, był większy. Po jednej stronie drzwi znajdował się wieszak na płaszcze, na którym wisały liczne kapelusze, po drugiej - mało zniszczone lustro. Jak nakazuje tradycja - framugę drzwi zdobiła mezusa w płaskim srebrnym futerale.

Przyjrzała się wszystkiemu dokładnie, żeby niczego nie przegapić. Kamienne ściany były otynkowane i pomalowane na bladoróżowo, a gołe belki pod sufitem były całkiem białe, stwarzając, mimo że pomieszczenia były niskie, wrażenie przestronności. Na środkowej krokwi wisiała kiść zasuszonych winogron.

Na kamiennej podłodze leżały małe, orientalne dywaniki modlitewne, nadając pozory luksusu. Na końcu pokoju stała duża, wiktoriańska komoda, a nad nią wisiało odpowiednie rzeźbione lustro. Po obu stronach stały półki z książkami. Tam, gdzie się dało, na stojących tomach położono inne tak, by wykorzystać wolne miejsce. Podeszła do półki i palcem przebiegała po grzbietach książek. Były tam: Samowyzwolenie Judy Piskera, Der Judenstaat Theodora Herzla i Stara - Nowa Ziemia, również Herzla. Był stary, zniszczony egzemplarz Starego Testamentu, kilka słowników i książki polityczne po hebrajsku, niemiecku, rosyjsku i angielsku.

Na środku pokoju stał okrągły stół otoczony sześcioma wiktoriańskimi krzesłami, które były na nowo pokryte bawełną w niebiesko-białą kratkę. Powoli obeszła stół, dotykając menory - siedmioramiennego świecznika z brązu - stojącej na samym środku. Była chłodna i gładka.

Z radością zauważyła, że nie brak tu było zamiłowania do sztuki. Na jednej ze ścian wisały dwie akwarele przedstawiające kwiaty, a nad półkami - oprawione ryciny z widokiem Jerozolimy. W oszklonej serwantce stały starożytne małe figurki i pojedyncze sztuki porcelany, pochodzące zapewne z

pobliskich wykopalisk.

Drugie drzwi prowadziły do maleńkiej sypialni, w której mieściło się łóżko i malowana szafa. Jej wzrok przykuło własne zdjęcie, stojące w ramce na nocnym stoliku, które zostało wycięte z magazynu. Patrzyła wprost w kamerę, jedną ręką przytrzymując przy szyi połę futra z norek. Było to jedno ze standardowych zdjęć reklamowych, jakie wytwórnia wysyłała do prasy. Wyjęła je z ramki, w szufladce znalazła pióro i napisała na dole zdjęcia: Dla mojego ojca z wyrazami miłości od córki Tamary. Podmuchała, żeby atrament prędzej wysechł. No, na razie chociaż tak.

Włożyła zdjęcie z powrotem w ramkę i chciała wyjść. Przy końcu łóżka poślizgnęła się na dywaniku do modlitwy. Wyprostowując go poczuła, że podłoga lekko się ugięła. Zdziwiona, odsunęła dywanik. W podłodze była kłapa z małym uchwytem. Już chciała za niego pociągnąć, gdy jakiś głos wewnętrzny przypomniał: To nie twoja sprawa. Nie dosyć już szpiegowałaś cudze życie?

Rozważała to krótko. Przy otwieraniu zawiasy zaskrzypiały i kłapa uderzyła w kamienną podłogę. Tamara nachyliła się nad dziurę. Była dziwnie mała, jak na taką ogromną... Och! Cofnęła się przerażona. Inge miała rację: szpiegdy nigdy nie znajdują nic dobrego. Wewnątrz był prawdziwy arsenał: ciemne, ponuro połyskujące pistolety, naoliwione strzelby, kilka karabinów maszynowych, skrzynka bagnetów i dwie skrzynki dynamitu.

Zamknęła prędko kłapę i przykryła dywanikiem. Broni było aż nadto, żeby ją wysłać na tamten świat.

Drżąc weszła do saloniku, otworzyła drzwi i patrzyła na bujne zielone pola. Pracowali na nich pochyleni ludzie jak na pejzażu Milleta, a w oddali zobaczyła strażnika, ze strzelbą opartą o biodro.

Usiadła na schodku, żeby poczekać. Mimo upału zrobiło jej się chłodno. Starła się myśleć o czymś przyjemnym, więc podsumowała to, czego się o nim dowiedziała.

Był porządnicki i bardzo czysty. Dom był wypucowany. Czytał dla informacji, nie dla przyjemności. Nie widziała żadnych powieści ani literatury rozrywkowej. Spędzał bardzo mało czasu w domu, ale widać było, że dużo dla niego znaczy, że jest to prawdziwy dom. Literatura żydowska, mezuzah i menorah sugerowały, jak wielkie znaczenie ma dla niego dziedzictwo i religia.

Czuło się jednak atmosferę fortecy: małe okienka, ciężkie drzwi. Nawet w tym porządku był pewien wojskowy reżim. A arsenał...

Czy to naprawdę było konieczne?

Miała nadzieję, że nie będzie się musiała osobiście przekonać.

Najpierw usłyszała ciężarówkę. Uniosła głowę, przebiegła wzrokiem po polach i zobaczyła ją: jakby płynęła nad ziemią. Stała i obserwowała, jak skręca z zakurzonej drogi przecinającej pola i zmierza do domu. Schowała się za drzwiami i wyglądała co chwilę patrząc, jak ciężarówka robi się coraz większa, aż wreszcie zaskrzypiały hamulce i stanęła.

Tamara wstrzymała oddech, z trudem hamując podniecenie. Drzwi po stronie kierowcy otworzyły się i pojawił się w nich ojciec. Już miał schodzić, gdy wyjrzała zza drzwi. Zauważył ją i zamarł na moment, oparłszy zdrową nogę na stopniu i opierając się ręką na drzwiach. Rozpromienił się w radosnym uśmiechu.

- Wiedziałem, że to jest niezwykle miejsce - zawołał - ale nie przypuszczałem, że stanie się taką turystyczną atrakcją jak Jerozolima czy Betlejem!

- Tato! - zawołała cicho. - Och, tato!

On zsunął się ze stopni, a ona pobiegła wprost w jego ramiona, przytulając się twarzą do jego piersi, mocząc swymi łzami jego pachnącą nim koszulę, która oblepiała silne mięśnie.

Był to czas odkrywania siebie, wzmacniania i utwierdzenia wiary, która była gdzieś w niej, głęboko uspiąca. Od chwili, gdy znalazła się w Ein Shmona, była całkowicie zanurzona w kulturze żydowskiej. Po raz pierwszy w życiu

zaczynała rozumieć, co to znaczy być Żydem, i wywoływało to w niej żywe emocje. Gdzie tylko się obróciła, spotykała się z tym swoim dziedzictwem, które wprawdzie było równie obce jak buddyzm, archeologia czy fizyka, ale znacznie bardziej ją fascynowało. Pionierzy rolnictwa w Ein Shmona, jak się dowiedziała, nie tylko uprawiali ziemię, ale żyli utopijną ideą, która łączyła politykę, życie codzienne i religię, co było niesłychanie budujące duchowo. Wciąż coś ją zadziwiało i imponowało jej.

Szmaria siedział naprzeciwko Tamary przy stole w stołówce. Mimo jego ponagień, była zbyt przejęta, żeby jeść. Przełknęła kilka kęsków kurczaka, chcąc mu zrobić przyjemność, i odsunęła talerz. Przyglądała się innym gościom i słuchała egzotycznych dźwięków różnych języków. Hebrajski, jidysz, rosyjski, niemiecki i polski konkurowały z muzyką dochodzącą z radia. Było to jak siedzenie w dużej, prosto urządzonej restauracji, w której podają pyszne, domowe jedzenie, ściągającej międzynarodowe towarzystwo. W przeciwieństwie jednak do innych znanych jej restauracji, tutaj panowała bezpretensjonalna, swojska atmosfera i nastrój prawdziwie koleżeński. Podobny spotykała tylko na planie filmowym.

- Podoba mi się tutaj - powiedziała, rozglądając się. - Czy wszyscy są zawsze tacy przyjacielscy?

Szmaria też się rozejrzał.

- Och, zdarzają się sprzeczki, ale ogólnie tak. - Wskazał z wyrzutem na jej talerz. - Nic nie jesz!

Posłusznie wzięła do ust jeszcze kawałek kurczaka.

- Czy jedzenie zawsze jest takie dobre?

- Zawsze. - Uśmiechnął się. - Powinno być jeszcze lepsze za jakieś sześć miesięcy.

- O? - Sączyła wino. - A to dlaczego?

- Kilka miesięcy temu rodzina niemiecka, aby uniknąć prześladowań nazistów, wyemigrowała i przyjechała do naszego kibucu.

Odstawiła kieliszek.

- A żona jest wspaniałą kucharką - domyśliła się.

- Nie, mąż. Tak się składa, że Herr Zimmermann jest kucharzem światowej sławy. Był szefem kuchni w hotelu Kempinski w Berlinie. Niemców strata, nasz zysk.

- Ale czegoś nie rozumiem. Powiedziałeś, że są już tutaj, to dlaczego on nie gotuje? Dlaczego ma czekać sześć miesięcy? Jest chory?

- Nie, nie - zaśmiał się Szmara. - Tak jest w kibucu.

Trzeba sobie zarobić na przywilej wykonywania pracy, jaką się wybierze. Tamara patrzyła zdumiona.

- To znaczy, że nie, wolno mu pracować. w swoim zawodzie?

- Nikomu nie wolno, póki nie odrobi swojego okresu na polu. Tak jest ze wszystkimi.

- Ale jeśli ich umiejętności są wyjątkowe? Chyba robicie jakieś wyjątki w takich przypadkach?

Potrząsnął głową.

- Nie. - Widząc jej zdumione spojrzenie, dodał łagodniej. - Czy wyobrażasz sobie ważniejszą umiejętność niż produkowanie żywności?

- Innymi słowy, gdybym ja chciała się przyłączyć do kibucu, dałbyś mi motykę i wysłał wprost na pola?

- Tak, ryzykując uszkodzenie twoich wymanikiurowanych paznokci. - Uśmiechnął się. - Chociaż nie od razu musiałybyś gracować. Najpierw trzeba oczyścić pola z kamieni.

- Ale czy to nie jest za ciężkie dla ludzi? Wzruszył ramionami.

- To ciężki kraj. Żeby tu przeżyć, trzeba być twardym i każdy musi odpracować swój udział dla wspólnego dobra. Kibuc nie jest demokracją. Ta forma rządów nie sprawdziłaby się tutaj. Praktykujemy więc socjalizm, choć nasz jest obudowany sprawiedliwością, równością i wolnością. Kochamy swobodę, ale wolność jednostki jest wtórna w stosunku do potrzeb całej

społeczności. Ponieważ pola są naszym życiem, mają oczywiście pierwszeństwo.

- Mogę ci tylko powiedzieć - oświadczyła Tamara - że gdybym była panem Zimmermannem, wolałabym orać i gracować niż męczyć się przy gorącej kuchni! A propos, zauważyłam, że w twoim domu nie ma kuchni.

- Bo jej nie potrzebuję. Wszyscy jemy tutaj, we wspólnej stołówce. To znacznie bardziej ekonomiczne niż indywidualne kuchnie.

- Rozumiem. Ale wracając do poprzedniego tematu, mam pytanie. Co się stanie, jeśli, powiedzmy, Zimmermannowi się tu nie spodoba?

- Nie mają żadnych zobowiązań. Mogą wyjechać, kiedy tylko zechcą.

- Czy dużo ludzi sprowadza się tutaj, a potem wyjeżdża?

- Trochę. Byli tacy, dla których takie życie było zbyt koszarowe, jak na ich indywidualne gusty, ale przeważnie ludzie są zadowoleni. Praca jest ciężka, ale daje satysfakcję. Może indywidualnie nie taką wielką, ale generalnie. To tak, jakby każde z nas pracowało na coś większego, szlachetniejszego niż tylko my sami.

Zmrużyła oczy.

- Ale czy to nie jest komunizm?

- W pewnym sensie. Jednak w kraju komunistycznym ludzie nie mają takiej swobody i sprawiedliwości. My to dajemy. Nasz socjalizm służy wspólnemu dobru i jeśli ktoś tego chce, jego wszystkie potrzeby są zaspokojone. Wykształcenie dzieci, sprawy socjalne, opieka prawna i medyczna - wszystko daje kibuc. Nawet jedzenie. Nikt nie musi chodzić głodny. Można powiedzieć, że jesteśmy odpowiedzialni za siebie od kolebki do grobu. I nie zapominaj, że w każdej chwili każdy może odejść.

Była pod wrażeniem.

- Zdumiewające. I ty to wszystko wymyśliłeś?

- Ależ skąd - zaśmiał się. - Nie jest to oryginalny pomysł.

Kontynuujemy od miejsca, w którym inni to pozostawili. Takie osady rolnicze istnieją już od pięćdziesięciu lat, ale nasza jest pierwszą na pustyni. Reszta jest na północy, gdzie jest lepsza gleba. Większość w Galilei.

Tamara była zafascynowana i chętnie słuchała. Z dumy, jaka brzmiała w głosie ojca, wywnioskowała, że trafiła na jego ulubiony temat. Jeszcze po wyjściu ze stołówki rozmawiali długo o kibucu.

- Jeśli chcesz, zorganizuję ci zwiedzanie kibucu i wszystkich urządzeń.

- Bardzo chętnie.

- Niestety, jutro przez większą część dnia mnie nie będzie, ale wiem, że Dani chętnie cię oprowadzi.

- Ddani ben Yaacov? - nie mogła powstrzymać podniecenia w głosie.

Tak. Nie lubisz go? Bardzo bystry. Poza tym jest odważny i pełen inicjatywy. Polegam na nim w wielu sprawach. Można powiedzieć, że jest moją prawą ręką. Wierz mi, nie znajdziesz tu lepszego opiekuna. Możesz mu nawet powierzyć swoje życie.

Tak, pomyślała trzeźwo, ale moje uczucia?

Tamara spała bardzo dobrze i obudziła się w świetnym nastroju. Ojca już nie było, ale zostawił jej miednicę z chłodną, czystą wodą do mycia.

Ubrała się skromnie i poszła na śniadanie do stołówki. Apetyt jej wrócił, tak że musiała go nawet poskramiać. Piła czarną, gorzką kawę, czekając na Daniego.

Gdy przyszedł, był bardzo rzeczowy. Wszystkie fakty i liczby miał w małym palcu. Zwiedzanie rozpoczęli od

środką osady, żeby dalej posuwać się na zewnątrz. Ein Shmona była zależna tylko, jeśli idzie o wodę. Był to jakby mikrokosmos. Dani pokazał jej przychodnię, sklep, szkołę, elektrownię, a nawet kilka prywatnych domów. Miała opory przed wchodzeniem pod nieobecność gospodarzy, ale Dani je rozwiązał.

- Nie mamy tu przestępstw i drzwi wejściowe nie są zamykane. Nie potrzebujemy zamków ani kluczy. Mam nadzieję, że tak zostanie.

Tamara zwróciła się do Daniego:

- Czy myślisz, że powstanie kiedyś państwo żydowskie? Wiem, że mój ojciec ma taką nadzieję, ale...

- Będzie. Wierzę w to głęboko, tak jak wielu innych.

- Jesteś taki pewny...

- Żebyś słyszała Davida Ben Guriona! Gorszy niż twój ojciec i ja razem wzięci! - Nagle zmienił temat. - Chciałabyś poznać nasze plany na przyszłość?

- Bardzo chętnie.

Zaprowadził ją do synagogi. Na tyłach znajdował się niegdyś magazyn.

- Mamy mało miejsca - tłumaczył - więc to jest też nasze biuro projektów.

Spodziewała się jakichś szkiców na kartce, a tymczasem na olbrzymiej planszy stał plastyczny model z papier-mache. Znajdowało się na nim pięćset czy sześćset budyneczków, niektóre nawet trzypiętrowe, z balkonikami. Środek miasta, jak obecnie, zbudowany był na planie koła, natomiast to, co miało powstać w przyszłości, miało kształt litery L, opasanej czteropasmową drogą. Były tam miniaturowe parkingi, osiedle mieszkaniowe, przemysłowe, basen, park, a nawet małe lądowisko samolotów.

- To? - szepnęła. - Chcecie to stworzyć? Tutaj?

- Dlaczego nie?

- Ale... ale to jest takie olbrzymie. I ambitne!

- Dlaczego nie miałyby być? Jeśli będziemy się rozwijać w takim tempie jak obecnie, za dwadzieścia lat i to będzie za małe.

- Ale czy to będzie samowystarczalne? Rolniczo? Pokiwał głową.

- Pola odepchnie się na zewnątrz, żeby nas otaczały. Obecnie mamy trzy tysiące akrów, zakupione przez Fundusz Fundacji Żydowskiej i Fundusz Narodowy. Na razie wykorzystujemy dwadzieścia dwa. Kiedyś Arabowie sprzedawali nam tanio ziemie bagniste, bo sami woleli górzyste albo oazy. Ale

kiedy bagna się osuszyło, posadziło rośliny, a pustynie nawodniło, Arabowie zrobili się zazdrośni, tak? - Smutno pokręcił głową. - Boję się, że to pogłębia ich wrogość.

Przypomniała sobie magazynek broni ukryty w domu jej ojca.

- Czy tu jest bezpiecznie?

- Raczej tak, ale możliwość ataku istnieje. Nie możemy o tym zapominać. Jeśli nie będziemy czujni, możemy zostać zniszczeni.

Było to otrzeźwienie.

Początkowy zachwyty powoli zmieniał się w strach. Wydawało się tu tak spokojnie, cicho, ale pod tą zewnętrzną warstwą wciąż czaiło się niebezpieczeństwo. A mimo to ludzie mieszkali tu z wyboru. Nie przypuszczała, żeby ona potrafiła tak żyć, oglądając się wciąż przez ramię.

Wycieczka zajęła całe przedpołudnie i część popołudnia. Na koniec Dani zostawił pola i system irygacyjny. Przedtem jednak wstąpił do swej sypialni po strzelbę.

Patrzyła, jak zarzucił ją sobie przez ramię i widać było, że robił to już setki razy. Gdy szli przez pola, pokazał jej uzbrojonych strażników, czuwających nad bezpieczeństwem pracujących, którzy zresztą, oprócz narzędzi, też mieli przy sobie strzelby.

Była już zmęczona i gdy zakończyli zwiedzanie, chętnie wróciła do domu ojca. Szmarii jeszcze nie było, ale tym razem Dani wszedł do środka. Siedzieli naprzeciwko siebie przy stole w saloniku. Odsunął świecznik, żeby się lepiej widzieli, i nalał dwa kieliszki wina. Tamara była tak spragniona, że najpierw musiała napić się wody.

Była zmęczona i wino prędko uderzyło jej do głowy. Dani przypatrywał się jej intensywnie, w jego brązowych oczach było coś niepokojącego.

- Czy coś się stało? - spytał.

Potrząsnęła głową i spuściła wzrok, jakby kieliszek wart był dokładnych studiów.

- Jesteś piękna - powiedział nagle. - Piękniejsza niż na filmie.

- Widziałeś jakieś moje filmy? - Uniosła kieliszek i prędko wypila resztę w nadziei, że wino pomoże jej odzyskać panowanie nad sobą.

- Widziałem jeden, „Annę Kareninę”, w kinie w Jerozolimie. Bardzo mi się podobał. Nigdy przedtem nie lubiłem Tołstoja. - Uśmiechnął się.

Odwzajemniła uśmiech czując, że ta pochwała była dla niej bardzo ważna.

Napełnił znów oba kieliszki, nie spuszczając z niej wzroku.

- W dalszym ciągu masz zamiar wracać w piątek do Tel Awiwu?

- Powiedziałam Inge, że wtedy wracam. Jeśli się nie pojawię, zamartwi się na śmierć.

- Dlaczego jej nie zaprosisz, żeby przyjechała tutaj?

- A mogę? - zdumiała się.

- Oczywiście.

- Ale... brygadier Diggins. Jego ludzie nas pilnują. Wcześniej czy później obie nas tu znajdą.

Dani zaśmiał się nagle.

- Twój ojciec to szczywany lis. Od lat przechytrza brygadiera. Niby dlaczego miałby teraz wpaść w jego ręce?

- Przeze mnie.

- Twój ojciec jest jak widmo. Pojawia się i znika, kiedy chce. Kiedyś brygadier już go prawie miał, a on uciekł mu sprzed nosa. - Roześmiał się. - Czy to zmieni twoje plany wyjazdowe?

- Tak - powiedziała trochę za szybko. Zastanawiała się, czy on zdaje sobie sprawę z tego, jaką ma nad nią władzę. - Tak - powtórzyła wolniej.

- Cieszę się, że to załatwiliśmy. Jutro prześlę wiadomość do Tel Awiwu, żeby twoja przyjaciółka się nie martwiła. W poniedziałek ktoś pojedzie po resztę twojego bagażu i przywiezie ją tutaj.

- Wszystko już sobie ułożyłeś.

- Mam nadzieję - uśmiechnął się przewrotnie. - Wiesz, doskonale się czuję w twoim towarzystwie. Nie jesteś taka jak inne kobiety, które znałem.

Odczuła irracjonalne ukłucie zazdrości. Był niezwykle przystojny. Szalenie męski. Musiało być dużo tych kobiet. Wyczuł te myśli i wyciągnął rękę, by dotknąć jej dłoni.

- Więc wszystko ustalone, tak? Skinęła głową.

- Dobrze. Mam nadzieję, że ci się tu podoba. - Uśmiechnął się tym wspaniałym uśmiechem, który tak często pojawiał się wczoraj, a brakowało go dziś w czasie zwiedzania. - To dla mnie ważne, żeby tak było.

- A to niby dlaczego? Nachylił się do niej.

- Bo ja nie chciałbym się stąd wyprowadzać. Mnie się tu podoba.

- Dlaczego musiałbyś się wyprowadzać?

- Bo mam zamiar się z tobą ożenić.

Pobrali się dopiero ponad rok później. Chciała być pewna swej miłości do Daniego i tego, że będzie mogła żyć w kibucu. W międzyczasie mieszkała w domu swojego ojca, więc nie musiała się wprowadzać do domu dla samotnych kobiet, co mogłoby mieć zły wpływ na jej ocenę życia w komunie. Był to bardzo dobry układ, bo Szmarii przeważnie i tak nie było w domu.

- Gdybyśmy byli małżeństwem, mielibyśmy swój własny dom - powiedział Dani przy okazji którejś ze swoich kolejnych wizyt.

- Wiem, ale nie jestem jeszcze gotowa.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham. Ale jeżeli nie będę mogła znieść życia tutaj, nie chcę niszczyć małżeństwa. Tu jest twoje życie, Dani. Wiemy, że gdzie indziej nie byłbyś szczęśliwy. Więc nie poganiaj mnie. Potrzebuję czasu - zakręciła na palcu włoski, wychodzące z jego rozpiętej na piersiach koszuli.

- Jeżeli tylko o to chodzi... - powiedział z powątpiewaniem

- Tylko o to - zapewniła.

I była to prawda. Po prostu nie była gotowa do małżeństwa. Na razie nie kusiło ją Hollywood, nie tęskniła do Los Angeles.

Robienie filmów było ciężką pracą. Tutaj mogła nacieszyć się spokojem. Nie prześladowali jej łowcy autografów, nic nie przypominało bolesnej przeszłości. W Ein Shmona każdy przybysz zaczynał życie od nowa. Było to miejsce wybrane przez jej ojca, wybrane przez Mojżesza, Esterę i króla Dawida. Biblijna przeszłość tutaj stawała się żywa. Po raz pierwszy w życiu czuła się Żydówką i było jej z tym całkiem dobrze. Tu była jej przeszłość i tu, jak miała nadzieję, będzie jej przyszłość.

Tymczasem miała sporo zajęć. Nie chciała być ciężarem, więc pracowała na polach, zgłębiała judaizm czytając książki, chodząc do synagogi, zadając pytania. Trzy razy w tygodniu chodziła na kursy hebrajskiego. Po sześciu miesiącach mówiła na tyle dobrze, że uczyła w szkole angielskiego i prowadziła kółko dramatyczne.

Wszystko było nowe i fascynujące. Kochała szabas i rytualne zapalenie szabasowych świec, tradycyjne potrawy, opowieści ze Starego Testamentu, bardziej niezwykle niż to, co wymyślali scenarzyści z Hollywood. A najbardziej kochała święta, kiedy rzeczywiście znikala przepaść między teraźniejszością a przeszłością.

Oczywiście, były i smutki. Inge nie znosiła kibucu. Była trzy miesiące, ale nie mogła wytrzymać dłużej. Nie znosiła upału, braku pór roku, suszy. Brak jej było wielu codziennych przedmiotów, do których się przyzwyczaiła, i denerwowało ją życie we wspólnocie. Poza tym, będąc katoliczką, czuła się obco.

- To jest miłe miejsce, żeby zwiedzić, ale nie mogłabym zostać tu na zawsze. Pewnego wieczoru, gdy Tamara wróciła z pracy w polu, zastała Inge pakującą walizki.

- Inge! Co ty robisz?

- A na co to wygląda? Pakuję się.

- Ale chyba nie wyjeżdżasz? Spróbuj jeszcze...

Inge wsunęła do walizki ostatnią partię starannie złożonych bluzek, zamknęła wieko i zasunęła zamki.

- No, chyba to wszystko. Tamara stanęła przed nią.

- Nie możesz jechać! - W jej głosie wyraźnie brzmiał głęboki żal.

- Liebchen, muszę.

- Ale jak będę żyć bez ciebie? Jesteśmy razem, odkąd byłam malutką!

- Kochasz Daniego.

- Tak, kocham.

- Więc możesz żyć szczęśliwie beze mnie.

- A co będziesz robiła?

- Pamiętasz, jak siedziałam sama w hotelu w Tel Awiwie, kiedy przyjechałaś tu po raz pierwszy?

Tamara kiwnęła głową.

- Więc pamiętasz, że opowiadałam ci o ludziach, których tam poznałam, państwu Steinbergach?

- Tych z Bostonu - przypomniała sobie Tamara.

- Napisali do mnie i chcą, żebym przyjechała do Bostonu. Odeszła guwernantka ich dzieci i chcieliby mnie na jej miejsce. Linda i Marty Steinbergowie to urocze dzieci i bardzo mnie potrzebują. Pani Steinberg napisała, że jestem jedyną osobą, z którą się tak dobrze czuły.

- Nie powinnam cię była zostawiać w tym hotelu. Inge milczała przez chwilę.

- Prędzej czy później musiałybyśmy się rozstać. Nie możemy być razem do końca życia. Wszystkie młode ptaki kiedyś odlatują i zakładają własne gniazda. Ty znalazłaś swoje miejsce i bądź szczęśliwa.

- Ale naprawdę nie chcesz zostać, Inge? Możemy zacząć zupełnie nowe życie. Jest tyle do zrobienia! Po raz pierwszy czuję się naprawdę potrzebna.

- To bardzo dobrze. Będzie mi łatwiej wyjeżdżać. Tamara, podenerwowana, chodziła w kółko.

- Dla ciebie też jest wiele do zrobienia. Inge uśmiechnęła się.

- Jestem pewna. Będę cię odwiedzać, przecież nie rozstajemy się z powodu kłótni. - Schwyciła Tamarę za rękę. - To jest piękne miejsce na wizytę, kochanie, ale ja wolę coś bardziej zielonego, z różnymi porami roku. Jestem za stara, żeby się bawić w pioniera.

- Ale nie jesteś stara.

Inge pogładziła ją po policzku.

- Tamaro - powiedziała miękko - wszystko się świetnie układa. Ty sobie znalazłaś miejsce i ja sobie znalazłam miejsce. Masz przed sobą nowe życie, ja też. Czegóż można chcieć więcej?

- Być razem.

- Liebchen - westchnęła Inge, przysunęła krzesło i usadziła na nim Tamarę. Sama siadła naprzeciwko. - Znalazłaś ojca, masz przystojnego mężczyznę, którego kochasz, i nowy, ciekawy świat. Ciesz się z tego. Nie muszę przecież być z tobą zawsze.

Tamara popatrzyła na bagaż. W spakowanych walizkach jest zawsze coś nieskończenie smutnego.

- A teraz zrób mi przyjemność - powiedziała Inge. - Wyjeżdżam rano, skończyłam pakowanie, więc spędźmy wieczór razem, pijąc wino i wspominając. Chcę, żeby te ostatnie wspólne godziny były przyjemne.

Tamara zmusiła się do uśmiechu.

- Zgoda.

- Dobrze. Może któregoś dnia znów będziemy mogli być razem?

- Kiedyś, może.... Czuję się, jakbym cię porzuciła! - wybuchnęła Tamara.

- Nie, nie. Nie mów tak. Z całą pewnością mnie nie opuszczasz.

- Ale bez ciebie nie będzie już tak samo.

- Mam nadzieję, że nie! - powiedziała Inge z komiczną powagą.

Szmaria i Tamara popatrzyli z ciekawością na Daniego, który właśnie wszedł, bardzo poruszony.

- A więc to oficjalne? - spytał Szmaria.

- Tak. Właśnie wróciłem z Jerozolimy. To oficjalne. Niech nam Bóg pomoże. - Trzasnął pięścią w stół, aż przesunął się świecznik. - Wiecie, co to oznacza.

Szmaria westchnął.

- To ten nieszczęsny Biały Papier. Czasem myślę, że Żydzi przyszli na ten świat tylko po to, by cierpieć.

- Czy nie możemy nic zrobić? - spytała Tamara.

- Robimy wszystko, co możemy, ale to niewiele. Zależymy od Wielkiej Brytanii i jesteśmy bezsilni. Biały Papier redukuje imigrację do siedemdziesięciu pięciu tysięcy osób w ciągu następnych pięciu lat. Praktycznie w ogóle ją eliminuje.

- Ale dlaczego? - chciała wiedzieć Tamara.

- Dlaczego? Ponieważ Brytyjczycy obawiają się, że wojna z Niemcami jest nieunikniona i nie chcą ryzykować. Brytania jest przerażona, że Hitler pozyska dla siebie Arabów, więc rząd brytyjski sprzedał nas w zamian za baryłki ropy. To było do przewidzenia. Tamara pobladła.

- To znaczy, że Żydzi niemieccy, którzy chcieliby emigrować....

- Zostaną zabici - dokończył za nią ojciec. - Jakby ich już nie było.

- Jak możemy pozwolić...

- Zaczekajcie - uniósł się Dani. - Jeszcze więcej. Chociaż nie jest to jeszcze prawem, ale padła propozycja, żeby Żydzi nie mogli się przemieszczać w tym kraju, poza wyznaczonymi rejonami.

Tamara zamarła.

- Nie mogą tego mówić poważnie!

- Zapewniam cię, że absolutnie poważnie - odpowiedział Dani.

- Będzie znów jak w Rosji. - Szmaria był przygnębiony, ale raczej nie zaskoczony. - To zamknie dla Żydów połowę Palestyny.

- I jeszcze dwie sprawy - zaczął Dani.

- Jeszcze więcej? - Głos Tamary był już szeptem.

- Niestety, tak. Mają być nałożone poważne ograniczenia na sprzedaż ziemi Żydom. Mówiąc wprost, Agencja Żydowska praktycznie nie będzie już mogła dokupić żadnej ziemi....

- Ależ to przerażające - przerwała Tamara.

- Taka jest rzeczywistość - powiedział Dani. - A teraz najważniejsza wiadomość. Brytyjczycy chcą wprowadzić w ciągu dziesięciu lat samodzielny rząd Palestyny, opierając się na obecnej populacji.

- Skoro Palestyna zamieszkana jest w dwóch trzecich przez Arabów, a ludność żydowska nie może się zwiększyć, będzie to rząd Arabów - mruknęła Tamara.

- Dokładnie.

Szmaria odsunął krzeselko i wyprostował nogi.

- Myślę, że tylko jedno możemy teraz zrobić. Popatrzeli na niego oboje. Jego twarz była twarda niczym granit.

- Ponieważ nie możemy pozwolić, aby wydarzyło się to, co proponują Brytyjczycy, musimy wielokrotnie zwiększyć wysiłki, aby uzyskać naszą niezależność od Brytyjczyków. Jutro porozmawiam o tym z Dawidem Ben Gurionem. Zwoła zebranie Rady Społeczeństwa i może ustalimy jakąś strategię.

- Naprawdę macie szansę? - spytała Tamara. - Wielka Brytania jest tak silna, przecież,..

Ojciec uśmiechnął się do niej słabo.

- A czy Dawid nie pokonał Goliata? - spytał miękko. Rozmyślała chwilę nad jego słowami i w końcu podjęła decyzję.

- Chcę pomóc, jeśli tylko potrafię. Włączcie* mnie we wszystko, co planujecie.

Popatrzeli na nią obaj ze zdumieniem. Spoglądała to na jednego, to na drugiego. — O co chodzi?

- Chyba trochę nas... zaskoczyłaś - powiedział łagodnie Szmaria.

- Dlaczego? - spytała. - To jest też mój kraj. Zdecydowałam się. Chcę tu zostać na zawsze. - Uśmiechnęła się promiennie do Daniego. - Czy mógłbyś ustalić datę naszego ślubu, kochanie?

Pobrali się dwa tygodnie później. Nie było ani urzędnika stanu cywilnego, ani cyrku w postaci oblegania przez wielbicieli i media. Ślubu udzielał im rabin pod baldachimem, zwanym chuppa. Zelda Ziolko mogłaby sobie wymarzyć taką uroczystość.

Spędzili upojne dwa tygodnie w Ejlacie i na ten okres zapomnieli o wszystkich zmartwieniach. Patrzyli tylko na siebie, jak gdyby byli jedynymi ludźmi żyjącymi na tym świecie. Trzymając się za ręce, chodzili po plaży, wzdłuż której rosły palmy, nurkowali w chłodnym Morzu Czerwonym i gonili całe kolonie kolorowych rybek. Żartowali, tulili się, śmiali i straszili się wzajemnie wrzucaniem krabów za kostiumy kąpielowe. Gdy otarł sobie nogę na zdradliwym koralu, opatrywała i całowała jego ranę. O ile to możliwe, każdy następny dzień był lepszy od poprzedniego. Wspomnienia o Louisie Stawały się coraz odleglejsze. Wierzyła, że cieszyłby się z jej szczęścia.

Nawet tu przestrzegali pewnego rozkładu dnia. Poranki i wieczory, a czasami i popołudnia, przeznaczone były na wzajemne odkrywanie swych ciał. W przerwach snuli plany na przyszłość. Podczas tych cudownie spokojnych czternastu dni, nic nie było niemożliwe, żadne trudności nie stanowiły przeszkody. Zrozumieli, że dopóki są razem, będą mogli góry przenosić, jeśli zechcą.

- Będę walczył tak długo, aż Palestyna stanie się Państwem Izraela, tak jak to sobie wymarzył Teodor Herzl - oświadczył Dani. - Nic innego mnie nie zadowoli.

Tamara była równie zagorzałą zwolenniczką ojczyzny dla Żydów, ale myślała: chcę tylko tego, czego ty chcesz, mój ukochany. Dla mnie ważne jest tylko to, co jest ważne dla ciebie.

Wrócili do Ein Shmona nie tylko jako małżonkowie, ale przyjaciele i kochankowie.

Czekała na nich niespodzianka - nowo wybudowany dom, postawiony w czasie ich nieobecności. Miał cztery obszerne pokoje i był pierwszym prywatnym budynkiem, który posiadał kanalizację.

- Wszyscy harowali w nadgodzinach, żeby tylko zdążyć postawić go wam na czas - z dumą opowiadał im o tym Szmaria.

Tamara kochała ten dom bardziej niż którąkolwiek z rezydencji, w jakich mieszkała w Hollywood. Jednak prawdziwy cud, jaki rozpoczął się w Ejlacie, objawił się wkrótce. W ciągu tych cudownych tygodni zaszła w ciążę. Gdy doktor Saperstein to potwierdził, popłakała się z radości.

Kilka miesięcy później Dani był przy niej, gdy rodziła w miejscowym szpitaliku. Był to najszczęśliwszy dzień w ich życiu. Zostali pobłogosławieni podwójnie.

Dani trzymał w ramionach dwa zawiniątka opatulone w kocyki.

- Dwóch pięknych synów. - Kręcił głową z niedowierzaniem. - I nawet nie płaczą.

- Mają to po ojcu - odezwała się lojalnie Tamara ze swego łóżka.

Przypatrywał im się dokładnie.

- Wyglądają bardziej jak ich matka. Nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Wszystkie niemowlęta wyglądają podobnie. Daj im trochę czasu, to nabiorą wyrazu.

- Jak ich nazwiemy?

- Myślałam, że zdecydowaliśmy. Ari, jeśli to chłopiec, a Dalia, jeśli dziewczynka.

- Ale to są dwaj chłopcy. Tego przecież nie planowaliśmy.

- Nie, rzeczywiście. - Myślała przez chwilę, aż uśmiechnęła się promiennie. -

A może Asa? Ari i Asa?

- Dobrze, Ari i Asa - zgodził się i dodał: - Mamy siebie i nasze dzieci i rodzina nasza żyć będzie w miłości i pokoju. Będziemy przenosić góry, jak planowaliśmy, całą rodziną. Nic nas nie rozdzieli i nic nas nie powstrzyma. - Zabrzmiało to jak błogosławieństwo.

Jednak połączone siły fatum i historii miały dla nich inne plany.

Tak jak się obawiali, ponad połowa terytorium Palestyny została zamknięta dla Żydów, wprowadzono w życie poważne ograniczenia w zakupie ziemi przez Agencję Żydowską. Żydzi mieli status mniejszości, a Biały Papier skutecznie blokował imigrację. Choć zostało to później odwołane w parlamencie przez Winstona Churchilla, innych konserwatystów i liderów Partii Pracy, wciąż jednak funkcjonowało.

A świat żył w jeszcze większym zawirowaniu.

W marcu 1938 roku Adolf Hitler zaanektował Austrię, a sześć miesięcy później Wielka Brytania i Francja pozwoliły Niemcom na podział Czechosłowacji. Zachłanna Trzecia Rzesza pochłonęła dwa kraje, a świat milczał.

Mieszkańcy Ein Shmona patrzyli na to wszystko ze znacznie większym strachem niż większość ludzi w większości stolic świata. Wiedzieli doskonale, że terror, o jakim dochodziły wieści z Europy, może zniszczyć ich wszystkich. Byli potomkami Mojżesza i w Palestynie szukali schronienia przed pogromami i prześladowaniami.

Dla nich Hitler nie był Chaplinowskim bufonem - był Herodem, Czarnym Aniołem Śmierci.

- Dlaczego nikt nie powstrzyma tego szaleńca? - spytała

Tamara pewnego wieczoru, gdy wszyscy siedzieli w świetlicy i słuchali wiadomości o zwycięstwach Hitlera. - Nim się zorientujemy, cały świat będzie niemiecki!

- Z wyjątkiem naszych ludzi - powiedział ponuro Szmaria. - My wszyscy zginiemy. Jeśli Hitler zwycięży, na powierzchni ziemi nie będzie ani jednego Żyda.

W ciągu roku Niemcy i Związek Radziecki podpisały pakt o nieagresji, co pozwoliło Hitlerowi wkroczyć do Polski bez obaw o rosyjską interwencję. Francja i Wielka Brytania wypowiedziały wojnę Niemcom. Od kwietnia do czerwca 1940 roku Niemcy podbili Danię, Norwegię, Holandię, Belgię i Francję, praktycznie bez oporu.

Następnie rozpoczęła się bitwa o Anglię. Zmasowane siły Hitlera zebrały się na wybrzeżu francuskim, przygotowując do przekroczenia kanału. Nieustanne bombardowanie Londynu i ziemi brytyjskiej prowokowało coraz bardziej zawziętą walkę Brytyjczyków. Obawiano się jednak, że jest to tylko kwestia czasu i Wielka Brytania się podda.

To właśnie wtedy, 5 lipca 1940 roku, Dani przekazał jej tę wiadomość. Od kilku dni Tamara czuła, że walczy z sobą, ale wiedziała też, że sam jej powie, kiedy będzie gotowy.

Tego wieczoru po kolacji zaproponował, żeby poszli na spacer. Szli w milczeniu, a chociaż nic nie mówił, czuła, jak ją ogarnia strach. Gdy doszli do swego ulubionego miejsca, Wzgórka, z którego było widać całą osadę, usiadł na gładkim miejscu i poklepał miejsce obok siebie. Usiadła i wzięła w ręce jego dłoń.

- Zdecydowałem się wstąpić do armii brytyjskiej - oświadczył Dani cicho, bez wstępów.

Podskoczyła, jakby coś ją nagle uderzyło. Zwróciła się do niego.

- Armii brytyjskiej? - spytała z niedowierzaniem.

- Do lotnictwa.

Odwróciła się i przez kilka minut patrzyła przed siebie, nic nie widząc i nie słysząc.

- Tamara - błagał cicho - proszę, nie miej do mnie żalu. Pozwól sobie wyjaśnić.

Przesunął palcem po jej twarzy, od czoła do ust. Zwykle wtedy uśmiechała się i patrzyła z miłością.

- Tamara...

- Tak. - Jej głos był martwy.

- Tamara, musisz zrozumieć.

- Dani! Brytyjczycy są naszymi wrogami. Dowiedli tego wiele razy! Od czasu tego idiotycznego Białego Papieru uniemożliwiali Żydom osiedlanie się tutaj. - Gestykulowała żywo. - Nawet Żydom z Niemiec, dla których to jedyna nadzieja na przeżycie! A skoro nie mogą emigrować, to wiesz, gdzie skończą. Sam mi mówiłeś!

- Wiem - powiedział łagodnie - ale nie mam wyboru. Nie jestem pierwszym palestyńskim Żydem, który wstąpi do armii brytyjskiej, i nie będę ostatnim. Nie rozumiesz tego? Teraz musimy odłożyć na bok nasze spory z Brytyjczykami. Po świecie krąży znacznie większe zło.

Roześmiała się dziko.

- Hitler. Wszystko ostatnio sprowadza się tylko do Adolfa Hitlera.

- Tak. Hitler - westchnął ciężko.

- Kiedy wyjeżdżasz? - spytała w końcu.

- Na początku przyszłego tygodnia.

- Za cztery dni. - Uścisnęła jego rękę. - Tak szybko.

- Tak.

Patrzyła na krwawoczerwone słońce chowające się w oddali za ciemne skały. Na moment wszystko wydawało się jej krwawoczerwone: ziemia, niebo, nawet Dani.

Obawy przygniatały ją, jak klaustrofobia. Wyciągnęła rękę, objęła go i przytuliła się mocno. Przez głowę przelatywały jej przerażające wizje wojny. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że to nowe szczęście traktowała jako coś

oczywistego, a było to przecież błogosławieństwo, za które co dzień należało dziękować.

Patrzył na nią tak czule, jakby czytał w jej myślach.

- Wszyscy musimy spełnić swój obowiązek, Tamaro. Jedyne Anglia powstrzymuje Hitlera przed pochłonięciem reszty świata. Dotychczas jego wojska nie przekroczyły kanału. Jeśli tak się stanie, hitlerowcy mogą stanąć przed naszym progiem. A wtedy co? - Pokręcił głową z bólem, jakby ciężar całego świata spadł mu na barki. - Jesteśmy Żydami, Tamaro. Nie przeżyjemy nawet tygodnia.

Patrzyła na niego jak w transie. Jesteśmy Żydami. Żydami..

Nagle pojawiła się w jej głowie straszna myśl: co by było, gdyby został zestrzelony, dostał się do niewoli i Niemcy dowiedzieliby się, że jest Żydem!

Dani powiedział:

- Tylko jeśli odpowiednio dużo nas powstanie i będzie walczyć, jesteśmy w stanie przeżyć. Rozumiemy to chyba, prawda?

Starła się być dzielna i udało jej się skinąć głową. Miał oczywiście rację i był już zdecydowany, widziała to w jego oczach. Mogła tylko zgodzić się z nim i wzmocnić jego odwagę. Było mu wystarczająco trudno iść i walczyć przeciwko niepokonanej armii Hitlera, bez jej gadania o ryzyku.

Nie mogła teraz osłabić jego determinacji, bo byłoby to fatalne w skutkach.

- Tak, kochanie - powiedziała po prostu, przytulając się do niego. - Musisz wstąpić do brytyjskiego wojska. Rozumiem to.

Patrzył na nią bez słowa.

- Jestem z ciebie bardzo dumna - szepnęła. - Bardzo cię Kocham.

Potrząsnął głową ze zdumieniem.

- To ja powinienem być dumny. Słabsza kobieta starałaby się odwieść mnie od tego. - Uśmiechnął się do niej. - Naprawdę jesteś córką swego ojca.

Nagle łzy napłynęły jej do oczu.

- To nie córka swojego ojca mówiła, tylko twoja żona.

- Wiem. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej i osuszał jej oczy koniuszkami palców. - Dobrze wiem.

- Dani...

- Słucham?

- Będziesz ostrożny? Nie zrobisz nic głupiego? Zaśmiał się.

- Jak mógłbym! Przecież muszę wrócić, prawda? Trzeba przenosić góry, robić dzieci. Trzeba nam mężczyzn, kobiet i dzieci, żeby marzenie Herzla o ojczyźnie Żydów stało się rzeczywistością. - Uśmiechnął się konfidencjonalnie.

- Nic mi się nie stanie, dopóki nie będziemy mieli pełnego domu naszych dzieci.

Poczuła ukłucie w sercu. Wydawał się taki młody, kruchy. Kości, mięśnie, organy wewnętrzne, skóra - wszystko tak łatwo uszkodzić.

Tej nocy i przez trzy pozostałe, jakie jeszcze mieli razem spędzić przed jego wyjazdem, kochali się dziko, szaleńczo, żeby sobie udowodnić, jacy są silni i pełni życia.

Cztery dni później odjechał do Hajfy, aby tam wsiąść na statek do Anglii. Pojechała wraz z dziećmi odprowadzić go, ale była to jej najsmutniejsza podróż. Nawet bliźniaki wyczuwały nastrój i były wyjątkowo osowiałe.

Na nadbrzeżu powitał ich niespodziewany widok. Co najmniej dwustu młodych żydowskich ochotników odpływało tym samym statkiem. Sądząc z radosnej atmosfery, jechali chętnie. Pito wino, muzykanci grali tradycyjne melodie, a niektóre młode pary nawet tańczyły. Mimo powszechnej świadomości, że przecież nie wszyscy wrócą, entuzjazm nie malał.

Serce jej pęczniało z dumy. Patrzyła na Daniego. Mimo że osadnicy starali się wyzwolić spod brytyjskiego jarzma, wielu z nich, podobnie jak jej mąż, zapomniało o tym, co ich dzieli, gdyż ważniejsza była walka przeciwko Hitlerowi. Widok ten sprawił, że coś ją ścisnęło w gardle i dumna była, że jest Żydówką.

Gdy Dani musiał już wchodzić na statek, próbowała powstrzymać łzy, ale było to niemożliwe.

Gdy ten statek odpłynie, on będzie na łasce nieznanych generałów, bezimiennych taktyków, mięsem armatnim dla kul i bomb i Bóg wie czego jeszcze, i może nigdy nie wrócić. Mogę go już nigdy nie trzymać w ramionach, myślała i łzy płynęły po jej policzkach, gdy stali tak objęci po raz ostatni.

- Będę się za ciebie modlić, Dani - szepnęła. - Rób, co musisz, ale nie zrób ze mnie wdowy - błagała cicho po hebrajsku.

On odrzucił w tył głowę i roześmiał się.

- Wrócę w całości i to wkrótce. Zobaczysz. Jeden prawdziwy Żyd wart jest dziesięć tysięcy nazistów. Pokażemy tym Niemcom. Hitler nawet się nie zorientuje. Wojna szybko się skończy.

Nie było widać końca wojny. Dni były długie, a noce nieznośnie puste. Tamara czuła się jak wdowa. Po odjeździe Daniego pustka w jej życiu była jak samotność po śmierci Louisa. Gdyby nie codzienna praca w kibucu, chyba oszalałaby. Teraz jednak zajmowała się bliźniakami, bawiła się z nimi, sprzątała dom, aż lśnił, organizowała przedstawienia dla dzieci, szlifowała swój hebrajski, pochłaniała wszystkie dostępne książki, pisała dziennik oraz długie listy do Daniego i pomagała wszystkim rodzinom, które tylko tego potrzebowały.

Jaśniejszymi momentami w jej życiu stawały się te rzadkie chwile, kiedy przychodziły listy od Daniego. Czytała je wielokrotnie. Były oczywiście cenzurowane, więc nigdy dokładnie nie wiedziała, jakie były jego zadania i plany, ale wystarczało, że miała wiadomości. Wiedziała, że był nawigatorem samolotu, gdzieś w tym całym chaosie, wciąż żywy. Te listy były jak lina ratunkowa, lekarstwo przeciw szaleństwu.

Mijały miesiące, a później lata, a koniec wojny wciąż nie nadchodził. Europa i Pacyfik stały się dwiema olbrzymimi szachownicami, na których zwycięstwa najpierw odnosiły Niemcy i państwa Osi. Z chwilą przystąpienia do wojny Stanów Zjednoczonych nastąpił moment zwrotny. Powoli aliantom udawało się odepchnąć siły Osi. Anglia nie musiała już sama utrzymywać swej słabnącej obronnej pozycji. Dzięki amerykańskiej technice oraz pomocy w postaci ludzi,

broni i amunicji, bombowce aliantów rozpoczęły nocne loty nad Niemcami - misję, w której brał również udział Dani ben Yaacov.

Tamara wiedziała o tym z jego listów, i życie stało się dla niej koszmarem. Była kłębkim nerwów, tak drażliwa, że wszyscy traktowali ją ze specjalną ostrożnością.

We wtorek, w sierpniu 1942 roku, świat Tamary zaczął się walić. Rano pompa irygacyjna, dostarczająca wodę na pola i do osiedla, przegrzała się i wybuchła. Około południa zaatakowali Arabowie ze wzgórz i odpieranie ich trwało ponad dwie godziny. Wczesnym popołudniem bliźniaki pobiły się i musiała ich ukarać. Wieczorem, gdy wszystko wracało do normy, przed domem z piskiem opon zatrzymał się Land Rover i oficer brytyjski zapukał do jej drzwi.

- Pani ben Yaacov?- spytał.

- Taak.

- Żona Daniego ben Yaacov?

Nagle przeszła ją groza i zakryła ręką usta, nie chcąc krzyknąć. Zamarła przy drzwiach, nie mogąc się ruszyć, mówić, nawet kiwnąć głową. Na jej twarzy zastygł okrutny uśmiech.

- Nazywam się major Winwood. - Oficer spojrzał na nią z troską. - Dobrze się pani czuje?

- Oczywiście, majorze - odpowiedziała, otwierając szerzej drzwi do pokoju. - Może pan wejdzie? Jest potwornie gorąco. Wypije pan coś chłodnego?

- Proszę, niech pani usiądzie... - Miał chrapliwy oddech długoletniego palacza.

- Doskonale się czuję - powiedziała zbyt prędko i zbyt radośnie. - Proszę się rozgościć. - Wskazała na krzesło i zaczęła chodzić nerwowo po pokoju. - Przepraszam, że tu taki bałagan, ale nie spodziewałam się gości... Gdybym wiedziała... - Przerwała, nie mogąc kontynuować tych uprzejmości.

On dalej stał, w lekkim rozkroku.

- Proszę zrozumieć, że jest mi bardzo trudno przekazać pani tę wiadomość. W ostatnią sobotę mąż pani był na nocnym bombardowaniu nad Niemcami... - Głos mu się załamał.

Odwróciła się. Była zupełnie biała. Unikał jej wzroku.

- Z przykrością muszę spełnić ten obowiązek i powiadomić panią, że jego samolot został zestrzelony gdzieś nad Zagłębiem Ruhry.

Zamknęła oczy. Świat zaczął wirować i dzwonić. Mijały nie kończące się minuty, nim odważyła się odezwać.

- Co się stało?

- Z tego, co wiemy od naocznego świadka, jego samolot otrzymał bezpośrednie uderzenie pocisku.

Uchwyciła się tego źdźbła nadziei.

Rozumiem, że załoga wyskoczyła na spadochronach.

- Samolot eksplodował w powietrzu. Obawiam się, że nie mieli czasu się katapultować. Nie było... żadnych szczątków. Przykro mi bardzo.

Nagle zachwiała się, a on skoczył, by ją podtrzymać. Zdołała się jednak opanować. Zestrzelony.

Zamknęła oczy i przytrzymała się stołu. Major jej mówi, że Dani nie żyje. Że jest dla niej stracony na zawsze. Eksplozja w powietrzu. Żadnych szczątków.

- Proszę pani... Nabrała powietrza.

- Już w porządku, majorze. Przez chwilę... poczułam się trochę słabo. Proszę mi wybaczyć. Już w porządku. Może pan zaprosi swego kierowcę na coś zimnego do picia?

- Obawiam się, że naprawdę musimy już jechać. Poproszę, żeby ktoś z sąsiadów posiedział z panią.

Potrząsnęła głową.

- To bardzo miłe z pana strony, majorze, ale naprawdę nie ma potrzeby. Mam tyle rzeczy do zrobienia. Już dawno nie wysyłałam mężowi paczki. Wie pan, zwyczajne rzeczy, ale żeby poczuł dom...

- Proszę pani, rozumiem, że to szok, ale...

- Szok! - Spojrzała na niego.

- On nie żyje - powiedział łagodnie. - Musi się pani z tym pogodzić. Pani mąż został zabity.

- Ależ pan się myli, majorze. On żyje.

Land Rover jeszcze nie zdążył się oddalić, kiedy siedziała już przy biurku, pisząc list do Daniego. Zmarszczyła brwi. Co to za bzdury o śmierci Daniego. Dani gdzieś żyje. Czuję to.

Dani, mój kochany, słodki, moja miłości... pisała.

Nie napisała nic na temat wizyty majora. Trzymała się desperacko myśli, że Dani żyje i dostanie ten list, a w każdym razie dowie się, że został napisany. I kiedy trzy tygodnie później dostała list, jaki napisał, nim został zestrzelony, uznała to za znak, że ma rację. Był gdzieś tam, żywy.

Wiernie czekała na jego powrót. Nigdy nie przyznała się do pomyłki.

Wojna trwała dalej, a alianci posuwali się naprzód. W końcu, 8 maja 1945 roku Niemcy się poddały i wojna w Europie się zakończyła. Na Pacyfiku trwało to dłużej, ale po trzech miesiącach i zrzuconiu dwóch bomb atomowych, Japonia poddała się 14 sierpnia.

Straty wojenne wynosiły około 45 milionów ludzi, a ponad jedną siódmą stanowili Żydzi, którzy zginęli w hitlerowskich obozach śmierci.

Powoli Żydzi palestyńscy, którzy służyli w armii brytyjskiej, byli zwalniani i wracali do domów. Niektórzy ranni, niektórzy zdrowi na ciele, ale nikt nie przeszedł wojny bez szwanku. Tamara czekała, ale Dani nie wracał.

Podczas tych bolesnych dni, tygodni, miesięcy, a potem lat, Tamara uparcie nie przyjmowała do wiadomości faktu, że Dani nie żyje. Jakaś intuicja mówiła

jej, że to nieprawda. Była świadoma faktu, że niektórzy ludzie uważali ją za nie zrównoważoną psychicznie i przestali z nią na ten temat rozmawiać.

Był to Pierwszy Wieczór Rosh Hashanah, żydowskiego Nowego Roku, a ponieważ było już po zachodzie słońca, Tamara zapaliła świąteczne świece od istniejącego już płomienia.

Sprawdziła, czy bliźniaki mają na sobie jarmułki, ona okryła głowę Szalem do modlitwy i poszła do kuchni po grubą, długo palącą się świecę. Od niej zapaliła małe świece w szklanych lichtarzykach, stojące na stole w salonie. Odniosła ją z powrotem do kuchni. Musiała płonąć stale, aż do Drugiego Wieczoru, gdy znów po zachodzie słońca zapali od niej świece świąteczne. Wedle tradycji religijnej w czasie święta nie można rozpalać ognia, więc należało utrzymywać stały płomień. Przez cały czas przypominała sobie, ile się już nauczyła z religii i ile jeszcze musi się nauczyć. W odróżnieniu jednak od poprzednich Rosh Hashanah nie musiała już czytać modlitw z książeczki. Znała je na pamięć, a hebrajski stał się dla niej tak naturalny, że czasami, ku swemu zdziwieniu stwierdzała, że myśli w tym niegdyś egzotycznym dla niej języku.

Teraz, skłaniając głowę, recytowała błogosławieństwo:

- Boruch atch adonai - zaczęła i spojrzała na dzieci.

- Boruch ,atch adonai - powiedzieli posłusznie i dalej powtarzali za nią.

- ...Yom hazikoron.

- ...Yom hazikoron. Uśmiechnęła się do nich, dumna.

- Bardzo dobrze - powiedziała po angielsku. Wierzyła, że mówiąc do nich na przemian po hebrajsku i po angielsku, wykształci u dzieci dwujęzyczność.

Gdy siedziała tak sama z synami, przy świetle świec i kieliszku słodkiego, czerwonego wina, czuła niemal obecność Daniego. Znów skłoniła głowę i modliła się dalej, a bliźniaki powtarzały jej słowa.

Nagle modlitwę przerwało pukanie do drzwi. Tamara zniecierpliwiła się. Nie chciała żadnego towarzystwa, powiedziała to wszystkim wyraźnie. Dlaczego akurat teraz muszą być tacy dobrzy?

Pukanie rozległo się znowu, tym razem głośniejsze.

- Mamo, nie otworzysz? - dopytywał się Asa.

- ...Vehegeonn legman hazeh - skończyła prędko ostatnie słowa modlitwy i przytrzymując szal na głowie, podeszła otworzyć drzwi.

Na jej twarzy malowało się zdumienie.

- Proszę wejść, majorze - powiedziała, rozpoznając od razu brytyjskiego oficera. Był to ten sam człowiek, który przekazał jej wiadomość, że Dani został zestrzelony. Oddychał równie chrapliwie, jak wówczas,

- Major Winfield, o ile pamiętam.

- Winwood, proszę pani - poprawił. Otworzyła drzwi szerzej.

- Proszę wejść.

Zdjął czapkę i trzymał ją przed sobą niepewnie. Zobaczył płonące świece i spytał:

- Czy nie przeszkadzam?

- To tylko małe obchody święta, którego nie należy spędzać w samotności - powiedziała, nie zauważając, że szal zsunął jej się z ramion. - Dzieci, to jest pan major Winwood. Panie majorze, to Ari i Asa.

- Bardzo nam miło - powiedziały bliźniaki chórem. Tamara spojrzała na majora.

- Czy mogę pana czymś poczęstować?

- Za chwileczkę. Najpierw chciałbym panią poinformować...

- Że mój mąż żyje i jest zdrowy - dokończyła za niego - i niedługo wróci do domu.

- Skąd pani wie? - spytał zdumiony.

- Zawsze wiedziałam - odpowiedziała po prostu. - Cały czas to czułam w sercu, cały czas.

Odchrząknął zmieszany.

- W imieniu Królewskich Sił Powietrznych oraz swoim własnym pragnę panią przeprosić, że niepotrzebnie panią wówczas zmartwiłem. Byliśmy przekonani, że nie miał żadnych szans na ocalenie.

- Ależ pan mnie nie zmartwił, majorze. Ani przez moment nie wierzyłam, że Dani nie żyje. A teraz wypije pan ze mną kieliszek wina? Jest to żydowski Nowy Rok. I widzę już, że będzie szczęśliwy.

- Tak, bardzo chętnie.

Poszła po drugi kieliszek, naląła dla nich obojga i usiedli naprzeciw siebie. Uniósł kieliszek.

- Na zdrowie - powiedział, sięgając nim nad świecami.

- L'Chaim - odpowiedziała.

Stuknęli się kieliszkami i wypili,

- A teraz - powiedziała, odstawiając kieliszek - byłabym wdzięczna za jakieś szczegóły.

- Obawiam się, że są skąpe. Kiedy samolot pani męża został zestrzelony, jemu udało się wyskoczyć na spadochronie, ale był ciężko ranny. Lata spędzone w obozie też mu nie pomogły. Gdy obóz został wyzwolony, nie miał żadnego dowodu tożsamości i z trudem mówił. Był chory i osłabiony. Gdyby nie jacyś współwięźniowie, nie dowiedzielibyśmy się nawet, że był w RAF-ie. W kwietniu przewieziono go do szpitala wojskowego w Surrey. Dopiero teraz wydobył na tyle, żeby sobie przypomnieć, kim jest.

- Więc muszę natychmiast do niego jechać!

- Nie ma potrzeby, proszę pani. Jak tylko zostanie zwolniony, wyruszy tutaj, prawdopodobnie za tydzień.

- W takim razie - nachyliła się nad stołem i zdmuchnęła świece - myślę, że będziemy świętować w tym roku Rosh Hashanah nieco później niż zwykle.

Dla Tamary wojna nareszcie się skończyła.

Tamara była pewna, że powrót Daniego do domu będzie najszczęśliwszym dniem w całym jej życiu i nie była przygotowana na gorycz, która ją czekała. Z

trudem go rozpoznała, kiedy zszedł ze statku. To nie był ten sam człowiek, który odszedł walczyć z Niemcami, zdrowy i opalony. Oczy miał podsiniowane i zapadnięte, patrzące podejrzliwie i z przestraczem. Policzki również zapadnięte i blade, wyglądał na chorego. Mundur wisiał na wychudzonym ciele.

Omiał nie krzyknęła z przestraczu.

Co oni z nim zrobili?

Objęła go, przytuliła i oboje płakali.

Było jasne, że potrzebował wypoczynku, dobrego odżywiania i czulej opieki. Zostawiła wszystko, spakowała walizki i pojechali w czwórkę do Ejlatu, tam, gdzie spędzali miesiąc miodowy. Przez trzy miesiące opowiadali sobie o minionych latach, czerpali z siebie wzajemnie siłę i kochali się, gdy bliźniaki poszły spać.

Tamara poświęciła mu się całkowicie, gotowała, dbała o niego i pocieszała, gdy budził się zlany potem, po jakichś koszmarach snach.

Powoli ona, morze, słońce i chłopcy działali cuda. Dani zaczął przybierać na wadze, dzięki ćwiczeniom odzyskiwał mięśnie, skóra nabrała zdrowego koloru. Tamara jednak i przekonała się, że wojna zawsze będzie ich jakoś prześladować i przezierać zza fasady szczęścia.

Już dosyć długo lizałem rany i litowałem się nad sobą - oświadczył niespodziewanie Dani pewnego ranka przy śniadaniu. Siedzieli sami, chłopcy poszli na ryby z jakimiś znajomymi. - Czas do domu. Czas przenosić te góry, o których zawsze mówiliśmy.

Chciała zaklaskać. Dani, którego tak szaleńczo kochała, wrócił.

przypieczętowali to postanowienie pocałunkiem. Był długi, namiętny, jakby Dani budził się do życia i jego rozkoszy. Nim stali się jednym ciałem, poczuła, że łączą się ich dusze i umysły. Tego ranka, gdy zostawili na talerzach nie skończone śniadanie, poczęte zostało ich trzecie i ostatnie dziecko. w oazie al-Nadżaf żona Naemuddina al-Ameer, Jehan, sprzątnęła ostatnie naczynia po śniadaniu i odsunęła zasłonę, dzielącą jedną izbę na dwa oddzielne

pomieszczenia. Okryła głowę gęstą czarną zasłoną, jak zawsze przed wyjściem. Wyrzała przez otwarte drzwi. Z dworu dochodziły krzyki bawiących się jej wnucząt, Iffat i Nadżiba. Jakie niewinne jest dzieciństwo! I jakie krótkie, pomyślała z żalem. Iffat miała już sześć lat, a Nadżib dwanaście. Wkrótce będą dorośli i dowiedzą się, że świat jest okrutny i bezwzględny.

Popatrzyła na męża. Siedział na swym zwykłym miejscu, na grubym dywanie w końcu pokoju. Przeszył ją nerwowy dreszcz. Mąż nie tknął śniadania, a na dodatek nie wypił swej słodkiej miętowej herbaty. Widać było, że był czymś bardzo przejęty, pogrążony w myślach.

Podeszła do niego cicho i przykucnęła.

- Co cię trapi, mój mężu? - spytała delikatnie. Uchwyciła jego ręce, równie zniszczone i zniekształcone jak jej, tylko większe. - Przecież chyba nie ma się czym martwić?

Naemuddin uniósł głowę. Mimo sześćdziesięciu czterech lat wciąż był wysoki i postawny, lecz widać po nim było przygnębienie. Czarna broda i wąsy poprzetykane były siwizną, kości twarzy jeszcze bardziej wyraziste. Oczy, niegdyś ostre i przenikliwe, stały się niepewne i smutne.

- Boję się, że jest zbyt wiele powodów do zmartwienia, moja żono - powiedział. - Już od dwóch dni ludzie mego przyrodniego brata czyszcą broń. Teraz będą ostrzyć noże. Myślisz, że na ucztę?

- Abdullah zawsze ucztuje na koszt innych - rzuciła z gniewem. - Nie chce mu się uczciwie pracować, dbać o owce i kozy, brudzić rąk w ziemi. - Głos jej zmiękł. - Ale jest młody, może z czasem...

- Nie! Interesuje go tylko śmierć i destrukcja. - Ręce mu się zatrzęsły. - Ale to nie zabawa. Ani on, ani inni nie- będą usatysfakcjonowani, póki ta pustynia nie spłynie na czerwono krwią Żydów. Zobaczysz, moja żono. Nim słońce zajdzie po raz trzeci, ich strzelby będą puste, a noże okrwawione.

- Musisz z nimi porozmawiać, żeby zrozumieli, jakie to groźne.

- Wiesz, ile razy to robiłem. To nic nie daje. Ścisnęła go za rękę.

- Porozmawiaj jeszcze raz. Jesteś ich przywódcą! Pójdą za tobą jak owce za pasterzem.

Potrząsnął głową.

- Za późno. Ich uszy są zamknięte na jakiegokolwiek logiczne tłumaczenie.

- Więc może pokażesz im swoją siłę? - zaproponowała Jehan i poczuła, jak krew uderza jej do głowy. Zdumiona była własną śmiałością. Słowa wymknęły jej się same.

Naemuddin popatrzył na nią smutno.

- Próbowałem, moja żono, ale oni nie słuchają już słów, których nie chcą słuchać. Sądzą, że jestem słaby, bo nawołuję do pokoju, a Abdullah silny, bo dąży do rozlewu krwi.

- Ale po radę przychodzą do ciebie - twierdziła uparcie. - Po co przychodziliby tutaj?

- Przychodzą tylko z uprzejmości i szacunku dla starego, słabego człowieka. Nie oszukuj się, moja żono. Nie jestem już przywódcą naszego plemienia. - Jego popękane usta zadrżały i w głosie pojawiła się gorycz. - To mój młodszy brat przyrodni powinien nosić na głowie zawój wodza. Już nie ja.

- Naemuddin! - Była oburzona. - Wiesz, że Abdullah chce tylko władzy i wojny! Nie mówisz chyba poważnie, że przekażesz mu przewodnictwo!

- Przekażę. Muszę. - Pokiwał ponuro głową, a ona nie mogła znieść męki, jaką widziała w jego oczach.

- Naemu...

- Nie, nie staraj się mnie od tego odwieść. Co to za wódz, który jest wodzem tylko z nazwy? Tak, moja żono, nadeszła pora rezygnacji. Nic więcej nie mogę zrobić. Abdullah pozyskał sobie szacunek wszystkich. Teraz już wszystko jest w ręku Allacha.

Jehan ścisnęła jego rękę, żeby wiedział, że dzieli jego ból i upokorzenie. Płakała. Pomyślała, że mąż ma rację. Prawdziwym przywódcą stał się Abdullah. Z początku ostrożnie, potem coraz odważniej, osłabiał autorytet jej męża, aż

jego władza zmalała do zera. Gorące przemówienia Abdullaha nawołujące do walki z Żydami rozpałały ludzi i pozyskiwały mu zwolenników. Jego obraz nieustraszonego wojownika imponował młodym i starym, a nawet dzieci naśladowały go w swych zabawach. Jego umiejętność zdobywania broni i amunicji zdumiewała wszystkich. Tak, Abdullah dał im wszystkim coś, czego nie potrafił dać miłujący pokój Naemuddin - poczucie pewności i dumy, ducha walki. Siła woli Abdullaha zmieniła tych ludzi w wojownicze plemię, a jego okrzyki przeciwko Żydom zyskały popularność właściwie u wszystkich poza Naemud-dinem.

Jakie to typowe dla mężczyzn, pomyślała, jeśli tylko dostaną broń do ręki, natychmiast stają się wojownikami. Abdullah podsycił strach i nienawiść przeciwko Żydom.

Chociaż ona sama nie opuściła oazy od chwili, gdy trzydzieści lat temu odbyli z Naemuddinem pielgrzymkę do Mekki, słyszała od licznych wędrowców, przechodzących przez ich wieś, że Żydzi spychają Arabów z ich ziem, a ich osiedla są zawsze żyzne i zielone, a nie brązowe lub żółte jak arabskie.

Czy to nie był wystarczający dowód na to, twierdzili, że Żydzi wysysają z tej ziemi jej cenne zasoby, tak jak z al-Nadżaf cenną wodę?

Pomyślała nagle o pierwszym Żydzie, jakiego poznała. Ileż to lat minęło? Wydawało się, że zaledwie wczoraj pielęgnowała tu rannego, jednonogiego Żyda. Podobno od tego czasu osada żydowska rozkwitła, a ich podupadła.

Czy to nie był ten sam Żyd, który przychodził do nich, przynosił Naemuddinowi, jako wodzowi plemienia, dary, kiedyś nawet całą owcę, i długo w noc rozmawiali o życiu? Czy to nie ten sam opowiadał o ładach za morzem, miastach, gdzie cudowne pudła unosiły ludzi do pokojów wysoko w niebie, a kraj był tak olbrzymi, że jedna jego część spała, a druga miała dzień?

Nawet dla tak inteligentnej kobiety było to trudne do pojęcia. Tak jak Naemuddin, nie mogła się nadziwić, że świat kurczy się tak, że al-Nadżaf nie

jest już osamotnioną osadą otoczoną piaskiem i skałami. Żydzi i różni Europejczycy pchali się zewsząd. Obcy, o których Abdullah mówił „niewierni” i że trzeba ich pozabijać, a Naemuddin twierdził, że trzeba spokojnie żyć obok.

Nie bała się o siebie ani o męża. Oni byli już starzy i przeżyli dobre lata, a reszta była w rękach Allacha. Ale Nadżib i Iffat? Jej ukochane wnuczęta miały przed sobą całe życie.

- A teraz, moja żono - powiedział do niej Naemuddin - idź do kobiet. Dość już rozmawialiśmy. Muszę pomodlić się sam i zebrać myśli, bo będę taki głupi jak te nasze kozy.

Jehan skinęła głową.

- Zrobię, jak sobie życzysz, mój drogi mężu - odpowiedziała z automatycznym posłuszeństwem. - Ale cokolwiek by się działo, dla mnie zawsze będziesz największym wodzem. Rzadko kto rozumie, że trzeba żyć w spokoju, żeby się rozwijać i rozmnażać.

Spojrzał na nią z czułością. Była nawet atrakcyjniejsza niż za młodych lat.

- Ale cokolwiek by się działo, będziesz zawsze moją ukochaną żoną, Jehan.

- Jeśli taka będzie wola Allacha - odpowiedziała prędko. Nagle jego oczy rozbliły, ciskając błyskawice, głos brzmiał jak grzmot.

- Idź już do innych kobiet, żebym odpoczął od twego gadulstwa, kobieto! Bo inaczej, na Boga, rzucę twoje ciało na pustynię, gdzie pożrą je drapieżne ptaki, a kości zbieleją na słońcu!

D ani! - wykrzyknęła z zadowoleniem Tamara. - Już wróciłeś!

Starła się podbiec do niego, ale spory brzusek bardzo już jej przeszkadzał i ruszała się niezgrabnie. Wziął ją w ramiona i pocałował, po czym spojrzał na tę wypukłość.

- Jak tam nasze małe kopiające? - spytał po hebrajsku.

- Kopie - odpowiedziała również po hebrajsku, takie to było naturalne. - Cokolwiek to jest, bardzo chciałoby już wyjść na świat.

- Nie dziwię się, jeżeli ma zobaczyć taką promienną mamusię.

Przeszli na duży taras. Dani dobudował go do domu w zeszłym roku, ona ozdobiła skrzynkami z kwitnącym czerwono geranium. Siadła ostrożnie na białym, wiklinowym fotelu, przysłanym z Londynu.

- Kiedy musisz znów wyjechać? - spytała.

- W poniedziałek. Statek przy pływa we wtorek po południu. Kiwnęła głową. Mówił o „Aliyah Beth”, statku, który nielegalnie przywiózł tu tysiące Żydów, przeważnie tych, którzy przeżyli obóz koncentracyjny. Ponieważ Anglicy przestrzegali nakazów swego Białego Papieru, jedynym sposobem dla imigrantów było podpływanie nocą i przeprowianie się na jakichś łódkach lub przejście pieszo czy w pław przez wodę, trzymając dzieci za ręce, a skromny dobytek na głowach.

Dani wraz z przyjaciółmi pomagali imigrantom dostać się na ląd i znaleźć schronienie. Było to bardzo ryzykowne przedsięwzięcie z tysiącem potencjalnych niebezpieczeństw.

- A co z tym statkiem, który ma przyplłynąć we wtorek - zagadnęła Tamara. - Nie spodziewasz się żadnych kłopotów?

- Będę tam, jak zwykle, ale powinnaś namówić swego ojca, żeby został tutaj, bo mnie nie słucha.

- Dlaczego? Przewidujesz jakieś trudności?

- Zawsze przewiduję - powiedział, zapalając papierosa - dlatego nikt z mojej grupy nie wpadł.

- Ale wtorek. Dlaczego tak się martwisz o wtorek?

- Bo to ten inny statek, „Philadelphie”.

- Ten francuski, który już dwa razy próbował ich wyładować?

- Właśnie. I dwa razy brytyjska marynarka wojenna strzelała do nich ostrzegawczo. Teraz jest na Cyprze. To bardzo głośna sprawa.

- Czyli mogą być dwa statki?

- Nie tylko o to chodzi. Brytyjczycy są szczególnie czujni z powodu tego statku na Cyprze.

- Do licha... Jak myślisz, ile jest ludzi na każdym statku? Westchnął i wzruszył ramionami.

- Któż to może wiedzieć? - Strzepnął popiół do popielniczki stojącej na szklanym blacie wiklinowego stolika. - Z tego, co widzieliśmy z brzegu, nim przepędzili „Philadelphie”, na pokładach były tłumy.

Milczała zaniepokojona.

- Ostatnia zardzewiała wanna, jaka tu dotarła, miała wyporność nie większą niż tysiąc pięćset ton, a na pokładzie dziewięćset osób. Jeśli któraś z tych wanien zacznie tonąć, będzie katastrofa, jakiej świat nie widział. Nie ma wystarczającej liczby kamizelek ratunkowych, jest sporo ludzi starych i chorych, małych dzieci, a przecież po tym, co przeszli w obozach, nie są to sportowcy.

- Więc co możemy zrobić? - spytała.

- Nic nie możemy, dlatego jestem taki wściekły. Póki Brytyjczycy nie zmienią swoich przepisów, jedyna droga prowadzi przez Alijah Beth i możemy tylko starać się zebrać jak najwięcej ludzi na brzegu, żeby pomóc.

- Lepsze to niż nic. - Uśmiechnęła się. - Dumna jestem z ciebie. Nie znam większego altruisty.

- Ode mnie? - zaśmiał się. - To się odnosi do twojego taty. Gdzie tylko coś się dzieje, on jest w samym środku, mimo swojej nogi...

- Dani... Chodzi o ojca. Dawno chciałam*o nim porozmawiać...

- No, to mów.

- Czy on... nie jest trochę za stary na takie bohaterstwa?

- Stary? Ten chytry Lis Pustyni?

- Ma prawie pięćdziesiąt dwa lata. Skinął głową.

- Martwię się o niego.

- Nie ma potrzeby. Kto jak kto, ale twój ojciec na pewno da sobie radę.

- Wiem, ale czy musi sobie radzić jeszcze z tyloma innymi ludźmi?

- Przecież to jest jego życie. Chciałabyś, żeby siedział w cieniu i czytał? To nie ten typ.

- Ale martwisz się o tę wtorkową akcję.

- Tak, bo wtedy wszystkie brytyjskie patrole będą w pogotowiu. Marynarka chce z tego zrobić pokazową sprawę.

- Jakiś twój szpieg ci powiedział?

- Jeden z naszych brytyjskich sympatyków. Dzięki Bogu, że tylu ich jest. Chodzi mi o to, że twój ojciec może wpaść w zasadzkę.

Obleciał ją strach.

- Nie możemy sobie pozwolić na to - ciągnął Dani - żeby go złapali. Jest jednym z kilku, dzięki którym Żydzi walczą jako jednolita grupa. Dlatego chciałbym, żebyś go powstrzymała przed pójściem we wtorek na plażę.

- Spróbuję - westchnęła - ale znasz mojego ojca równie dobrze jak ja i wiesz, jaki jest uparty.

- To użyj swoich wdzięków. Na mnie działają, to czemu nie na niego?

- Bo jestem jego córką, a damskie wdzięki nie mogą być używane na ojców.

- Użyj, czego możesz. Użyj... dziecka.

- Dziecka? - Popatrzyła zdziwiona.

- Powiedz, że masz jakieś komplikacje ciążowe. Doktor Saperstein cię poprze. Wyjaśnij swojemu ojcu, że ja muszę być na miejscu, kiedy „Philadelphie” będzie przerywać blokadę, ale on powinien zostać przy tobie.

- Spróbuję.

- Dobrze. - Uśmiechnął się. - Tylko porozmawiaj przedtem z doktorem Sapersteinem, żeby się wasze zeznania zgadzały. - Wstał, nachylił się i pocałował ją w policzek. - Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Nie była taka pewna; Jej ojciec podejmował ryzyko przez lata, dziesięciolecia nawet. Tylko swemu sprytowi, czasami szczęściu, zawdzięczał, że go jeszcze nie schwytano. Przeżył już życie za kilka osób; oby tylko miał jeszcze coś w zapasie.

Gdy mężczyźni zebrali się w domu Jehan, ona i inne kobiety zebrały się w domu jej córki, Tawfiq. Choć zdawały sobie sprawę z przyczyny zebrania, zgodnie z obowiązującymi zasadami zaledwie o tym wspomniały. Siedziały zjadając placek daktylowy i popijając gęstą jak syrop kawę, gadały jak papugi. Wymieniały plotki i przepisy, opowiadały o dzieciach i kontraktach małżeńskich.

Tak jak Naemuddin czuł się trochę wyobcowany z grona mężczyzn, Jehan utrzymywała dystans w stosunku do innych kobiet. Siedziała tak, żeby widzieć swe drzwi, sto kroków stąd. Nie włączyła się w rozmowy kobiet, nie miała ochoty. Zbyt była zajęta rozmyślaniami o tym, co dzieje się w jej domu. Dochodziły do niej strzępy rozmów.

- To skandaliczne, jej rodzice chcą dwa razy tyle, co tej córki Dżaba. Zawsze mówię, lepiej załatwiać interesy z rodziną. Dalsi kuzyni są tańsi.

- ...Tak, ale przy tej cenie narzeczonych, kto może sobie pozwolić na rozwód?

Jehan była coraz bardziej niespokojna. Minęło pół godziny, półtorej, a oni wciąż siedzieli w jej domu.

- ...dobry syn, ten mój Salam. Minęły dwa lata, odkąd pojechał do Suez do pracy i co trzy miesiące przysyła nam pieniądze...

Jehan pukała palcami o kolana, wpatrując się cały czas we własne drzwi. Nagle Tawfiq dotknęła jej ramienia.

- Nie jesteś przy nas myślami, mamó - szepnęła z Wyrzutem. - Wiesz, że jeżeli będziesz dalej tak patrzyła i nie odezwiesz się, będą o tobie plotkować.

- Niech sobie plotkują, jak nie mają nic lepszego do roboty - powiedziała zdenerwowana Jehan. - Stado głupich kóz!

- Cii! - Tawfiq rozejrzała się przerażona, czy nikt tego nie słyszał. - Proszę, mamó, nie możesz przynajmniej udawać zainteresowania?

Nagle Jehan zobaczyła Abdullaha, wychodzącego z jej domu. Z bólem zauważyła, że miał na głowie kufie, która przez tyle lat zdobyła głowę jej męża.

Inni pośpiesznie wychodzili za nim. Nie trzeba jej było mówić, co się stało. Wstała bez słowa i pobiegła do domu. Czowała, że mąż potrzebuje jej teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Ostatni mężczyźni wychodzili, gdy weszła do domu. Czekwała z pochyloną głową, potem spojrzała na drzwi. Mąż stał w pobliżu, oświetlał go promień światła dochodzący z zewnątrz. Patrzył prosto na nią. Przeszedł ją dreszcz. Patrzył nie na nią, ale przez nią, jakby jej nie było.

Jego klęska była widoczna. Przygarbił się, posmutniał, wyglądał staro i słabo, jakby zapadł się w siebie.

Westchnęła głęboko, prosząc Allacha, by dał jej odwagę, Weszła i objęła go ramionami. Zachwiał się i oparł o nią.

- Chcą walczyć! - szepnął, jak w transie. - Chcą ranić i zabijać. - Głos mu się załamał. - Za dwa dni chcą zaatakować osadę Żydów.

- Wiem - odpowiedziała łagodnie. - Widziałam, jak stąd wychodzili i poznałam to po ich twarzach. To głupcy.

- Przegrałem - zapłakał. - Staralem się ostatni raz im tłumaczyć, ale nie słuchali. Nie obchodzi ich, ilu zginie.

- Zrobiłeś, co mogłeś. Ich los jest teraz w rękach Allacha. W tym momencie, tuż przed otwartymi drzwiami potknął się jej dwunastoletni wnuk, Nadżib. Nie zwracając uwagi na ból bosych stóp, zatrzymał się w jasnym prostokącie światła. Stał profilem do niej, trzymając kij. Za chwilę pojawiła się przy nim Iffat.

- Widzę Żyda! - wrzasnął Nadżib. Udając, że kij to strzelba, przyłożył się do strzału, tak jak widział u dorosłych. - Bach! Bach! Zabiłem! - krzyknął radośnie, a Iffat zaklaskała w ręce.

- Żyd! - piszczała. - Bach! Bach! Żyd! - Starła się odebrać bratu kij. - Ja też chcę! Chcę strzelać!

Jehan odwróciła się do męża. Naemuddin uniósł głowę i patrzył na dzieci.

- Posłuchaj! - zapłakał. - Jak mogłem na to pozwolić?

Tamara przeszła miedzą na skraju osady do nowego domu swego ojca. Zastukała według umówionego sygnału:

- Puk!... puk! puk!... puk, puk, puk! - Odczekała pół minuty, otworzyła drzwi i zajrzała do saloniku.

- Tato!

- Jestem tutaj! - odkrzyknął.

Przeszła wprost do jego pracowni. Siedział za biurkiem, plecami do okien. Zdjął okulary i odłożył jakieś papiery, gdy nachyliła się i pocałowała go w policzek.

- Cześć, tato! - powiedziała. Położyła mu ręce na ramionach. - Przeszkadzam ci w czymś?

Obrócił się i spojrzał na nią.

- Ty zawsze możesz mi przeszkadzać, Tamaro. - Uśmiechnął się. - Wiesz o tym.

Usiadła z drugiej strony biurka.

- Czy jesteś gotów omówić te problemy mieszkaniowe, czy mam przyjść później?

- Nie tak szybko, zwolnij trochę. - Spojrzał poważnie na jej brzuch. - Mam nadzieję, że z dzieckiem jest wszystko w porządku?

Zawahała się i kłamstwo, jakie ustaliła z doktorem Sapers-teinem, nie przeszło jej przez usta.

- Oczywiście - powiedział jej doktor Saperstein - jeżeli Dani uważa, że twój ojciec mógłby wpaść w pułapkę, widocznie wie, co mówi. Więc mogę trochę naciągnąć prawdę. Udawaj, że masz przedwczesne bóle porodowe. To go powinno zatrzymać. Nie możemy pozwolić, żeby coś mu się przydarzyło.

Jakie to by było proste, pomyślała, ale teraz zobaczyła, że nawet to wahanie spowodowało niepokój na jego twarzy.

A więc nie skłamała. Nie mogła. Zamartwiałyby się. Nie mogła mu tego zrobić.

- Wszystko w porządku - zapewniła go. - Naprawdę. Doktor Saperstein uważa, że dziecko przyjdzie o czasie. Wszystko jest O.K. - przeszła na angielski.

- Dobrze - uspokoił się. - Ale uważaj na siebie. Masz tam bardzo cenny towar.

- Wiem - uśmiechnęła się. - Co to będzie, jak myślisz? Chłopiec czy dziewczynka?

- Och, na pewno dziewczynka.

- To dlatego, że chcesz wnuczkę.

- Każdy dziadek musi mieć wnuczkę.

- A jak to będzie wnuczek?

- To będziemy musieli go zostawić tam, na wzgórzu, co ty na to?

- Tato! - zwróciła mu uwagę.

- Przecież żartuję. - Podniósł ręce do góry. Spoważniał.

- Wiesz, za każdym razem, jak widzę Asę i Ariego, to zauważam, że wystrzelili o parę centymetrów. Zbyt rzadko widuję moich wnuków.

- To dlatego wciąż się wyprowadzasz coraz dalej i dalej? Prawie dwadzieścia minut tu szłam. Twój stary dom był znacznie bliżej.

- Ale tam czułem się osaczony. Po co mieszkać na pustyni, skoro masz sąsiadów z czterech stron, a jedyny widok to ich okna. Jeśli Ein Shmona będzie się dalej tak rozwijać, będę musiał znów się przeprowadzić.

- Właśnie po to przyszedłam. Musimy omówić problemy mieszkaniowe. Za trzy dni mamy przedstawić nasze obserwacje i zaproponować rozwiązanie. Chcę być przygotowana. Musimy wyjaśnić parę problemów logistycznych.

- Logistyka - westchnął. - Komitety. Ileż to było prostsze kilka lat temu.

- Kilka lat temu było nas znacznie mniej - przypomniała.

- Teraz mamy ponad trzy tysiące mieszkańców i wciąż przyjeżdżają nowi. Więcej ludzi wymaga większej odpowiedzialności.

- Zaczynasz się wyrażać jak polityk. Zaśmiała się.

- Mam nadzieję, że nie, ale fakt pozostaje faktem. Mamy problemy mieszkaniowe. Z każdego statku, który przebije się przez blokadę, dociera do nas od dziesięciu do czterdziestu nowych mieszkańców. W przyszłym tygodniu przyplwają dwa statki, czyli musimy umieścić od dwudziestu do osiemdziesięciu osób. Tato, gdzie my ich podziejemy?

- Więc co proponujesz zrobić? Nie możemy tylko pomóc im dostać się na brzeg i zniknąć. Muszą gdzieś zacząć nowe życie, więc ryzykują ten przyjazd.

- Dlatego powinniśmy poważnie zająć się budownictwem. Na razie będziemy im chyba musieli zaoferować namioty.

- Jeżeli musimy rozbić namioty, to rozbijemy.

- Tato, chodzi mi o to, że budujemy zbyt wolno. Żeby to przyspieszyć, powinniśmy trochę nagiąć nasze przepisy. Teraz na przykład sześciu nowych ludzi - trzech budowlanych, dwóch cieśli i kamieniarz - spędza czas na polu, zbierając kamienie, orząc, bronując. Rozumiem ideę, że wszyscy nowo przybyli muszą najpierw pracować na polach, ale w tym przypadku powinniśmy zrobić wyjątek. Musimy. Potrzebujemy teraz nowych budynków bardziej niż nowych pól.

- Potrzebujemy jednego i drugiego.

- Ale ci ludzie się marnują na polach! Mamy teraz dość siły roboczej do zbierania i sadzenia, zwłaszcza z tymi nowymi. Gdyby to ode mnie zależało, zabrałabym natychmiast budowlanych z pól i kazała budować. Albo to, albo... - wytrzymała jego wzrok.

- Albo co? - spytała miękko.

- Musimy przestać przyjmować nowych przybyszów. Zacisnął usta.

- Nowo przybyli są naszą szansą, bo tylko w ilości nasza siła. - Postukał palcami po biurku. - No dobrze! - powiedział w końcu. - Wygrałaś. Podkreślimy, że musimy być elastyczni i muszą być wyjątki. Ale wyłącznie dla budowlanych.

Uśmiechnęła się.

- I mogą zacząć zaraz?

Pokiwał głową.

- Dobrze. Myślę, że nie będzie kłopotów, żeby komitet to przyjął, jeżeli ty się zgadzasz. Jeszcze jedna sprawa - powiedziała cicho.

Zaniepokojony jej tonem, uniósł brwi i czekał.

- Chodzi o „Philadelphie”. Tato, błagam cię, żebyś nie przychodził na brzeg, kiedy przyplynie.

- Boisz się, że mnie złapią? - Spojrzał zdumiony. - Po tych wszystkich latach, kiedy umykałem władzom, mają mnie złapać?

- Tak. - Kiwnęła głową. - Wiesz dobrze, że Anglicy chcą z „Philadelphie” uczynić pokazową sprawę. Chcą zrobić wszystko, co się da, żeby uniemożliwić wyładowanie pasażerów. Przy okazji chcą też zwinąć wszystkich pomagających z lądu.

- Więc tym Ważniejsze, że bym tam był.

- Oszalałeś! - Patrzyła na niego, starając się powstrzymać łzy. - Tato, mogłabym powiedzieć, że nie powinieneś tam pójść ze względu na chłopców i dziecko, które noszę, i dlatego, że się o ciebie martwię. Ale nie zrobię tego. Powiem natomiast, że jesteś tu niezbędny. Jeżeli tobie coś się stanie, to wszystko się rozleci. Nie rozumiesz tego?

Szmaria wciąż patrzył na nią.

- Przede wszystkim — powiedział miękko - pomyliłaś się. Nie ma ludzi niezastąpionych, nigdzie. Wszyscy są do zastąpienia. - Chciała zaprotestować, ale jej przerwał. - A po drugie - ty, Dani i inni robicie taką dobrą robotę, że naprawdę nie będzie mnie brakować. Może na krótko, ale na dłuższą metę? - Potrząsnął głową. - Na dłuższą metę kibuc z pewnością będzie się trzymał doskonale.

- Nie mów tak! - powiedziała ostro. - Dobrze wiesz, że to ty jesteś klejem, który to wszystko trzyma. Nie ma mężczyzny, kobiety ani dziecka, które pisnęło obcemu, że tu jesteś. Dlatego jeszcze cię nie złapali. Tylko dlatego, że wszyscy

są ci tak oddani. Więc, jak widzisz, jesteś winien nam wszystkim, żeby nie podejmować takiego ryzyka. - Wstała z krzesła i popatrzyła na niego błagalnie. - Proszę, tato, żebyś tam nie szedł, kiedy „Philadelphie” przyplynie. Nie kuś losu.

- Tamaro - powiedział spokojnie - nie przejmuj się tak. Stres nie jest wskazany w twoim stanie.

- Dlaczego, do diabła, unikasz tego tematu?

- Nie unikam. Będę miał na uwadze to, co powiedziałaś - zgodził się. - W każdym razie, jest dopiero piątek. Przez cały weekend ma być piękna pogoda i czyste niebo. „Philadelphie” nie przybije, jeśli nie będzie mogła tego zrobić pod osłoną mgły lub deszczu. - Uśmiechnął się. - Jak widzisz, nie jest to sprawa wymagająca natychmiastowej decyzji. Prześpimy się z tym, dobrze? Któż to wie, co może się jeszcze wydarzyć do tego czasu?

Arabowie nadeszli bez ostrzeżenia, tuż przed świtem, gdy sen jest najgłębszy. Gdy zadźwięczał alarm, byli już w samym sercu kibucu.

- Arby! - krzyknął Asa ze swego pokoju, kiedy dzwon alarmowy odezwał się wraz z pierwszymi strzałami.

W sypialni Tamara usiadła nagle na łóżku. Odruchowo zapaliła nocną lampkę. Światło dodało jej otuchy.

- Zgaś to! - wrzasnął Dani. Był już w połowie drogi do pokoju chłopców.

Przerażona szukała wyłącznika i zrzuciła lampkę. Pokój pogrążył się w ciemności.

- Biorę chłopców! - krzyczał Dani z drugiego pokoju. - Wyjdź z łóżka i kładź się na podłogę.

Zapomniała o swym dodatkowym ciężarze i uderzyła się w kolano. W dłonie wbiły jej się odłamki szkła ze stłuczonej żarówki. Cholera!

Dani zawołał do niej:

- Ubrałaś się?

- Nie.

- No to na co czekasz! Włóż coś na siebie!

Z trudem udało jej się nałożyć przez głowę ciężową suknię. Kiedy macała ręką po podłodze, żeby znaleźć buty, w dłoń weszły jej jeszcze jakieś kawałki szkła.

Na zewnątrz rozpętało się piekło. Jakiś przenikliwy kobiecy krzyk urwał się gwałtownie. Nagle nastąpił wybuch i w pokoju zajaśniało. Za oknem było zupełnie pomarańczowo: palił się dom obok.

Dani przyczołgał się do niej na brzuchu, a chłopcy za nim.

- Jesteś ubrana?

- Tak. - Spojrzała na niego. Widziała go dokładnie, ale jego twarz, jak wszystko inne w pokoju, była całkiem pomarańczowa.

- Mamo! - powiedział Asa, kucając za Tamarą. - Boję się. - Drżał, a jego niebieskie oczy zrobiły się wielkie ze strachu. - A ty?

- Tak. - Tamara dotknęła jego twarzy. - Ja też się boję, kochanie, ale wszystko będzie dobrze. Tatuś jest tutaj i nas obroni.

Asa zwrócił się do Daniego.

- Obronisz nas tatusiu, prawda? Nie pozwolisz, żeby Arabcy zrobili nam krzywdę?

- Dostyc tego - powiedział ostro Dani. - Tracimy czas.

Róbcie dokładnie to, co ćwiczyliśmy dziesiątki razy. - Skinął na Tamarę. - Bierz.

Włożył jej coś w rękę. Było ciężkie, zimne i lepilo się od oliwy. Był to amerykański rewolwer, czterdziestka czwórka z długą lufą.

- A teraz chodźcie za mną - rozkazał. - Musimy się stąd wydostać, nim wszyscy wpadniemy w pułapkę.

Jak kraby na filmie w przyspieszonym tempie przeczolągali się do następnego pokoju. Tamara czołgała się wolniej, tylko na rękach i kolanach, żeby nie uszkodzić brzucha. Dani czekał już na nich przy drzwiach. Przyłgnął do ściany, nacisnął klamkę i otworzył drzwi szeroko, aż uderzyły w ścianę.

Powietrze było gryzące i pachniało bezdymnym prochem, Dani wysunął głowę na ułamek sekundy i znów przycisnął się do ściany. W jednej ręce trzymał uniesioną w górę strzelbę, Płomienie syczały coraz głośniej.

- Teraz! - krzyknął. - Asa, Ari-już!

Chłopcy wyszli tak, jak ćwiczyli to co tydzień. Na brzuchach, pomagając sobie łokciami jak płetwami, dostali się na taras i skoczyli, podczas gdy Dani osłaniał ich ogniem ze strzelby. Gdy znaleźli się na ziemi, skulili się i czekali.

Dani znów wyjrzał zza drzwi, strzelił dwa razy i wyciągnął wolną rękę.

- Tamara - już!

Zacisnęła zęby i czołgała się jak szalona. Trzy betonowe schodki były mordercze dla jej krwawiących dłoni i kolan. Gdy dotarła do chłopców, obejrzała się. Zobaczyła, że Dani leży już obok niej,

- Na dół - szepnął wściekle przez zaciśnięte zęby.

- Staram się, ale nie mogę zgnieść dziecka!

- A teraz słuchajcie wszyscy - mówił szybko, ale spokojnym głosem. - Nie panikujcie. Udawajcie, że to ćwiczenia. Musicie dotrzeć do budynku świetlicy i tam zostać. Będziecie bezpieczni, bo to nasz najlepiej strzeżony budynek. A teraz ruszajcie! Wszyscy!

Chłopcy skakali jak żabki, wbijając łokcie w ziemię, a potem odbijając się kolanami. Tamara wahała się.

- A ty?

- Zapomnij o mnie - Dani syknął ostro. - Będę za tobą, żeby cię osłaniać. Ruszaj się! - Uszczypnął ją, aż krzyknęła. Uniosła głowę, żeby się ocknąć. Kule świstały tak blisko, że czuła ich pęd. Za nią ziemia eksplodowała chmurą kurzu. Ruszyła. Posuwając się na rękach i kolanach, brzuchem niemal dotykając ziemi, starała się robić jak najwięcej zygzaków, żeby utrudnić celowanie. Wszędzie dookoła panował chaos.

Była to dantejska scena. Kule świstały we wszystkich kierunkach. Co chwila coś wybuchało i ziemia rozpryskiwała się w górę, aż do nieba. Słyszała gdzieś

krzyki dzieci i modliła się, żeby to nie byli jej synowie. Jak oszalałe marionetki pojawiały się co chwila jakieś postacie, które wypadłszy z domu, cofały się przed drzwiami następnego, który płonął. Ktoś wrzucił coś do jednego z okien i płomienie wybuchły mocniej. Jakiś krzyżący człowiek w płonącym ubraniu, jak żywa pochodnia, wyskoczył z domu, zatoczył kilka kółek i upadł w milczeniu, twarzą do ziemi, kilka metrów od Tamary.

Poczula swąd palonego ciała i omal nie zwymiotowała. Jak wieprzowina, pomyślała histerycznie. Ludzkie mięso ma zapach pieczonej wieprzowiny.

Oddaliła się, minęła jeden dom, potem drugi, kierując się do środka kibucu. Budynki stały tu bliżej siebie, dając jakieś schronienie. Stała i schylona przebiegła do najbliższego grubego muru. Tam mogła się wyprostować i odetchnąć. Czowała, jak dziecko kopie. Położyła ręce na brzuchu i delikatnie go masowała. Mimo nocnego chłodu było jej gorąco i obłana była potem.

W końcu złapała oddech. Wyjrzała ostrożnie zza muru w kierunku, z którego przyszła. Za późno było żałować.

Ciemne sylwetki w długich szatach poruszały się w szaleńczym tańcu. Ostrza ich noży odbijały pomarańczowe płomienie. Słyszała okrzyki Allah akbar, gdy ruszyli do przodu. Karabin maszynowy zza płonącego domu skosił jeden ich rząd, jakby podciął im nogi. Padli do przodu, ich strzelby wyleciały w powietrze. Arabowie.

Przylgnęła do muru, a gdy znów wyjrzała, byli bliżej. Znacznie bliżej. Nagle tuż przed nimi wyskoczyli mężczyźni bez szat. Broń wypaliła, jeden z Arabów krzyknął i padł na kolana, trzymając się za brzuch, nim zarył głowę w ziemię. Arabowie i Żydzi stali teraz twarzą w twarz. Poszły w ruch bagnety, kolby służyły jako pałki.

Musi się dostać do środka kibucu. Tam jest bezpiecznie.

Zataczając zygzaki, pochylona, posuwała się od domu do domu, starając się, by jak najwięcej ścian chroniło ją od kul. Przeklinała ten brzuch, przez który posuwała się znacznie wolniej. Bez niego byłaby równie szybka jak chłopcy.

Nagle wstrzymała oddech. Od rogu następnego domu oderwał się jakiś Arab, z karabinem skierowanym wprost na nią.

Zamarła. Czas przestał istnieć. Wszystko ruszało się w zwolnionym tempie. Nie czuła właściwie strachu, tylko zdumienie. Widziała fanatyczne oczy, pałające nienawiścią, widziała, jak celuje i naciska spust. Nawet strzał był jak w zwolnionym tempie.

Potem pędził do niej Dani i znów wszystko było prędko.

- Tamara! - ryknął skacząc, by ją rzucić na ziemię, i jednocześnie celując w Araba.

Ale Arab już wystrzelił, Dani się spóźnił.

Tamara otworzyła usta, gdy coś w dole jej brzucha eksplodowało. Coś ją rzuciło w powietrze, zwinęła się, a potem opadła na plecy z rozrzuconymi rękami, jak ukrzyżowana.

Dani już się nie czołgał, biegł tam, gdzie leżała.

Starła się unieść głowę, ale nie mogła. Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

- Dani... - szepnęła. - Co się stało?

- Strzelili do ciebie, kochanie. Ciii... - Głos miał przytłumiony, jakby jej uszy zatkano watą.

- Dziecko - szepnęła niewyraźnie. Złapała mocno koszulę Daniego. - Nasze dziecko! - W oczach jej pojawiły się łzy... - Dziecko... - Jej ręka zwolniła uścisk, opadła, a ona leżała nieruchomo.

Nie było księżyca, żeby im oświetlić drogę, ale dzięki temu nic ich nie zdradzało.

Teraz, gdy zbliżała się pora, mężczyźni zaczęli przygotowywać broń. Przespali cały dzień, ukryci w górach, a później, gdy temperatura opadła, czekali cierpliwie przez większość chłodnej nocy. Pustynia była niepokojąca w tej swojej kompletnej, intensywnej ciszy.

Oaza była mniej cicha, ale nie mniej niepokojąca: nad głowami ocierały się o siebie liście palm daktylowych, pod nimi stado kóz kręciło się we śnie, a od

czasu do czasu zawył pies, węsząc w powietrzu. Trzy razy Dani zostawiał swych ludzi, by wślizgnąć się pod osłoną nocy do oazy i rozpoznać wszystkie jej parametry, a ostatnim razem, przed godziną, dotarł do samego środka. To, co zobaczył, nie zadowoliło go, ale zmniejszyło napięcie. Na straży było trzech mężczyzn: dwóch spało, a trzeci spokojnie palił papierosa.

Dani pokiwał głową: nie oczekiwano napadu, gdyż strażnicy byliby uważniejsi. Wrócił do swej grupki wybranych starannie ludzi i wyłonił się z ciemności tuż koło nich.

- Zaczekamy, aż będzie po porannej modlitwie - powiedział cicho, z cierpliwością myśliwego.

Zrozumieli. Musieli czekać do świtu, gdy muezin zwoła wiernych do modlitwy. Dani, jak i pozostali, nie miał w sercu litości.

Atak rozpocznie się po modlitwach: mieszkańcy al-Nadżaf będą mieli okazję pojednać się z Bogiem.

Gdy na wschodzie rozjaśniło się, Dani zebrał ludzi koło siebie.

- Oko za oko - powiedział ponuro. - Jeden spalony dom, trzech zabitych i sześciu rannych. Ani więcej, ani mniej. - Popatrzył na Szmarę.

- Niech tak będzie - oznajmił Szmaria.

Rozeszli się bezszelestnie, okrążając oazę, przesuając na ustalone pozycje. Czekali tam w ukryciu, aż oaza obudzi się. Drzwi się otwierały, ludzie wychodzili, zajmując się porannymi sprawami. Kobiety nabierały wodę do dzbanów. Z kominów zaczął się wydobywać dym. Muezin wdrapał się po schodach małego minaretu w malutkim, kamiennym meczecie i zawołał ich do porannej modlitwy, a jego śpiewne nawoływania odbijały się monotonnym echem. Wszyscy, łącznie ze strażnikami, porzucili to, co robili, obmyli się i zwrócili na południowy wschód w stronę Mekki. Wszyscy rzucili się na kolana i modlili. W al-Nadżaf panował spokój. Wszystko było w porządku.

Dwunastu ludzi z Ein Shmona sprawdziło raz jeszcze swą broń. Dani wyjrzał zza skały, czekając, by oddać pierwszy strzał, który będzie sygnałem do ataku,

mającego się rozpocząć dwadzieścia sekund później. Moişhe Karavan, ustawiony najbliżej domów, przelał benzynę z puszki do butelki, włożył w szyjkę szmatę, nasączoną benzyną i trzymał zapalki w pogotowiu. Szmaria widząc Naemuddina poczuł się winny i pochylił głowę w cichej modlitwie. Dobrze, że Dani postanowił zaatakować po porannej modlitwie. Rodziny tych, którzy zginą, będą miały pewność, że ich bliscy dostaną się do rajy.

Po modlitwie ludzie udali się do swoich zajęć, nieświadomi ataku, jaki miał ich spotkać. Trzej strażnicy zarzucili broń na ramię, palili i rozmawiali, nie wiedząc, że stanowią znakomity cel.

- Pomodlili się - powiedział do siebie Dani, przez zaciśnięte zęby - a teraz zobaczmy, czy są gotowi umrzeć. - Wystrzelił w powietrze, żeby ostrzec kobiety i dzieci, policzył do dwudziestu. Ciszę przeszyły krzyki matek, zbierających dzieci. Mężczyźni pobiegli po broń. Zaskoczeni strażnicy strzelali na oślep, wciąż bezmyślnie tworząc zwartą grupę. Padli od pierwszych strzałów. Dani pokiwał głową. Tak właśnie zaplanowali: zabici strażnicy są zemstą za zabitych w Ein Shmona. Pozostał do zniszczenia jeden dom i sześciu ludzi do zranienia.

Ubezpieczał Moişhe, który skoczył z płonąca butelką. Upatrzył sobie dom, do którego nie schroniły się żadne kobiety ani dzieci, zakładając, że jest pusty. Wrzucił butelkę i ogień buchnął natychmiast, zmieniając budynek w płonące piekło.

Dani osłaniał Moişhe swym ostrzałem, starając się ranić, a nie zabić. Krzyki kobiet i dzieci były oznaką przerażenia, nie bólu, tego był pewien. Dał wyraźne instrukcje, żeby unikać za wszelką cenę ranienia kobiet i dzieci.

Do tego czasu mężczyźni z al-Nadżaf zdążyli już chwycić za broń i rozgorzała strzelanina. Moişhe krzyknął, gdy dosięgła go kula, ale było to powierzchowne draśnięcie i poczołgał się w bezpieczne miejsce.

W domu miłującego pokój Naemuddina i Jehan, jego żony, nie było broni, więc po pierwszym strzale położyli się na podłodze.

- To Abdullah nam to przyniósł - jęczał Naemuddin i pośpieszył na dwór, by położyć kres temu szaleństwu. Po chwili trafiła w niego jakaś zbłąkana kula. Jehan, niepomna jego zaleceń, wybiegła również, żeby go wciągnąć do domu. Na szczęście nie była to poważna rana, więc zaczęła gotować wodę do jej opatrywania.

Abdullah był wściekły. Miał nadzieję, że nastąpi atak zemsty i wiedział, że hic tak nie podgrzewa uczucia zemsty jak śmierć niewinnych. Jak zwykle uzbrojony, pierwszy odpowiedział ogniem. Ostrzegał strażników, ale zlekceważyli to. Przeklął ich, gdy padli: zasłużyli sobie na to. Miał nadzieję, że poszli prosto do piekła.

Ale atak nie przebiegał tak, jak przewidywał Abdullah, Żydzi strzelali bardzo ostrożnie. Z tego, co widział, nie raniono żadnej kobiety ani dziecka. Znów zaklął. Ogień już słabł.

Wtedy spostrzegł swą przyrodną bratanicę, małą Iffat. Siedziała skulona pod murem, kilkanaście metrów od niego.

Rozejrzał się szybko. Nikt nie widział, wszyscy byli zajęci: albo się chowali, albo strzelali. Warto ją poświęcić, żeby podgrzać nastroje przeciwko Żydom.

Wymierzył dokładnie i pociągnął za spust. Uśmiechnął się zadowolony. Jej śmierć pójdzie na konto Żydów.

Dani kontrolował bilans ataku. W momencie, gdy naliczył trzech zabitych, sześciu rannych mężczyzn i pożar, dał sygnał do odwrotu. Dwóch ludzi wzięło Moişhe pod rękę i pociągnęło z sobą. Odeszli równie szybko, jak przyszli. Atak trwał krócej niż dwie minuty.

Szmaria nie oddał ani jednego strzału.

Gdy tylko wrócili, Dani natychmiast pobiegł do izby chorych.

- Jest silniejsza - powiedział mu doktor Saperstein.

- Mogę ją zobaczyć?

- Nie powinienem, ale dam ci pięć minut. - Doktor pogroził palcem. - Ani minuty dłużej. Nie chcę, żebyś ją nadmiernie zmęczył.

- Teraz nawet pięć minut to największy dar - powiedział Dani.

Wszedł do pokoju, przysunął sobie krzesło i siadł przy łóżku. Nie znosił szpitalnego zapachu i denerwował go widok Tamary, ułożonej prosto i sztywno, z głową równiutko na środku poduszki. Przez moment przeraził się, że nie żyje. Po raz pierwszy w jej jasnoblond włosach zauważył pojedyncze srebrne nitki. Skórę miała napiętą, białą jak kreda i przezroczystą.

Wygląda staro, pomyślał, mając już wyobrażenie o tym, jaka będzie mając sześćdziesiąt pięć czy siedemdziesiąt lat. Wciąż piękna, ale krucha i słaba. W czasie ich miodowego miesiąca żartowała: „Będiesz mnie kochał, jak będę stara i brzydka?” Oboje śmiali się wtedy.

Tak, tak, będę - przysiągł w myślach.

Wsunął rękę pod przykrycie i dotknął delikatnie jej ręki. Była bezwładna, ale ciepła. Żyła.

- Tamara. - Jego głos był zaledwie szeptem.

Leżała bez ruchu, oddychając tak cicho, że z największym wysiłkiem uwierzył, że jej płuca pracują.

Obudź się, kochanie, błagał ją w milczeniu. Wyjdź z tego, proszę. Życie bez ciebie jest niczym, niczym.

-Kochanie! Kochanie! - Ścisnął jej palce, oczekując jakiejś reakcji.

Powieki Tamary zadrżały i oczy powoli otworzyły się.

- Kochanie, słyszysz mnie?

Czuła się bardzo słaba, zagubiona. Starła się unieść głowę, ale było to takie trudne... niemożliwe. Podniosła oczy, chociaż i to wymagało sporego wysiłku i starała się jak najwięcej zobaczyć, ale wszystko było zamglone, słyszała jakieś głosy, daleko, nie... głos. Dotarł do niej, poprzez sen, ten głos i... dotyk.

Z trudem otworzyła usta.

- Da...ni? - Była to namiastka szeptu, właściwie; oddech tylko.

- Tamaro, kochanie. Tak, to ja. - Głos dochodził do niej jak przytłumiony przez poduszkę. Dlaczego nie Może mówić głośniej?

- Da...ni - powtórzyła z największym wysiłkiem, tym razem odrobinę głośniej.

Trudno było mówić. Słowa i myśli układały jej się w głowie, ale usta nie mogły ich wypowiedzieć. Gdzie ja jestem? Dlaczego nie mogę się ruszać? Wszystko jest za mgłą. Co mi jest?

- Dzięki Bogu, Tamara. - Teraz jego głos zabrzmiał wyraźniej. - Och, dzięki Bogu. - Poczowała, jak unosi jej rękę i całuje ją. Starala się uśmiechnąć, ale z mizernym skutkiem.

On go w każdym razie zauważył. Miał ochotę skakać z radości.

- Nie martw się, kochanie. Wszystko jest w porządku - powiedział płacząc. - Doktor Saperstein mówi, że będziesz zdrowa. Najgorsze już minęło. Dzięki Bogu!

Była zmęczona. Powieki miała ciężkie. Nagle uderzyła ją jeszcze jedna myśl. Zmusiła się, żeby ją wypowiedzieć.

- Dziecko.

- Dziecko jest zdrowe, kochanie! Słowa wylatywały z jego ust w oszalałym tempie. - To, co chcieliśmy, kochanie, dziewczynka! Trochę przedwcześnie, ale się trzyma. Twardziel. Jak ty.

- Dzie-dziewczynka? - wyszeptała.

- Tak, dziewczynka.

- Żyje?

- Tak, kochanie. Jak tylko będziesz mocniejsza, przyniosę ci ją, żebyś mogła potrzymać. Doktor Saperstein musiał... Mniejsza z tym.

Operować, o mało nie powiedział: wyjąć z ciebie, bo miałaś przestrzeloną macicę i okrężnicę.

- Jest cudna, prawdziwy aniołek - zachwycił się. - Chociaż ciemnowłosa.

- Ciemna?

Skinął głową, uśmiechając się radośnie.

- Jest kruczoczarna, oczywiście kilka kosmyków.

Jej powieki stawały się coraz cięższe, mgła przeszła w ciemność i nie pamiętała już, co powiedział. Spała spokojnie, z uśmiechem Mony Lisy. Dani poczuł dotyk na ramieniu, Był to doktor Saperstein.

- Minęło twoje pięć minut.

Dani ostrożnie odłożył rękę Tamary i przykrył ją znowu.

- Będzie zdrowa, prawda? - szukał potwierdzenia lekarza.

- Tak, oczywiście. - Saperstein klepnął Daniego po plecach. - Chodźmy teraz do drugiego pokoju. Musisz poświęcić trochę uwagi córce.

Nagle przez głowę Daniego przeleciała jakaś straszna myśl.

- Doktorze, ja nie śnię? Saperstein zaśmiał się.

- Mam nadzieję, że nie, bo inaczej śnimy obaj.

- Wie pan co? Jest pan piękny! - Dani chwycił twarz doktora Sapersteina w obie ręce i złożył na niej głośny pocałunek. - Kocham pana! - I wyskoczył z pokoju tanecznym krokiem.

Są dni, kiedy wszystko jest piękne.

Koniec tomu drugiego